

Biblioteka

U. M. K.

Toruń

316329

90

A.

X
ZYCIA

za.

Rakowicza.

Nr 390

PORWANIE SABINA.



OBRAZEK Z ŻYCIA

przez

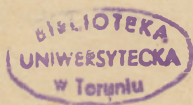
Jana Zacharjasiewicza.



TORUŃ.

Nakładem księgarni F. T. Rakowicza.

1870.



316329

Druk J. Buszczyńskiego w Toruniu.

K. 1309/60

I.

Warszawa podczas karnawału jest bardzo zajmującym miastem. W ogóle podobną ona jest do nerwowej kobiety, która równocześnie śmieje się i płacze, a śmieje się tak serdecznie i płacze tak szczerze, jakby dwie różne istoty w niej mieszkały. Połowicznych uczuć, połowicznych namiętności nie pojmuje Syrena nadwiślańska. W dniach boleści, cierpień i ofiar nikt jej nie prześcignie, w szale rozkoszy wszystkich pozostawia za sobą. Niedościgniona bohaterka dzisiaj, jutro przedstawia się jako rozpasana bachantka, która szaleje

i upaja się aż do chwili, w której znowu bierze na siebie zbroję Dziewicy Orleańskiej, i z wieńcem na skroni idzie na stós ofiarny.

Karnawał należy do krótkich chwil jej szału. Wtedy zapomina o wszystkim. Drobne, zgrabniutkie nóżki przebiegają wtedy kwieciste łąki życia z nieświadomością dziecka, które nie wie kiedy nadepcze pokrzywę lub jaskier, ukrytą pod łopuchem jaszczurkę lub krzaczek wonnej konwalii... Wprawdzie we środek popielcową okażą się często na różowym ciałku mniejsze lub większe zadraśnienia, ale post siedmiotygodniowy jakoś to wszystko cudownie zagoi. W dzień zmartwychwstania Chrystusa, zmartwychwstają zaumarłe serduszka, rozdarte duszyczki przychodzą znowu do życia, a wraz z rumieńcem na twarzy, wraca znowu żywe tętno serca, wraca zieleność Saskiego ogrodu i precudnie rozkwitają bzy w ogrodzie botanicznym. Nawet ów srogi

Czas, porywający piękność przed pałacem w Łazienkach, staje się powolniejszym w okrutnych swoich zamiarach!...

Nie wszyscy jednak szaleją w czasie karnawału. Są ludzie zimniejszego usposobienia, którzy z tego świata starają się wynieść jakąś korzyść dla siebie. Na pozór mieszają się w tłum szalejący, ale na to tylko, aby w tym tłumie coś tym łatwiej ułowić. Podobni są do przebranych, nieprzyjacielskich żołnierzy, którzy w świątecznych szatach mieszają się z tłumem mieszkańców oblężonego miasta, aby je w danej chwili zdradzić.

Biedne, trzykroć biedne, wzięte w takim razie szturmem karnawałowym serduszek Oszołomione, rozszalałe, nie zaraz spostrzegą, że je opanowano zdradą, że je porwano przemocą!... A że po każdym karnawale następuje popielec, tak jak po każdym wzięciu fortecy następuje mimo kapitulacyi choćby pobieżny

tylko rabunek, tak samo i tańcem karnawałowym zdobyte serca doznają często najsmutniejszych, i najboleśniejszych rozczarowań!...

Otóż właśnie w tej dobie najgoręcej bijących serc a najzimniej wykombinowanych planów matrymonialnych, w jednym z gościnnych pokoi Europejskiego hotelu na drugim piętrze siedział przed małym stolikiem mężczyzna trzydzieści kilka lat mający w długim tureckim szlafroku. Przed nim na stoliku stała filiżanka z herbatą. Głowę oparł o poręcz kanapki i przypatrywał się błękitnym kółkom sinego dymu, które misternie wychodziły z jego ust, czarnym wąsem ocienionych. Twarz jego miała rysy wyraziste. Czoło sporo podłyślało nosiło znamiona przebytych nieporogód życia. Cienna cera twarzy okazywała temperament sangwiniczny, przez czas i doświadczenia nieco umiarkowany. Stwierdzały to mniemanie duże,

ciemnej barwy oczy, które patrzyły dosyć rzeźwo przed siebie.

W pokoju rozrzucone były rzeczy, świadczące o lepszych jego stosunkach finansowych. Mały do częstych a niezbyt dalekich podróży stósowny kuferek był z nieposzlakowanej skóry angielskiej, nabity błyszczącymi gwoździkami. Z takiej samej skóry pudełko od kapelusza stało w drugim kącie pokoju. W trzecim opierał się o ścianę również skórzany futerał na parasol z przyboczną komórką na laski, których było pięć różnej grubości i różnego kształtu, stósownie do pory roku i przeznaczenia. Na w pół otwarta szafa mieściła we wnętrzu swoim frak, tużurek, letnią zarzutkę i zimowe futerko. Na dole stały dwie pary butów. W wysuniętej szufladzie od komody bielily się trzy koszule, na których leżało kilka krochmalnych kołnierzyków. Po za temi widać było dwie kamizelki.

Prócz kilku jeszcze innych, koniecznie do uzupełnienia codziennego i odświętnego ubrania potrzebnych akcesoryów, nic więcej nie było w pokoju. To co było, było koniecznym dla człowieka, który chciał wyjść na ulicę lub pójść na herbatkę do znajomych. Czy poza tym było coś więcej, trudno osądzić. Siedzący przed herbatą mężczyzna wyglądał jednak, jakby poza tym kufrem ze skóry angielskiej, poza tym kapeluszem z fabryki pana Pinaud i poza wykwintną z najwymyślniejszymi przyborami necesserką, było kilka wsi nieobdłużonych, tysiąc morgów wysokopiennego lasu i propinacya naprzód nie wybrana.

Mężczyzna siedział nieruchomie na kanapie i puszczał machinalnie z ust sine kółka. Oczy jego patrzyły przez te kółka na szeroki szlak przeciwnej ściany, jakby chciał rozwiłać powiązane tamże arabeski...

W tej chwili otworzyły się drzwi pokoju. Kilku młodych i starszych elegancko ubranych gości weszło z hałasem.

— Przebóg! Co widzę! zawołał najstarszy, Bolesław... Bolesław Śmiały pija herbatkę ze śmietanką.

— Świat się skończy! Palisz tytuń zawinięty w papierze! wołał drugi.

— Daję gardło moje, że sam ukręcił sobie papieros! zauważył trzeci.

— Nie, moi panowie patetycznie wygłosił czwarty, to nie są żarty! Przeczuwam jakąś tragedya. Bolesław Śmiały pije herbatkę z mleczkiem i kręci sam papierosy!

Bolesław nie ruszył się z miejsca. Wyciągnął dwa palce na przywitanie gości, uśmiechnął się z pewną ironią i dalej puszczał swe kółka przed siebie. Tymczasem rozgospodarowali się jego towarzysze.

— Żart na bok, ozwał się jeden siadając

na kanapie, Edward ma słusność, że w twoim pokoju kochany Bolesławie panuje atmosfera tragiczna. Szufłada od komody wysunięta, szafa otworzona — porządek w pokoju niezwykle... to wszystko jest oznaką jakiejś nader ważnej zmiany w dotychczasowej sytuacji... być może że to prolog do jakiejś okrutnej pięcioaktowej tragedii!...

Bolesław wydmuchnął kłęb dymu przed siebie, pomilczał chwilę a potem ozwał się.

— Bredzicie jak Piekarski na mękach! Wicie bardzo dobrze, że nic w życiu nie spotyka mnie z nienacka. Wszystko sam rozpoczynam, nigdy w życiu biernym nie byłem. Jeżeli dzisiaj chcę rozpocząć nową fazę życia, to przecież nie zacznę od tragedii, na której już się wszystko kończy. Nikt dobrowolnie nie wybiera tragedii. To licho napada tylko ludzi słabych i nieopatrnych. Mądry stroni od kassy teatralnej, gdy na czerwonym afi-

szu przeczyta: tragedia w pięciu aktach, oryginalnie wierszem napisana.

— Jesteś dziś strasznie poważny i sentencyonalny!

— Że coś rozpocząć zamyślam, w tym się nie mylicie. Czy to będzie komedia czy dramat, tego nie wiem, bo i sami Francuzi nie wiedzą dzisiaj, gdzie jest granica jednego i drugiego.

— Brawo, brawo! krzyknęli wszyscy chórem, zawsze wyprawisz nam ciekawe widowisko!

— Za które dobrze sobie zapłacić każe! przerwał gospodarz z taką energią, jaką tylko zwykł w wyjątkowych chwilach życia objawiać.

Towarzysze jego przycichli, bo humor Bolesława był dla nich rzeczą niebezpieczną. Osobliwie w ostatnich dniach był jakoś wię-

cej rozdrażniony, niżeli zwykle. Coś go dolegało, o czym jednak nikomu nie mówił.

Zdawało się, że cisza, która teraz nastąpiła, rozbroiła się na korzyść jego gości. Z wesołym uśmiechem na twarzy powstał z kanapy i pociągnął silnie za dzwonek.

— Przynies nam dobre jakie śniadanko! rzekł do numerowego, i każ za jednym zachodem włożyć do lodu pięć butelek szampana. Przed tym maderę i przekąskę... rozumie się samo przez się!

Gdy numerowy drzwi zamknął, powszechna radość wróciła na wszystkie twarze.

— Nie, nie, zawołał Stanisław, Bolko nasz nie zmienił się — tylko się na chwilę zaczął!

— Tak zaczął się, aby tym większy efekt sprawić zamówieniem śniadanka z szampanem! wtrącił Edward.

— To mi dramat, to mi tragedia, gdzie

nie pistolety, ale korki od flaszek strzelają! ozwał się Hektor.

Bolesław stał na środku pokoju i z ironicznym uśmiechem patrzył na mówiących. Potym podniósł prawą rękę do góry, jakby chciał coś powiedzieć. Spostrzegłszy to towarzysze umilkli i wszystkich oczy zwróciły się na gospodarza. Bolesław wyglądał teraz nader malowniczo. Szerokie rękawy tureckiego szlafroku czyniły go podobnym do greckiego kapłana lub rzymskiego augura, który gapiącym się tłumom ma wypowiedzieć słowo oczekiwanej wyroczni. Twarz jego ciemna, wyraz oczu trzeźwy i śmiały wszystkim imponował.

— Słuchajcie bracia, ozwał się po chwili, słuchajcie bracia i towarzysze! Jak każdy naród, jak cała ludzkość, tak i każdy pojedynczy człowiek ma w swoim życiu pewne zwroty, od których datuje się cała jego przyszłość. Czuję, że stanąłem na tym zwrocie,

słyszę skrzyp maszyny, która mnie twarzą do innej drogi wykręca!... A na tej drodze, zdaje się, nie obaczę się już więcej z wami.

— Chce się ożenić, chce się ożenić! Słuchajcie! zawołali chórem wszyscy!

Bolesław spojrział z drwiącym uśmiechem po twarzach wesołych swoich towarzyszy.

— Ożenić się! rzekł po chwili, ożenić się! Tak wam to gładko z gardła wyszło, jakbyście pół wieku wstecz się cofnęli, gdy młode dziewczęta dawały się łowić na piękne słówka jak dudki, czyli mówiąc retoryką dzisiejszych pisarzy,... gdy miłość panowała na ziemi a czyste serca niepokalanych westalek tego świętego ognia były krainą pięknych, szlachetnych marzeń!... Dzisiaj niestety skostniały te serca, a zamiast szlachetnych marzeń znajdziesz rupiecie modnego luksus! gałganki atlasów i aksamitów! Znajdziesz obok tego kredkę i różnie

uporządkowane liczby arabskiego kształtu. Prócz tego nic więcej.

— Patrzcie, patrzcie! zawołali weseli towarzysze, gotów zostać kamedulą.

— Właśnie myślę o tym, aby nim nie być po ostatek życia... Ożenić się mówicie, a gdzie jest dzisiaj panna (rozumie się z posagiem) któraby poszła za człowieka, który prócz eleganckiego kufra, sześciu koszul, fraka cum attinentiis nic więcej niema? Nie pójdzie, gdyby nawet był bohaterem w jakimkolwiek bądź rodzaju!

— Jakto? podjął rozmowę Edward widocznie zasmucony, powiadasz że prócz kufra z angielskiej skóry nic więcej nie masz! Wszak mówiłeś nam o lasach wysokopiennych, o bogatym stryjaszku...

— Mówiłem o tym przez kilka miesięcy, bo myślałem, że praktykowanym u nas zwyczajem uda mi się złowić jaką złotą gaskę.

Widzę jednak, że i ten środek już zużyty. Szpiegi i donosy i w krainę miłości już się wkradły! Trzeba zejść na inną drogę, a dzisiejszym śniadankiem żegnam na zawsze wasze wesołe towarzystwo, wyjąwszy, jeśli sami tę wesołość opłacać chcecie. Ja już wydałem grosz ostatni — od jutra przenoszę się — na koszt społeczeństwa.

— Na koszt społeczeństwa? Cóż to znaczy na koszt społeczeństwa?

— To znaczy, że zaczynać pracować!

— Pracować! Pracować! Słuchajcie! Bolesław chce pracować! Czy on oszalał?

— Praca jest rozmaita. Jedni pracują muszkulami, inni głową, należeć będą do ostatnich.

— Czy wstąpisz do urzędu, czy zacziesz pisać książki?

— Praca w urzędach należy do pracy muszkulowej. W literaturze także pracują

czasem tylko muszkulę, a na to, co jest w niej innego, nie stać mnie!

— Tam do kata! Cóż chcesz robić?... Przecież nie zechcesz należeć do założycieli kolei żelaznej!

Bolesław zapalił świeży papieros, zaciągnął się dymem a potem rzekł:

— Powiem wam, że całorocznym rozmyślaniem przyszedłem do jednego sekretu życia, a ten jest, aby nie być biernym człowiekiem. Jeżeli forteca nie robi żadnych wycieczek, tylko spokojnie za murami siedzi, to ją nieprzyjacieli wygładzi!... Załoga forteczna w takim razie jest tylko konsumentem, tak jak my wszyscy. Trzeba więc społeczeństwo atakować z tej i owej strony, wybierać luki nie dobrze strzeżone, a reszta — *fara da se!*... W ogóle trzeba pracować, bo wiek dziewiętnasty jest wiekiem pracy!

— Do pracy posilimy się wybornym śniadankiem! śmiejąc się zawołali wszyscy.

W tej chwili otworzyły się drzwi, a służący wniósł na dużej posrebrzanej tacy najpyszniejsze przysmaki, urozmaicone omszałymi butelkami.

II.

P o tym wesołym śniadanku rozpoczął pan Bolesław, tak jak był przyjaciołom swoim przyrzekł, nowy program życia. W czym jednak ten program się zawierał, trudno było odgadnąć.

Wprawdzie powiedział im, że chce pracować, czyli, jak się wyraził, że się przynosi na koszt społeczeństwa. Pracy tej jednak trudno było bliżej skreślić. Jeżeli ustawiczne chodzenie po ulicach i miejscach publicznych pracą nazwać można, to pan Bolesław bardzo wiele pracował!

Pierwej zwykł był sypiać do południa, teraz wstawał o godzinie dziewiątej, a wy-

piwszy skromną herbatkę, wychodził na ulicę, włożywszy jak najlepszą lornetkę w oko. Na przechodzące kobiety mało patrzył, za to mężczyznom młodym bardzo się starannie przypatrywał. Osobliwie rozciekawiała go każda twarz nieco surowym powietrzem ogorzała, która dawała do mniemania że pochodzi ze wsi. Za mężczyzną o takiej twarzy oglądał się często, a nawet wracał się i śledził wszystkie kroki jego. W bramie hotelu, do którego wszedł taki mężczyzna, rozmawiał długo z oddzielnym, jakby należał do straży bezpieczeństwa publicznego. Powtarzało się to na dzień kilka razy, a zawsze jakoś bez widocznego rezultatu.

Czasami wchodził koleją do kościołów i tam najpierwej przypatrywał się także mężczyznom, wbrew wszelkim regułom narodowego warszawianina z szykiem, który w takim razie całą swoją uwagę wyłącznie płci

piękną poświęcić jest obowiązany. To samo czynił w teatrze i na koncertach.

Przyjaciele jego patrzeli na to wszystko i różnie tłumaczyli sobie to dziwactwo zartwardzającego renegata. Jedni byli tego zdania, że pan Bolesław przyciśniony brakiem funduszków, szuka jakiego znajomego ze wsi, aby od niego coś pożyczyć na wieczne nieoddanie. W takim razie nawet kontenci byli, że się od nich nieco oddalił, bo przyjaźń ich fundowała się tylko, jak wszystko dziś w Europie, na równouprawnieniu. Dopóki pan Bolesław miał pieniądze, dopóki razem z nimi płacił kolej szampana, dopóty istniały między nimi nierozzerwane węzły przyjaźni. Próżna kieszeń jednego lub drugiego, zmieniała całą równowagę. Pozwolono więc biednemu towarzyszowi odwiązać swoje ogniwo od przyjacielskiego łańcucha, osobliwie po wyraźnym jego wyznaniu, że niema ani wioski na Ukra-

inie, ani lasu wysokopiennego, ani nawet po-
dłej propinacyi. Wyjątkowo brano go niekiedy
między siebie dla jego wesółych i trafnych
konceptów.

Inni tłumaczyli sobie dziwactwo pana Bo-
lesława inaczej. Słyszeli od niego samego, że
kiedyś miał jakąś zwadę z kimsiś przy grze
w kartach, który mu potym gdzieś umknął.
Domniemywali się więc, że teraz szuka tego
niegodziwca, aby strzelić kilka razy do niego
i tym sposobem zmyć niektóre zarzuty, które
tenże w świat był puścił. Z tak oczyszczonym
sumieniem chciał dopiero wstąpić na inną
drogę życia.

Byli nawet i tacy, którzy jeszcze gorzej
o nim sądzili, ale tego nigdy głośno nie wy-
mawiali. Dosyć że pan Bolesław stał się dla
wszystkich istną zagadką, której w żaden spo-
sób rozwiązać nie umiano!

Tak minęło dwa tygodni. Na początku

trzeciego tygodnia wyszedł pan Bolesław z ho-
telu po nader skromnej herbatce, ukręciwszy
sobie wprzód kilka papierosów.

Zwyczajem swoim przeszedł kilka razy
całe Krakowskie Przedmieście, skręcił potym
przez Świętokrzyską ku Marszałkowskiej, aby
najkrótszą linią dostać się na dworzec kolei
żelaznej.

Była to jedna ze zwykłych jego wycie-
czek które przedsiębrał przed każdym nad-
chodzącym do Warszawy pociągiem. Uloko-
wawszy się jak najbliżej drzwi wychodowych,
przypatrywał się starannie podróżnym.

Dzisiaj widocznie sprzyjało mu niebo. Dłu-
gi szereg wozów przywiózł znaczną liczbę
podróżnych. Po załatwieniu się z paszportami,
zaczęli pojedynczo wychodzić i do doróżek
wsiadać.

Pan Bolesław przypatrywał się każdemu.
Starym, kobietom i niedorostkom nie poświę-

cał żadnej uwagi. Zato nader pilnie badał fizyonomią, ubiór i kufry każdego młodego mężczyzny od dwudziestu pięciu lat począwszy, a skończywszy na czterdziestu, jeżeli takowe nie uszkodziły wiele twarzy i włosów.

Najwięcej zajmowały go twarze świętecznie przystrojone. Starannie ufryzowane włosy, wąsy fixatuarem do góry podniesione, angielskie krochmalne kołnierzyki i nieposzlakowanej barwy rękawiczki zwracały przedewszystkim jego uwagę. Pilnie wtedy przypatrywał się kufrom i torbom podróżnym, aby po ich rozmiarach i kształtach domacać się celu w jakim podróżni do stolicy przybywali.

Po półgodzinnej lustracyi uderzył go przedewszystkim jeden z podróżnych. Był to jasny, niskiego wzrostu blondynek. Mógł mieć około lat dwudziestu pięciu. Twarz jego była biała jak najbielsza bułka z mąki marymonckiej. Malował się na niej spokój i pewien

wyraz zadowolenia. Oczy błękitne, rozjaśnione lekkim wzruszeniem, patrzyły ciekawie w około. Usta ocienione małym wąsikiem okazywały łagodną duszę, która jeszcze nie wiele burz światowych zaznała. Jasne włosy leżały spokojnie na skroniach. Ubiór skromny, lecz staranny okazywał człowieka dosyć zasobnego.

Pan Bolesław postąpił kilka kroków naprzód, aby bliżej przypatrzeć się rzeczom, które właśnie służący kolejowy za nim wynosił. Był to kufer dosyć znacznych rozmiarów, starannie utrzymany i w koło świecącemi gwoździkami obity. Przy nim leżał futerał z parasolem, z którego trzy galki różnorodne od lasek sterczały. Do tego należało jeszcze skórzane, zupełnie nowe pudło z kapeluszem i ręczna torebka, która miała kształt wykwintnej necesserki. Na drugim ramieniu posługacza wisiąło sute niedźwiedzie futro.

Pan Bolesław motał sobie coś na wąsy

i uśmiechał się do siebie. Z małego blondyna nie spuszczał oka, i powoli z wielką uwagą odprowadził go aż do szeregu doróżek, które stały tuż przed schodami.

— Do paryskiego hotelu! wołał stranquet strojny siedzący na kozle jasno-niebieskiego omnibusu.

— Hotel europejski! odezwał się brodac z liberyi, na którego czapie błyszczał napis hotelu.

— Rzymski hotel! Angielski! Niemiecki! Litewski! Wileński! Drezdeński!... wołano chórem.

— Hotel Saski! ozwał się w końcu mały blondyn i z uśmiechem obejrzał się w koło.

— Hotel saski!... dobrze panie! odparł posługacz i rzucił kufer na omnibus paryski.

— Ależ to omnibus hotelu paryskiego, a ja chcę saski! zawołał z niejaką energią blondynek.

— To proszę pana wszystko jedno, odparł posługacz, rzucając za kufrem torbę podróżną.

— Nie chcę paryskiego, ale saski! wołał niecierpliwie blondynek i tupnął lekko nogą.

— Zapłacić trzeba wszędzie, prawil uparty posługacz, czy tu czy tam to jeden djabeł! I tu drą i tam drą!

Rzekłszy to rzucił za torbą parasol, a za parasolem futro niedźwiedzie.

— Cóż to takiego? replikował podróżny, czy mam być waszym niewolnikiem? Chcę mieszkać w hotelu Saskim, bo na Krakowskim Przedmieściu mam interesa, a paryski wcale mi nie na rękę!

— A cóż pan znowu mówi? rzekł z indygnacją posługacz podając podróżnemu rękę, aby go do omnibusu wsadzić, cóż pan znowu mówi, że hotel saski jest przy Krakowskim Przedmieściu! Wszak jak świat światem, to

hotel saski nigdy tam nie powstał! Hotel saski jest przy ulicy Koziej!

Znający dobrze miejscowość roześmiał się pan Bolesław na ten argument posługacza. Hotel bowiem saski jest wprawdzie głównym korpusem swoim przy ulicy Koziej, ale przedsiónek głównej bramy jego znajduje się przy samym Krakowskim Przedmieściu, skąd też wprost do jego wnętrza zajechać można.

Podróżny zawahał się chwilę. Potym zebrał jeszcze raz całą swoją energią i zawołał:

— Zawsze dotąd słyszałem, że hotel saski jest przy Krakowskim Przedmieściu a nie przy jakiejś tam Koziej ulicy. A gdyby nawet i tak było, gdyby tenże hotel nietylko przy Koziej, ale nawet przy capiej był ulicy...

— Niech pan czasu nie traci... odparł niezłomny posługacz, który złotówkę już miał dawno w kieszeni, mówię panu jak człowiek

poczciwy, że tak samo i w paryskim hotelu zedrą pana jak gdzieindziej...

— Proszę siadać, rzekł konduktor, który zdawał się nic nie wiedzieć o sporze podróżnego.

— Niech pan prędko siada, bo konie się niepokoją! dogadywał posługacz z uśmiechem do kondaktora.

Konduktor nader grzecznie wziął podróżnego pod jedno ramię, z drugiej strony dopomógł mu posługacz.

Podróżny chciał jeszcze raz zebrać całą swą energią, aby na swoim postawić, ale już brakło mu do tego czasu. Czuł się uniesionym w powietrzu, same nogi wstąpiły po schódkach — i wkrótce znalazł się w niełitościwej paszczy omnibusu paryskiego! Usiadłszy z rezygnacją, wychylił głowę przez okno i rzekł:

— A to dziwne rzeczy dzieją się w tej Warszawie! Człowieka wiozą tam, gdzie nie chce!... Czekajcie, będę ja ostrożniejszy na drugi raz! Nie złapiecie mnie tak łatwo! Tylko raz wam się udało zawieźć mnie na drugi koniec bielańskiej ulicy, z kąd pół mili będę musiał biegać za interesami na Nowym Świecie!... Na drugi raz...

Chciał jeszcze dalej swoje słuszne żale rozwodzić, gdy konduktor pociągnął za dzwonek, a jasno błękitny omnibus pomknął rażno w kierunku swego hotelu. Stojąca przed schodami gawiedź śmiała się serdecznie z tego pociesznego zdarzenia, śmiał się także i pan Bolesław, a może śmiał się najserdeczniej ze wszystkich! Twarz jego była przy tym tak rozjaśniona, jakby ten widok był dla niego czymś więcej niżeli rozrywką.

Długo stał na rogu dworca i patrzył w ulicę Marszałkowską, w której coraz sła-

biej pobłyskiwał błękitnym kolorem omnibus hotelu paryskiego. Patrzył jeszcze gdy tenże na skęcie przed saskim ogrodem zupełnie znikł mu z oczu, tylko szary tuman kurzu po sobie zostawił!...

Pan Bolesław stał długo w tym samym miejscu i patrzył zamyślony przed siebie. Na ustach drżał uśmiech zadowolenia, a w oczach jego błyskała coraz jaśniej jakaś myśl szczęśliwa...

Było już koło godziny drugiej po południu, gdy pan Bolesław po długiej konferencji z oddzielnym hotelu paryskiego i po krótszych nieco rozmowach z krążącymi przed hotelem żydkami, których znajomy nasz podróżny do swego numeru powoływał, z wyjaśnioną twarzą wszedł na pierwsze piętro i do trzecich drzwi po prawej ręce śmiało zapukał.

— Proszę wejść! ozwał się łagodny głos podróżnego.

Pan Bolesław otworzył drzwi szeroko i śmiałym krokiem wszedł do pokoju!

— Witam, witam kochanego pana w naszej Warszawie! zawołał i otworzył ramiona.

Podróżny otworzył szeroko oczy i wpatrzył się w swego gościa tak dziwnie, jakby go po raz pierwszy w życiu widział. Otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale na słowa nie stało mu czasu. Uczuł w koło siebie opasujące się długie ręce gościa, uczuł wąsy jego czarne przytykające do swoich wąsików...

— Jakże się masz panie Sabinie! wołał gość całując go w jedną i drugą stronę twarzy.

Podróżny rzeczywiście tak się nazywał!...

Po dwóch serdecznych pocałunkach, które oczywiście w pierwszym impecie nawet odwzajemnił, przyszedł nieco do siebie. Spojrzał jeszcze raz z uwagą na gościa i znowu chciał coś powiedzieć, gdy tenże pochwycił go po-

wtórnie w objęcia i jeszcze serdeczniej niżeli pierwszej uściskał.

— Wiesz co panie Sabinie, rzekł zaraz po dokonanym uścisku pan Bolesław, wiesz kochany panie, że do nazwiska lub imienia chrzestnego wiąże się coś, czego zwykłym rozumem zbadać trudno.

I tak naprzykład nie znałem żadnej Heleny, któraby była szczęśliwą, za to każda prawie Zosia jest milutka z noskiem do góry zadartym. Julka jest zawsze ślamazarnik, a kobiety bez patronek, jak naprzykład Aleksandra lub Wincentyna, mają w swoim charakterze zawsze coś męskiego. Tak też i do pańskiego imienia przywiązała się dzisiaj mimowolnie jakaś reminiscencya historyczna, której świadkiem byłem. Pan nazywawsz się Sabin i przedstawiłeś mimo twojej chęci i woli scenę porwania Sabineek przez starych, rzymskich kawalerów...

— To prawda, odpowiedział zadziwiony pan Sabin, ani się spodziewałem, że będę mieszkał w hotelu Paryskim. Opierałem się, dopominałem się kilkakrotnie o hotel saski, ale cóż było robić...

— Obawiam się na dobre, aby pana tutaj jaka Sabinka nie porwała!

Pan Sabin jeszcze szerzej otworzył oczy i wpatrzył się w swego dziwnego gościa.

— Niech mi pan daruje, wyszepnął z cicha, ale... trafia się często w życiu... czasami pamięć jest tak uparta...

— Już wiem co pan chcesz powiedzieć! Nieprzypominasz pan sobie mojej fizyonomii...

— Przepraszam, bardzo przepraszam... ale my, co to na wsi siedziemy i tylko małe kółko znajomych...

— Masz zupełnie słuszność, panie Sabinie! Wy więcej mieszkańcy, których pamięć zaledwie kilku sąsiadów włącznie z proboszczami

pomieścić może, nie umiecie sobie dać rady, gdy kilkadziesiąt różnych twarzy spamiętać trzeba! My w stolicy mamy pamięć lepiej wyćwiczoną. Warszawa ma dwakroć sto tysięcy mieszkańców, a ręczę panu, że znam wszystkie fizyonomie nie wyjąwszy nawet naszych starozakonnych braci z ulicy franciszkańskiej!... Co się zaś tyczy moich wąsów i brody, tym wyrządzasz pan krzywdę niepowetowaną!

— Przepraszam, bardzo przepraszam... ale w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć...

— Jakto? Przed dwoma czy trzema laty... nie przypominasz pan sobie?... Jeżeli się nie mylę, na balu u państwa Józefów... dwie mile od K**... kiedy to ten jegomość z długimi wąsami...

Pan Sabin położył palec na czole i długo myślał. Po chwili ze smutnym wyrazem na twarzy odparł:

— Dziwna rzecz... nie mogę w żaden sposób przypomnieć sobie, a jeżeli się nie mylę, to u państwa Józefów nigdy nawet w tym czasie żadnego balu nie było! Pani Józefowa od pięciu lat chora...

— Nie wiem, co wy na wsi balem nazywacie! Więc wieczór, prosty, tańczący wieczór...

— Nie panie... zdaje mi się... bardzo przepraszam... zdaje mi się, że się pan mylisz...

— Tam do kata! Słusznie pan mówisz! Pomieszało mi się w głowie! Wszak to było u pani marszałkowej...

— Prędzej u pani marszałkowej! Tam bywałem dosyć często!

— Tak, tak, u pani marszałkowej. Teraz jasno sobie przypominam. Pan tańczyłeś z tą blondynką w białej sukni, co to kwiatki miała we włosach! Tańczyłeś pan mazura... nieprawdaż?

Pan Sabin położył znowu palec na czole. Blondynek wiele widział i z niejedną tańczył. Biała suknia i kwiatek na głowie to także nie było nic nieprawdopodobnego. Wreszcie przypomniał sobie dosyć wyraźnie, że raz na zebraniu u pani marszałkowej tańczył mazura z panną, która w samej rzeczy miała białą suknię i jakiś kwiatek we włosach. Z weselszą więc miną uśmiechnął się i odparł:

— Coś przypominam sobie... to była panna Serafina córka pana Jędrzeja ze Słomina...

— Tak, tak... a pan Jędrzej z równymi sobie wiekiem bawił się rozmową o gospodarstwie, o polityce...

— Kogoż mam przyjemność widzieć przed sobą? Przepraszam bardzo za moje pamięć nieudolną...

— Nie przypominasz pan sobie... gdyś pan tańczył mazura z panną Serafiną, i obaj mieliśmy tę figurę wykonać która się tak fa-

talnie nam udała, żeśmy jej w żaden sposób rozwiązać nie umieli...

— Tak, tak... to się często w liczniejszych zebraniach wydarza... Przypominam sobie, że pod koniec myliliśmy, osobliwie po figurze z butelkami wina... ale zdaje mi się, że pan wtedy nie miałeś brody!

— Otóż cała zagadka rozwiązana! Rzeczywiście nie miałem brody. Broda bardzo zmienia człowieka.

— A jeżeli zapytać się mogę... przepraszam za moją pamięć... jak pana nazwisko?

— Przy nazwisku rzecz do reszty się wyjaśni. Jestem Bolesław ***. Piliśmy obaj razem zdrowie panny Serafiny. Ładna blondynka ale nie w mym guście. W Warszawie obaczysz pan piękniejsze... Czy na długo pan do Warszawki zagościłeś? Interesa, interesa! O gdyby to człowiek mógł nie mieć żadnych interesów!

Pan Sabin trzymał ciągle palec na czole. Pana Bolesława nie mógł nigdzie w swojej pamięci wyszukać. Ale to co pan Bolesław mówił, było wszystko prawdziwe. Wprawdzie po figurze z butelkami na owym wieczorze u marszałkowej mało co pamiętał, ale przecież musiała w tym peryodzie czasu zajść jakaś bliższa z panem Bolesławem znajomość, jeśli tak śmiało do niej się odwołuje. Postanowił więc dać za wygraną i znajomość pana Bolesława wciągnąć do rejestru swoich notatek podróży.

— Czy pan stale mieszkasz w Warszawie? zapatał po chwili pan Sabin, aby pauzę milczenia czymś wypełnić.

— Tak, od dłuższego czasu stale mieszkam w Warszawie, odparł pan Bolesław rzucając się na kanapę, masz pan przy sobie cygara? Jeśli nie, to ja będę mógł panu ofiarować z moich....

— Przepraszam za moją nieuwagę, proszę pana, tu są cygary..... tu scyzoryk i zapalniczki.

Pan Bolesław wybrał najlepsze, zapalił, a wydmuchnąwszy chmurę dymu, mówił dalej:

— Wiesz sam, kochany panie Sabinie, że wieś dzisiaj, nie wiele przynosi. Człowiek pracuje od rana do nocy i cóż ma za to? Dzisiaj otwarły się nowe drogi łatwego i przedkiego zysku. Spekulacja giełdowa, zakładanie kolei żelaznych, banków i domów komisowych, słowem różne przedsiębiorstwa przemysłowe dają dzisiaj bez żadnego mozołu daleko więcej zysków, niżeli wzorowe gospodarstwo w ziemi. Sprzedałem więc to, co miałem i wykierowałem się na mieszczaństwo. A ponieważ tylko tu co kilka miesięcy mam rachunki z bankierem, a resztę czasu zostaje mi do wolnego użytku, to jak najchętniej poświęcam

go moim dawnym znajomym ze wsi, jeżeli gruntu warszawskiego dobrze nie znają. Rozumię się, czynię to bez wszelkiego interesu.

— Jestem panu bardzo obowiązany! odparł pan Sabin, — ja wprawdzie nie mam tak szczególnych interesów...

Kiedy pan Sabin te słowa wymawiał, patrzył na niego pan Bolesław wzrokiem tak badawczym, że mówiący mimowoli spuścił oczy i lekko zarumienił się. Pan Bolesław uśmiechnął się do siebie, strzepał popioł z cygara i rzekł:

— Nieszczerym pan jesteś przed dobrym znajomym swoim, panie Sabinie! Znam ja was dobrze wszystkich, którzy z rumianami jak bułka dobrze wypieczona twarzami przybywacie w czasie karnawału do Warszawki. Jesteście potulni i nieśmiali jak trusiątko, a każdy z was wykrada nam Warszawiankę i jak

ongi trzech Budrysowie, wiezie pod burką na wieś!... Cóż robić, taki porządek rzeczy! Szczęść wam Boże!

Na te słowa jeszcze mocniej zarumienił się pan Sabin. Zdaje się że bystre oko pana Bolesława wyczytało na jego białą rumianą twarz również podobne zamysły. Utwierdzał go w tym duży kufer z świecącymi guzikami, który dla zwykłych, gospodarskich interesów za wiele mieścił w sobie treści.

— Przyznam się panu, ozwał się po chwili pan Sabin, że moje interesa w Warszawie są czysto materyjalnej natury. Matka moja, która od lat kilku jest wdową, przenosi majątek na moje imię...

— Słyszałem coś o tym. Wspominał mi przed kilku dniami rejent pan Gerwazy.

— Czy pan znasz pana rejenta Gerwazego? ciekawie zapytał pan Sabin.

— Jeden z najlepszych moich przyjaciół. Bywamy codziennie razem na obiedzie u François.

— To mnie bardzo cieszy. Są między nami niektóre nieporozumienia co do summy hipotekowanej.

— Wszystko to się ułoży jak najlepiej Ręczę panu. Rejent Gerwazy to człek poczciwy jak rzadko!... Ale jeśli się nie mylę pan masz siostrę niezamężną!... Jakimże sposobem przenosi się cały majątek na imię pana?

— Siostra jest zahipotekowana z summą, wyrównywującą połowie wartości.

— A to dobrze i praktycznie. Pan jesteś w hipotece właścicielem, a to sprawia zawsze pewny efekt, osobliwie jeżeli kto w czasie karnawału przyjeżdża do Warszawki z tak wytwornymi akcesoryjami życia, jak np. ten kufer ze skóry angielskiej, ćwieczkami symetrycznie nabijany, to pudło z kapeluszem, który

jak w ciepłym gniazdeczku wygrzewa się do przyszyłych zwycięstw i te trzy gałki od trzech lasek sterczące poza rączką od parasola...

— Pan zdobywasz cudze tajemnice jednym zamachem, podobnie do Bolesława Śmiałego.

— Ile razy o moim imieniu myślałem, przechodził mi zawsze przed oczyma Bolesław Chrobry lub Śmiały!... Wierzaj mi pan, jak to już powiedziałem, imię dane na chrzcie dziecku, wpływa bardzo wiele na ukształcenie jego charakteru... Dla tego obawiam się bardzo, abyś pan ze swoim romantycznym imieniem przypominającym początki Rzymu...

Pan Sabin wrócił już do dobrego humoru. Dziwne spotkanie pana Bolesława, które zrazu niemiłe na nim sprawiło wrażenie, zaczęło mu odślaniać swoją stronę przyjemną. Miał przynajmniej z kimś pomówić, uśmieć się, pożartować, a w razie potrzeby, zapytać się o niektóre lokalne rzeczy. Niema bowiem nic

nudniejszego, dla zwykłego człowieka jak przyjechać do większego miasta i niemieć znajomego, któryby był w stanie dać o miejscowości różne wyjaśnienia.

Tak myślał sobie pan Sabin i zaczął powoli oswajać się z nową swoją znajomością.

Pan Bolesław spojrział na zegarek. Było już sporo po drugiej godzinie. Ozwał się do pana Sabina:

— Jest to godzina, w której zazwyczaj jadam u François. Trudno mi jednak oderwać się tak prędko od pana, tym bardziej że jeszcze z sobą mamy do mówienia. Spodziewam się, że obopólną będzie naszą przyjemnością, jeżeli obiadek tutaj razem zjemy. Tu także wcale nie jest zła kuchnia.

Rzekłszy to, wstał z kanapy i pociągnął za dzwonek. Nim jeszcze pan Sabin mógł się na coś zdecydować, stał już w pokoju numerowy i z należytą submissyą służył dyspo-

zycy pana Bolesława, która gastronomicznym jego wiadomościom niemały czyniła zaszczyt. Pan Sabin słuchał z widoczną rezygnacją.

Pod sam koniec długiej litanii potraw i przystawek gdy numerowy ku drzwiom się zwrócił, zawołał jeszcze pan Bolesław.

— Nie zapomnij także zalecić portyerowi, aby wystarał się o bilet do łoży pierwszopiętrowej... zapewne pan nie wiesz jeszcze, dodał zwrócony do pana Sabina, że dzisiaj towarzystwo włoskie daje w wielkim teatrze „Proroka“. Jest to najlepszy popis pani Trebelli. Obaczysz pan zarazem cały świat piękny!

Pan Sabin chciał przeciw temu protestować, otworzył nawet już usta — ale p. Bolesław rozpoczął tak długą historią trupy włoskiej i teatru warszawskiego, że pan Sabin wtedy dopiero przyszedł do głosu, gdy numerowy stawiał na stole butelki i obok „Cha-

teau Lafitte“ bilet na łożę pierwszopiętrową położył.

Pan Sabin widział, że protestacja jego przyszłaby w każdym razie już po niewczasie i zgodził się na bilet pierwszopiętrowej łoży z mocnym postanowieniem, że drugi raz nikt go tak łatwo „na muchę“ nie złapi.

III.

Obiadek był wytworny i smaczny, wesola rozmowa pana Bolesława była wcale dobrą przyprawą. Do lepszego nastroju przyczyniło się i wino, które stósownie po każdej porcji wybierane, uzupełniało się wzajemnie.

Gdy pan Sabin sam w swoim pokoju został, zaczął rozmyślać nad sobą. Dzień dzisiejszy był dla niego dziwnie wyjątkowym. Przyjechał do Warszawy z pewnym, ułożonym planikiem, ale zaraz na wstępie pochwycił go wir wielkomiejski i zaniósł go tam, gdzie się bynajmniej nie spodziewał.

Najprzód zawieziono go do hotelu paryskiego, podczas gdy on wyraźnie żądał sas-

kiego. Stało się to wprawdzie wbrew jego woli, ale gdy dłużej nad tym pomyślał, przekonał się, że to mniej więcej na jedno wyjdzie, czyli, jak się wyraził posługacz kolejowy, tak samo zedrą go tutaj jak w saskim. Nie miał więc z tego powodu ani sobie ani ludziom nic do zarzucenia, tym bardziej, że obiadek był smaczny i wino było wyśmienite.

Drugą fatalnością mogłaby być narzucona przemocą znajomość pana Bolesława. Po bliższym jednak rozpatrzeniu się i to zdarzenie nie było koniecznie tak złym. Być może, że pan Bolesław miał słuszne prawo do jego znajomości. Przypomniawszy sobie, że na owym wieczorku u pani Marszałkowej, osobliwie po figurze mazurowej z butelkami, całował się nader serdecznie z jakimś brunetem, który jednak nie miał brody. Wszelkie więc jest prawdopodobieństwo, że to był pan Bolesław,

bo inaczej nie wiedziałyby o panie Serafinie, ani o jej kwiatku we włosach.

Pan Bolesław wydawał mu się wprawdzie dzisiaj śmiałym natrętem, który literalnie nim przez kilka godzin rozrządzał, ale z drugiej strony tłumaczył to natręctwo odwieczny zwyczaj, który stałemu mieszkańcowi Warszawy daje przywilej bawić i wyciskać tych, którzy ze wsi przyjeżdżają.

Wprawdzie pan Bolesław wziął się trochę impetycznie do gościa ze wsi, ale to samo uczynił posługacz kolejowy i konduktor omnibusu paryskiego. Jeżeli zaś tym darował pan Sabin, dla czego miałyby wziąć za złe dawnemu znajomemu, któremu nawet zbyt wczesnym zapomnieniem krzywdę uczynił.

Ekonomiczna strona tego drugiego wydania była jednak trochę drażliwa. Obiadek kosztował dziesięć rubli, łoża pierwszopiętrowa z naddatkiem drugie tyle. Ależ mój Boże!

Po cóż więc jedzie się do Warszawy albo Paryża jeżeli nie po to, aby tam pieniądze zostawić? Zostawić wiele pieniędzy w wielkim mieście już samo przez się jest rozkoszą, a któż w tej rozkoszy na całej kuli ziemskiej może nas prześcignąć?

Tak myślał sobie pan Sabin i uspokoił się. Nie czynił on ani mniej ani więcej, jak czynili jego ojcowie i jak czynią dotąd wszyscy jemu rówieśni. Nie odstąpił więc ani o jotę od zwyczaju narodowego, a kultywowanie dawnej tradencji także coś znaczy! Niech zna świat i... garson hotelowy, że Polak dobrze żyje i dobrze płaci!...

Kiedy tak pan Sabin w duchu z sobą rozmawiał, stanął nagle na środku pokoju, a oczy jego błękitne zaświeciły się jaśniej. Kłasnął palcami, tupnął nogą i z głośnym śmiechem zawołał:

— Warszawianie myślą, że my dudki ze

wsi, i że nas doić mogą podług woli! Otóż omyli się na mnie pan Bolesław. O kilkanaście lub kilkadziesiąt rubli nie stoję, które mi z kieszeni wyciągnę na obiady i teatr, ale za to ja wyciągnę z niego wszystko, co tylko przez długie lata w Warszawie wielkim kosztem i trudem sobie zbierał. Wycisnę z niego wszystko, co tylko ma, i korzystnie użyję do moich interesów i zamysłów...

Przy ostatnim słowie zaczerwienił się lekko pan Sabin i umilkł.

Zamysły pana Sabina były tego rodzaju, o których nietylko przed nikim ale nawet przed samym sobą się nie mówi. Możliwe by nawet prędzej nazwać marzeniami, bo zamysłów pewnych, naprzód obliczonych nie lubił Sabin.

A marzenia pana Sabina łatwo odgadnąć. Już samo wspomnienie panny Serafyny, która na owym wieczorze stała się powodem nie-

przyjemności, wskazuje ślad tych marzeń, starannie w duszy tajonych.

I marzenia Sabina były bardzo słuszne. Miał lat dwadzieścia i sześć, piękne dwie wioski na swoje imię zahypotekowane, twarz białą z leciuchnym rumieńcem i starannie zawsze uczesane włosy. Z takim kapitałem można rzucić się na wielką giełdę życia i być pewnym wygranej.

Otóż pan Sabin chciał się naprzód rozpatrzeć między papierami, mającemi kurs na giełdzie stolicy nadwiślańskiej. Nie marzył on bynajmniej o grze hazardowej, nie pragnął papierów mających kurs zbyt ruchomy, nie liczył na niebezpieczną różnicę podwyżki lub spadku, ale życzył sobie osiąść na dożywocie papier wartościowy, który jakkolwiek niósłby mały procencik, ale za to nie podlegałby żadnym fluktuacyom...

Po utracie panny Serafyny, którą nabył

jakiś nielitościwy rotmistrz od huzarów, marzył pan Sabin o podobnej jakiej do niej siostrzyczce, któraby miała te same oczy, ciemnoszafirowe, i taką samą gładko utoczoną kibić. A marzenia te powziął w nader sprzyjającej dobie, bo równocześnie z niemi miał odbyć karnawał w Warszawie i przeniesienie całego rodzicielskiego majątku na swoje imię. Trudno było o bardziej sprzyjające okoliczności.

Do jakiej istoty miały się nawiązać jego marzenia, nie trudno odgadnąć. Spokojnego i łagodnego usposobienia, pragnął pan Sabin również spokojnego szczęścia. Niechciał zdobywać go przemocą, nie szukał go w drażliwym dramacie, ale marzył o pięknej, cichej jak woda spokojnej idyli. A takiej idyli miała mu dostarczyć Warszawa!

Rozumie się, że przy takich tajemnych marzeniach nowa znajomość pana Bolesława

była mu nader na rękę. Pan Bolesław był warszawiakiem z krwi i kości, a przynajmniej takim się wydawał. Znał całe społeczeństwo miejskie, znał i te które jak ptaki wędrownie z upragnieniem gniazdka sobie szukają. Mógł go więc we wszystkim objaśnić, być mu radą i pomocą, gdy tego potrzebował, słowem, na obcej mu drodze mógł mu wybornie służyć za przewodnika. Pan Bolesław wydawał się teraz panu Sabinowi jako człowiek umyślnie dla niego stworzony!

Do takich rezultatów przyszedł pan Sabin po tym wytwornym obiadku i wysmienitym winku. Zatarł z radości ręce i podziękował panu Bogu, że go w paryskim omnibusie zawiózł na prawdziwą drogę szczęścia, której pierwiej nie wiedział, spierając się z posługaczem kolejowym. W tym zdarzeniu widział teraz widoczny palec Boży, który prowadzi

każdego człowieka do upragnionej mety jego, choć człowiek często się temu opiera.

Rozprawiwszy się w ten sposób z sobą i z Panem Bogiem, zaczął się Sabin ubierać według instrukcyi jaką mu zostawił pan Bolesław. Godzina bowiem przedstawienia Prooka była już nie zbyt daleko.

IV.

Z uderzeniem godziny siódmej, był już cały teatr napełniony. Wystąpienie pani Trebelli w roli głównej zwabiło mimo karnawału bardzo liczną publiczność. Wszystkie łoże były świetnie obsadzone.

Odwrócony od sceny, z lornetką w oku a znudzeniem na twarzy, jakby przedstawić się mająca sztuka już żadnego dla niego nie miała interesu, gdyż ją prawdopodobnie na zagranicznych teatrach nie raz widywał — siedział pan Bolesław z pewną arystokratyczną aureolą. Obok niego wyświeżony i z największą skrupulatnością wystrojony rozparł się

pan Sabin, naśladując o ile mógł, pozę swego towarzysza.

Różnica jednak była między nimi wielka. Pan Bolesław patrzył obojętnie jakby to, co widział, było dla niego codziennym widokiem. Można go było słusznie posądzić o to, że był stałym abonentem łoży, więcej dla protekcji sztuki i zadośćuczynienia zwyczajom wyższego towarzystwa, niżeli dla istotnej rozrywki lub umysłowej korzyści.

Pan Sabin różnił się we wszystkim od swego towarzysza. Był naprzód jasnym blondynem i twarzy nadzwyczaj białej z lekkim rumieńcem. W ubraniu jego widać staranność nadzwyczaj wyszukaną. Twarz jego była ożywioną, oczy świeciły pewnym wzruszeniem, jakie mu sprawił widok niezwykły. Widoczną było, że wyłożony na łożę koszt, chciał we wszystkich kierunkach należycie spożytkować. Patrzył z całym zajęciem na scenę, gdy wychodzili

Anabaptyści lub gdy tłumy mieszkańców niemieckich ślizgały się na łyżwach po lodzie. Z równą skrupulatnością słuchał w przestankach orkiestry, co mu jednak wcale nie przeszkadzało, przyglądać się wszystkim łożom i parterowi. Prócz tego zachowanie się jego w łoży dawało do mniemania, że i sam chciał być widzianym na tak znakomitym stanowisku towarzyskim.

Towarzysz jego patrzył na niego z ukosa i uśmiechał się. Odpowiadał na jego pytania, z wszelkimi szczegółami, zapoznawał go z otaczającym pięknym światem.

— To jest żona bankiera, mówił do niego wskazując na damę w czerwonym baszłyku, mąż jej stara się wszelkimi siłami, aby został jeneralnym konsulem księcia Monaco... żona życzy sobie tego.

— A ten jegomość z równo podstrzyżo-

nemi wąsami, w towarzystwie młodej kobiety z elegantem na drugim planie?...

— To jest tylko złudzenie optyczne, mój panie Sabinie — elegant z lornetką w oku jest właściwie tam na pierwszym planie a mąż w perspektywie. Jestto małżeństwo zacne ale niebogate. Przyjaciół domu wie o tym, i z nadzwyczajną delikatnością umie zawsze wystarać się o łożę pierwszopiętrową, co też mąż z wdzięcznością i rezygnacją przyjmuje.

— A tamta jejmość pstrokato ubrana z trzema młodemu twarzyczkami, które zawsze są uśmiechnięte?

— To właścicielka małej wioseczki w Kalkim, która tym sposobem zamysła pozbyć się swoich skarbów macierzyńskich. Dwie córki mają wprawdzie konkurentów na wsi. Znam ich obu. Poczciwi, pracowici choć niezamożni ludzie. Ale mameczka w porozumieniu z cór-

kami postanowiła nie dać im natenczas ostatecznej odpowiedzi, ale popróbować szczęścia w stolicy. Pożyczono na ten cel pięć tysięcy rubli, które mają być wydane na teatr, herbatki tańczące, baliki i reszty wraz z potrzebnymi akcesoryami życia wielkoświatowego. Gdy się ta pożyczka wyczerpie, a żaden bogatszy dudek (wyrażenie mamy dobrodziejki) na wędkę się nie złapie, to wrócą wszystkie, uboższe o pięć tysięcy rubli, na wieś, a panny: Florentyna i Klementyna rzucą się swoim wiernym kochankom na szyję, opowiadając im, jak mocno w nudnej Warszawie za nimi tęskniły... I na wielkanoc będą dwa weseliska!

— Nie chciałbym być jednym z tych wiejskich konkurentów, do których się wraca, gdy wszystko inne zawiedzie!

— Szczęście i miłość mają zazwyczaj oczy

związane... chociaż Florentyny i Klementyny patrzą bardzo trzeźwo.

— A ta mama z córeczką w sukni *à la religieuse*, z którą rozmawia Adonis z czarnym wąsikiem?

— To szczęśliwa para narzeczonych. Oświadczył się w trzeciej figurze kadryla, a w walcu otrzymał przyrzeczenie ręki. Ładny chłopiec, ale głupiutki jak główka pustej makówki. Panna Blondyna kocha się w nim na zabój i jest tego zdania, że nikt w całej Warszawie z lepszym „szykiem“ się nie ubiera. Matka inaczej sądzi. Gagatek niema złamanego szeląga. Nie mogąc córce jedynacze wprost odmówić, zgodziła się na jej wolą, ale wymówiła sobie, że narzeczeni będą przez cały rok na ślub czekali — „aby się bliżej poznać“. — A tymczasem ma przezorna mameczka taki planik. Do wiosny zostaną w Warszawie. Potym wyjadą do Drezna. Ztamąd udadzą się do

wód pirenejskich, w których się Napoleon kąpie, a skończą na morzu w *Boulogne sur mer*. Rozumie się, gagatek ma im wszędzie towarzyszyć. Dzisiaj z wielką biedą pożyczyl od żydka kilkaset rubli, z któremi nie wiem czy do wiosny w hotelu Angielskim wytrzyma. Koniec więc będzie taki, że w podróży porzuci gdzieś kochaną mamę wraz z córeczką i bez butów wróci na Podlasie do stryjaszka, u którego pełni urząd gorzelnianego pisarza.

— Co też to się dzieje na większym świecie!... A ta sentymentalna para w piątej łoży?

— Dziwna historia tych ludzi. Ten młody z czarną brodą mężczyzna chciał krótką drogą przyjść do miliona. Wynalazł jak widzisz, dosyć brzydką kobietę, która rzeczywiście milion reprezentuje. Była ona córką piekarza, który jak każdy człowiek pracy, próżniaków nienawidził. Pan Antoni otrzymał więc formalnego odkosza. Znalazł jednak sposobność

i środki dostania się do serca romantycznej piekareczki i pewnej ciemnej nocy wykraść ją z ojcowskiej piekarni. Rozgniewany piekarz wyrzekł się córki, i aby pozbawić zięcia nadziei prawnego spadku po swojej śmierci, postanowił wypiekać bułki niżej kosztu, z czego Warszawianie niezmiernie się cieszą. Pan Antoni ze swojej strony postanowił żyć z ostentacją, aby dać dowód ojcu, że znaczne posiada kapitały. Ten podstęp, który odbywa się za pożyczane pieniądze, ma ojca przejednać. Zdaje się, że ta walka zawsze na niekorzyść piekarza wypadnie, który ostatecznie nie tylko córce przebaczyć musi, ale i dziśniejsze zbytkowe życie zięcia zapłaci!

— Gwałtu! gwałtu! Co to się dzieje po wielkich miastach! zawołał na głos pan Sabin, toż to wszyscy kryminaliści! To wszystkich tylko pozamykać w dyby lub z miasta na cztery wiatry wyświecić!...

— Tak mój panie Sabinie, odparł z uśmiechem zadowolenia pan Bolesław, pan nawet nie wiesz, w jak niebezpiecznym peryodzie życia teraz jesteś!... Społeczność wielkiego miasta ma swoje osobne prawa, któremi się rządzi, i drogi jakimi chodzi! Wyobraź sobie, że na długim a wysokim moście, zawieszonym nad straszliwą przepaścią, bez poręczy i parapetów zbierze się wielka ilość ludzi, która gwałtem na drugą stronę chce się dostać. Czy widziałeś pan co się w takim razie dzieje, jak to np. w czasie wojny widzieć można? Oto jedni spędzają drugich, brat brata, przyjaciel przyjaciela pcha nielitościwie w przepaść, aby się tylko ocalić i samemu nie spaść! Tak się dzieje i w społeczeństwie wielkiego miasta. Tysiące pragną jednego i tego samego i borykając się używają różnych środków, aby tylko jak najprędzej przyjść do celu!

O moralność środków nikt tu nie pyta, byle tylko paragraf kodeksu ominąć!

— Okropnie! Okropnie! wołał pan Sabin na całe gardło w chwili, gdy pani Trebelli najpiękniejszą arya śpiewała — okropnie! Toż tutaj człowiek jak w jaskini zbójców!

— Jakkolwiek wyraz trochę za silny, ale słusznie pan mówisz. Dla tego wielkim szczęściem jest dla każdego, kto w wirze wielkomiastrzym znajdzie życzliwego przyjaciela, który mu wskaże gdzie głębia a gdzie mielizna.

— Prawda, prawda, odparł z powagą pan Sabin i ścisnął pana Bolesława serdecznie za rękę, bo właśnie w tej chwili odsłonięto na scenie okropne więzienie w podziemiach zamku.

Okazując różne figury i figurki panu Sabinowi ominął pan Bolesław jedną łożę, która wprost naprzeciw nich była. I pan Sabin nie zwracał jakoś uwagi na tę łożę. Za to zwracała ta łoża całą swoją uwagę dosyć widocz-

nie na pana Sabina i jego towarzysza. Osobliwie podczas przedstawienia, gdy pan Sabin cały tonął w melodramatycznej akcji Proroka, rozmawiały w teje łoży obie damy ze sobą, patrząc od czasu do czasu na łożę przeciwną.

Jedna z nich miała przeszło czterdzieści lat. Ujmował jednak nieco z tych lat wykwintny, świeży ubiór i jak się wydawało temperament nadzwyczaj żywy. Nie była ani chwili spokojną a ustawiczne jej ruchy wstrząsały czarnymi puklami włosów, które nader misternie jej białe czoło okrażały. Towarzyszka jej stanowiła dziwny kontrast. Mogła mieć około lat dwudziestu. Ciemnokasztanowate włosy spadały z górnego węzła spokojnie i w liniach regularnych na szyję. Twarz jej spokojna, zadumana nie była wcale ładną, ale miała pewien wyraz, który nawet szpetne twarze czyni miłemi. Całą ozdobą tej twarzy były duże, wypukłe, czarne oczy, które obra-

cały się nader powoli. Leniwo odrywały się od jednego przedmiotu, aby przejść na inny. Odbywało się to nawet z pewnym wysileniem, z niejakim smutkiem, że się dalej przechodzi. Oczy takie mają zazwyczaj bardzo wiele władzy, ale wtedy tylko, gdy o tej władzy swojej — nic nie wiedzą!

Zdaje się że dla Sabina nie miały one żadnej władzy, choć bardzo często na jego białej twarzy spoczywały. Częściej jeszcze przesuwały się oczy piwne starszej damy, ale i tego nie uczuł bynajmniej Sabin.

Pan Bolesław ukradkiem kilka razy spotykał się z temi oczami, i zdawało się, że jakiś dziwny uśmiech przemykał się wtedy po jego twarzy gęsto czarnym włosem ocienionej.

V.

P o skończonej operze odprowadził pan Bolesław swego nowego przyjaciela aż do bramy hotelu, zadzwonił i na dobranoc serdecznie mu rękę uściskał. Pan Sabin miał wprawdzie wielką ochotę zapłacić jeszcze za kolacyjkę wspólną, bo pan Bolesław mentorstwem swoim w teatrze rzeczywiście na to zasłużył, ale czcigodny mentor był tym razem tyle wyrozumiałym, że od wspólnej kolacyjki wymówił się, jak mógł, najkrócej. A nim jeszcze odźwierny klucz dwa razy obrócić zdołał, był już pan Bolesław na końcu Ulicy Bielańskiej, z kądem szybkim krokiem podążył na Leszno.

Jeżeli z chodu człowieka można coś wróżyć, to chód pana Bolesława oznaczał coś niepospolitego. Coś było w jego myślach czy sereu, co go z wielką gwałtownością naprzód pchało. Prócz tego z twarzy ustawicznie do siebie się śmiejącej, widać było, że jakaś myśl śmiała i szczęśliwa prowadziła go na zły chodnik Leszna. Być może, że z takim impetem i z tak pogodną twarzą dążył król Bolesław do owej bramy historycznej, aby w niej szczerbku pamięci potomnych zostawić...

Szybko przebiegł „Przejazd“, minął dwa sfinxy, czatujące wśród nocy przed frontem uspiętej kamienicy, szedł dalej i dalej, aż wreszcie zatrzymał się przy rogu Orlej. Spojrzał w okno pierwszopiętrowe i zadzwonił. Stróż ze świecą otworzył mu bramę. Pan Bolesław korzystając ze światła, obejrzał starannie swój ubiór, zaplął czarny tużurek pod

samą brodę i przybrał na twarzy wyraz nader uroczysty.

Wszedłszy na pierwsze piętro, podszedł z cicha pod drzwi po prawej stronie i ostrożnie zadzwonił.

— Czy panie już wróciły z teatru? zapytał służącej, która powitała go uśmiechem jak znajomego.

— Tylko starsza pani wróciła, odpowiedziała służąca, a panna Agrypina poszła na wieczór tańczący do ciotki.

Pan Bolesław namyślił się chwilę. Potym kazał służącej zapytać się pani, czy go przyjmie.

Pani przyjęła — pan Bolesław wszedł do saloniku.

Była to starsza dama z owej łoży, naprzeciwno tej, w której siedział pan Sabin ze swoim towarzyszem.

— Cóż pana tak późno do nas wiedzie, panie Bolesławie? zapytała gospodyni z wesołym uśmiechem.

Pan Bolesław nic na to nie odpowiedział, tylko zbliżył się do damy i z uszanowaniem rączkę jej ucałował.

— Na miłość Boga! ozwała się wesoła gospodyni, panie Bolesławie cóż to jest! Pan chodzisz na koturnie. Czy chcesz pan wkrótce w rolach tragicznych debiutować? Twarz poważna, tużurek pod szyję zapięty!

— Jestem sam sobą w tej chwili, odpowiedział ponuro p. Bolesław. Żadnej roli nigdy nie myślę odgrywać.

— Żal mi pana, ale cóż było robić! Agrypina nie chciała o niczym wiedzieć! Robiłam, co było w mojej mocy, a bądź pan przekonany, że wiele zrobić umiem. Tu jednak nic a nic zrobić się nie dało.

Pan Bolesław westchnął i usiadł na krześło. Wesoła, żywa kobieta uderzyła go w rękę i szczebiotała:

— Ale przecież na mnie nie będziesz się pan gniewał! Już ja najwięcej na tym tracę. Agrypina dała panu odkosza, a ja za to straciłam wybornego dansera na cały karnawał. Dziwią się inne, że ja tak tańczyć jeszcze lubię, czy i pana to dziwi panie Bolesławie?

— Mnie w ogóle dziwi to, jak ludzie na świecie weselić się jeszcze mogą!

— Ach, to toa tragiczny! Nie przychodź pan do mnie z takim usposobieniem!

— Jeszcze coś gorszego usłyszysz pani ode mnie! Proszę się na to przygotować!

— Zastraszasz mnie pan! Miej litość! Jestem sama! Agrypina poszła na bal do ciotki!

— Tym lepiej, nie potrzebuję nic w bałęną obwijać. Będę jasnym i zrozumiałym.

— Zlituj się pan! Bierzesz mnie na tortury! No prędzej... czy jeszcze nie?

— Żywię w duszy straszne zamysły! Moje serce wzgardzone pała — zemstą!

— Zemstą! Coś pan wyrzekł za okropne słowo! Gdybym miała słabe nerwy...

— Chcę znaleźć sobie spółnika... spodziewam się, że pani będzie tym spółnikiem!

— Ja spółnikiem jakiejś zemsty? Uchowaj Boże! Pan odchodzisz od rozumu!

— Nie pani. Jestem właśnie przy tak pełnym rozumie, jak dawno już nie byłem.

Pani Ludgarda (tak się nazywała wesoła kobieta) rzuciła się na fotel i wybuchnęła głośnym spazmatycznym śmiechem. Śmiała się i śmiała bez końca, podnosiła się i padała znowu na fotel jakby kurczów dostała.

— Ach to zabawnie! rzekła po jakimś uspokojeniu się, to bardzo zabawnie! Chcesz się pan zemścić na mojej kuzynce jako wzgar-

dzony konkurent i do tej spółki mnie zapraszasz! Cóż pan wybierasz, truciznę czy sztylet?

— Nie pani... chcę ją za mąż wydać! odpowiedział pan Bolesław z uroczystym wyrazem na twarzy.

Pani Ludgarda przestała się śmiać. Patrzyła czas niejaki na pana Bolesława, jakby go dobrze zrozumieć nie mogła. Po chwili wstała, zbliżyła się do niego i przyłożyła obie drobne rączki do skroni.

— Pan masz gorączkę, rzekła z litośnym uśmiechem, każę panu tyzanny zgotować...

— Dziękuję za litość, odparł chłodno pan Bolesław, mówię pani jeszcze raz, że nigdy chłodniej słów nie obliczałem...

Pani Ludgarda rzuciła się znowu na fotel. Przybrała także wyraz uroczysty na twarzy i rzekła:

— Pan coś straszego knujesz, panie Bolesławie! Zaczynam się pana lękać!

— Czy pani nie znasz innej zemsty prócz trucizny, sztyletu, a co najgorsza, ostrego jęczyczka?... Taka zemsta byłaby zbyt pospolitą. Dla ludzi lepszego wychowania zemsta szlachetna jest najsłodsza!

Z niedowierzaniem patrzyła na niego pani Ludgarda. Na jej białe czoło wystąpiły dosyć niedyskretnie starannie ukrywane zmarszczki. Nawet twarz jakos przeciągła się, a ułożona do wiecznego śmiechu, wyglądała teraz dziwnie.

— Zaczynasz pani wiele u mnie tracić, mówił dalej p. Bolesław, jeżeli nie pojmujesz szlachetnej zemsty...

— Właśnie myślę nad tym, co byś pan mógł taką zemstą szlachetną — zarobić.

Pan Bolesław strzelił na mówiącą dziwnym wejrzeniem, lecz wnet uspokoił się.

— Rzecz jasna i prosta. Panna Agrypina jest dla mnie straconą pozycją. Powiedziała mi to sama, nie obwijając nawet w bawełnę.

Cóż mi z tego przyjdzie, jeżeli przejdę na stanowisko nieprzyjacielskie? Dogodzę na chwilę obrażonej dumie mojej lub rozranionemu sercu, a tymczasem stracę to, że panna Agrypina obmówi mnie przed wszystkimi swojemi przyjaciółkami! Mocarstwa po stoczonej bitwie, zawierają zazwyczaj z sobą przyjaźń ściślejszą, niżeli była przed fatalną bitwą. Otóż i ja niosę w zębach gałązkę oliwną i prowadzę za rękę konkurenta, z którego cała familia datująca się od św. p. garbarza, kontentą będzie!

— Dobrze, że mnie pan od famillii wyłączasz!... Cóż to za konkurent, czy ten blondynek o blade rumianej twarzyczce, który z panem był w łoży i z taką skrupulatnością zapłacony spektakel konsumował?

— Rejent pan Gerwazy może pani bliższe o nim dać wyjaśnienie.

— Czy Agrypina mu się podobała? Ani razu przecież z uwagą nie spojrzął na nas!

— Przez całe widowisko nie dawał mi pokoju! Zakochał się na śmierć!

— Agrypina dosyć obojętnie o nim mówiła... Ciekawe bowiem byliśmy, kto z panem w łoży!

— Nie będzie obojętną, gdy się dowie, że ma to, czego mi jedynie brakowało, to jest: dwie wioski w dobrej glebie, i że go rodzi hrabianka z domu. On sam hrabią nie jest, ale wyjechawszy np. do Drezna, może śmiało kazać sobie wydrukować na karcie wizytowej koronę hrabiowską! Nazwisko jego to zniesie.

— Dla czego pan to wszystko mówi z taką ironią, z takim sarkazmem!

— Czasami jest to oznaka, że się jeszcze kogoś kochać nie przestało... Ale wróćmy do rzeczy. Mówię to dla tego, bo jestem prze-

konany, że panna Agrypina tylko takiego męża sobie wybierze, któryby kwas garbarski od jej antenata zawiewający, swoją pozycją towarzyską zneutralizował. Jest to wrodzona słabość naszych pocziwych pracowitych mieszczan. Dwie wioski i koligacya z wyższym towarzystwem to coś znaczy!

Pani Ludgarda zamyśliła się. I jej zawadzał czasem ten kwas garbarski. Po chwili ozwała się:

— Pan tyle nagadałeś mi rzeczy na seryo, że to wszystko w mojej do wesołości stworzonej głowie pomieścić się nie może. Trzeba się nad tym dobrze namyśleć i to naczczo przed kawą... Mówisz pan, że się zakochał w Agrypinie? Czy posiada jaki talent, czy ma jakie zamiłowanie do czego?

— Tańczy szalenie!... W Agrypinie zakochany po uszy!

Pani Ludgarda podskoczyła z fotelu, klasnęła w ręce i wykręcając się po salonie wołała:

— A to dobrze! Tańczy szalenie! Czy zakochany czy niezakochany to mniejsza, ale tańczy szalenie!...

Pan Bolesław wstał i wziął kapelusz do ręki. Z uśmiechem patrzył na wesołą kobietę.

— Dla czegoż pani nie poszłaś z panną Agrypiną na balik do pani Maciejowej? zapisał.

— Naprzód że ja... kwasów nie lubię, a powtóre jutro będzie u mnie tańczące towarzystwo...

— *Cinna soyons amis!* rzekł pan Bolesław i podał pani Ludgardzie rękę na pożegnanie.

VI.

Kiedy o przyszłości dwojga ludzi w ten sposób rozprawiano, byli ci ludzie daleko od siebie i [w zupełnie odmiennych warunkach życia. Nic nie wskazywało, żeby kiedykolwiek się do siebie zbliżyć mogli.

Panna Agrypina była w tej chwili w jasno oświetlonej sali. Włosy jej kasztanowate i ciemna cera twarzy odbijały bardzo korzystnie od żółtej sukni ubranej *à la Pompadour*. Była otoczona licznym zastępem młodzieży. Każdy starał się jej wejrzenie pochwycić, które było u wielu w nadzwyczajnej cenie, bo przez nie widać było w głębi dwie kamienice przy ulicy Święto-

jańskiej, gdzie niegdyś wisiał szyld śp. dziada, pracowitego cechmistrza. Wielu nawet dla prędszego zdobycia tych realności używało w rozmowie z wnuczką języka francuskiego, na co roztropna wnuczka również po francusku odpowiadała i to nawet z dobrym akcentem.

Najzawziętym wielbicielem panny Agrypiny był tak zwany naczelnik biura z izby obrachunkowej, którego bynajmniej w tej chwili rachunkowość nie obchodziła. Wygłaszał bowiem raz po raz różne wiersze znakomych naszych poetów, zaczawszy od bajek Krasickiego a skończywszy na „wlaź kotek“ Syrokomli. Nawet sonety krymskie musiały iść do ataku, które urwały się nader tragicznym zakończeniem:

..... Jedźmy! Nikt nie słucha!

I w istocie dalszych sonetów nie było komu słuchać, bo aplikant z komisji Sprawiedliwości perwał w tej chwili Agrypinę

w swoje objęcia i jak szalony pomknął z nią na środek sali.

Aplikant był o dwadzieścia lat młodszy od naczelnika, miał krucze włosy, wąsik starannie do góry zakrecony i przepyszenie nastrzępione angielskie bakenbardy. Tańczył walca z wielką gracyą i nader kunsztownie wywijał gibką kibicią panny Agrypiny. Naczelnik miał więc bardzo słuszny powód do melancholii, do retorycznych narzekań na cały świat dzisiejszy, który goni za tym co bliższy i niedowarzoną młodością świeci, a gdy jeszcze do tego jakieś dziwne wejrzenia Agrypiny na swego dansera spostrzegł, uznał swoją rolę na dzisiejszy wieczór za skończoną i cichaczem z salonu się wymknął. Przez całe Krakowskie Przedmieście widział przed sobą walczącą Agrypinę w objęciach młodego aplikanta i poprzysiągł w duchu wszystkim apli-

kantom swego biura od dnia jutrzejszego dobrze dać się we znaki.

Tymczasem walcowała Agrypina z coraz większym zapałem. Twarz jej ciemna rumieniła się coraz więcej, oczy czarne tryskały ogniem, a młody aplikant pocił się z nadmiaru szczęścia i lekko ścisnął ją za rączkę, pukając tym sposobem do dwóch kamienic przy ulicy Świętojańskiej.

Panie kanapowe zauważyły, że między tańczącą parą jest widoczne jakieś zbliżenie, a uwagi te pobieżne obiegając dalsze szeregi dojrzały przy drzwiach i pod piecem do niezbitego faktu, że z wieczoru dzisiejszego wykluje się małżeństwo. Agrypina zdawała się potwierdzać te przepowiednie swoim zachowaniem się.

A w tej właśnie chwili leżał pan Sabin w hotelowym pokoju na wznak z twarzą tak spokojną, jakby o istnieniu walczącego apli-

kanta i panny Agrypiny nic a nic nie wiedział. Jedną rękę podłożył sobie pod głowę a drugą spuścił ku ziemi dla wolniejszego oddechu. Oddychał spokojnie i regularnie nie czując bynajmniej tej zazdrości, jaka miała w tej chwili naczelnikiem biura.

Dopiero w chwili, gdy aplikant białą rękawiczką piękną kibić panny Agrypiny objął, aby z nią Polka-Mazurka przetańczyć, zaczęła twarz pana Sabina marszczyć się w śnie, jakby go jakie złowrogie mary trapiły. Pierś jego podnosiła się nieregularnie, a spuszczona ku ziemi ręka często w pięść się ścisnęła.

Pięście te jednak nie tyczyły bynajmniej czarnej czupryny tańczącego aplikanta. Były one wymierzone na niegodziwego posługacza kolejowego, który go gwałtem do omnibusu paryskiego wepchnął.

Scena bowiem ranniejsza przed dworcem

kolei żelaznej powtórzyła mu się we śnie z wszelkimi szczegółami. Widział posługacza w sinej bluzie z numerem na czapce, widział swój kufer ze skóry angielskiej, i ów fatalny omnibus hotelu paryskiego, do którego przemocą go pakowano. Opierał się, chwycił za budę omnibusu, krzychał w niebogłosy, ale nic nie pomogło! Porwano go i zawieziono tam, gdzie nie chciał!...

A kiedy w omnibusie już siedział, przechodziły mu przed oczy rozmaite sceny porwania ongi Sabineki, jakie był kiedyś widział na angielskich kopersztychach!...

I jakoś nawet nie było końca temu porwaniu. Z omnibusu porwał go jakiś brodac i rzucił na pierwsze piętro jakby worek pierza, a tam zaraz wpadł oknem duży orzeł z zakrzywionym dziobem, pochwycił go za kołnierz jak ongi Ganimeda i niósł gdzieś

do góry, do góry bez końca... przez jakieś mgły i obłoki...

Sabin nadymał się aby jak najwięcej powietrza wciągnąć w siebie, trzepotał rękami i nogami, krzychał o ratunek, ale nikt go nie słyszał, nikt nie widział! W koło niego było pusto, pusto jak w stepie!...

A kiedy z największym wysiłkiem chciał koniecznie z unoszących go szponów wydrzeć się, uderzył ręką o krawędź łóżka i przebudził się.

Do pokoju właśnie wszedł pan Bolesław. Sabin otarł pot z czoła, odetchnął swobodnie i zawołał:

— Dobrześ pan zrobił, żeś przyszedł! Miałem sen tak okropny, że jeszcze teraz cały drzę na ciele... Podaj mi pan rękę, niech się uspokoje. Rzeczywiście, ta opera wczorajsza, to podziemne więzienie i ten zapadający się wśród płomieni zamek, dziwne sprawy na

mnie wrażenie. Śniły mi się z tego powodu okropne rzeczy! Jakiś czarny dziki ptak porwał mnie za pętelkę od kołnierza i niósł mię wysoko, bardzo wysoko. Wyobraź pan sobie, w jakim strachu byłem, gdyby się np. ta pętelka urwała! Spadłbym na jakieś lasy i góry, a co najgorsza, mógłbym spaść do morza, a pływać nie umiem!... Dzięki Bogu, żeś pan przyszedł i mnie zbudził!

— Przy mnie będziesz pan zawsze bezpiecznym, odpowiedział pan Bolesław, podając mu rękę, nikt pana nie porwie! Widać, żeś pan wrażliwy! Do teatru nie pójdziemy tak prędko, ale za to zajdziemy gdzie na wieczorek tańczący. Musisz przecież pan się przypatrzeć jak się Warszawa w karnawał bawi!

— Proszę pana... ale ja mam przedewszystkiem sprawę przeniesienia majątku na moje imię.

— W tym właśnie celu przyszedłem do

pana. Jest godzina dziesiąta. Kazałem na dole zrobić dwa bifsztyki i zalać herbatę. Po śniadaniu bowiem zaraz pójdziemy do rejenta, pana Gerwazego, który jest moim przyjacielem. Chcę panu dla tego towarzyszyć, bo tu tejsi prawnicy (*amicus Plato sed maxima amica veritas*) umięją w różnych takich dokumentach wsuwać pewne klauzury, które potym dają im sposobność prowadzenia procesów. Miałem już tego rodzaju doświadczenia, które rad panu ofiaruję.

— Pan jesteś niewypowiedzianie dla mnie grzecznym!... Czy kazałeś pan do bifsztyków wina przynieść?

— Wszystko w porządku. Otóż wracając do rejenta, oświadczam panu, że tu w Warszawie żadne interesa, osobiwie z prawnikami nie robią się na sucho. Dla tego trzeba będzie po konferencyi zaprosić rejenta na obiad. Rejenci zazwyczaj lubią jadać u Lipkaua

przy Miodowej ulicy, nie daleko trybunału.
Kuchnia wyborna.

— Dobrze — pan znasz tutejsze zwyczaje,
więc rób pan tak jakbyś sam miał sprawę!

— A po obiadku przeberzemy się — we-
źmiemy fraki i pójdziemy na wieczorek tań-
cujący!

— Na wieczorek tańczący? Nie znam
tutaj żadnego domu... wypadłoby pierwiej
zrobić wizytę.

— Tego wcale nie trzeba. W czasie kar-
nawału Warszawa daje dyspensę od wszelkich
reguł towarzyskich, osobliwie tym, którzy
przynoszą z sobą dobre, wyspoczywane nogi.

— Ja niekoniecznie lubię tańczyć, a na-
wet przyznam się panu, że w ostatnich la-
tach trzech zaniedbałem.

— To niema nic do rzeczy! Możesz pan
tańczyć lub nie tańczyć, jak się panu podoba.

— Ten wieczór tańczący jakoś mi nie

przypada do gustu... jużbym wolał ostatecz-
nie pójść do teatru!

— Tfi! któż w karnawał do teatru cho-
dzi! Prorok nie może być co dzień!

— Ale przyznam się panu... tak jakoś
nieznajomemu wchodzić w nieznajome towa-
rzystwo...

— Przecież aby się zaznajomić, trzeba
pójść do towarzystwa. Nikt się nie rodzi
ze znajomościami!

— To prawda, słusznie pan mówisz... ale
tak jakoś dzisiaj... przyznam się nie mam
ochoty.

— *L'apetit vient en mangeant!* Po obiadku
u Lipkaura będziemy dalej o tym mówić.

W tej chwili przyniósł służący herbatę,
bifsztyki i butelkę nieprzezroczystą.

VII.

Było już sporo po południu. — Pani Ludgarda w zgrabnym negliżyku biegała po swoich pokojach ustawiając w różnych ugrupowaniach krzesła i fotele, aby jak najlepszy efekt sprawiały.

Od czasu do czasu zbliżała się do drzwi ostatnich cicho na palcach i ostróżnie podsłuchiwała. Był to pokój sypialny Agrypiny. Agrypina nad rankiem dopiero przyszła z baliku, odprowadzona przez czarnowłosego aplikanta i dotąd jeszcze słodko zasypiała. W pokoiku była cisza niczym niezamącona.

Z salonu wybiegała pani Ludgarda także i do kuchni, aby się przypatrzeć urządzają-

cym się tam sałatom i leguminom na zimno, którym własną swoją rączką nadawała kształty i barwy artystycznie obmyślane.

Uporawszy się z tym nieco, wróciła do salonu i usiadła w fotelu, aby o dzisiejszym wieczorze pomarzyć.

Pani Ludgarda była wdówką, wesołą, bawiącą się wdówką. Nieboszyk jej mąż, rodzony brat nieboszyka ojca Agrypiny, zostawił jej dosyć ładną fortunę. Do tej fortunki dołączyła dochody z dwóch kamienic, które stanowiły posag Agrypiny i używała tego wszystkiego, aby swoją kuzynkę dobrze za mąż wydać.

W tym celu bawiła się i dawała liczne wieczorki, chociaż byli tacy, którzy ją o własną zabawę posądzali. Było to jednak posądzenie niesłuszne. Młoda wdówka postanowiła nie iść za mąż, nie wiązać się powtórnie więzami małżeńskimi, które jej bynajmniej szczę-

ścia nie przyniosły, ale postanowiła oraz żyć sobie wesoło, nie przymuszać się do udawania tego, czym w gruncie duszy nie była.

Ze wspomnień pożycia małżeńskiego pozostała jej tylko jedna passya, której się namiętnie oddawała. Lubiła znajome panny wydawać za mąż, i znajomych kawalerów żenić. Używała nawet do tego środków nie zawsze oględnych. Osobliwie starym kawalerom porzysięgła wieczną wojnę. Wyrzucała im ich bezużyteczność w społeczeństwie, nazywając ich pasorzytami i przebrzydłym chwastem! Dla panien długo wybierających była także nieubłaganą. Gadała im sążniste kazania — wszystkim stawiała za przykład siebie, twierdząc że w piętnastym roku życia była mężatką spełniając obowiązek, który ciąży na każdej kobiecie.

Osobliwie nie mogła pojąć, dla czego ludzie do swego zamezcia wybierają drogi jak

najdłuższe. Mając doświadczenie życia i znajomość świata, gniewało ją to, że ludzie na błahe formalności tyle czasu tracą, kiedy krótszą drogą mogliby dojść do celu. Porozumienie się naprzykład dwojga ludzi jest łatwe, a jednak tak długo obchodzą siebie!

Stósownie do tych wyobrażeń swoich postępowała w towarzystwie. Jeżeli ujrzała młodego mężczyznę, który ukradkiem na pannę spoglądał i wąsiki kręcił, i jeżeli też panna poprawiając ustawicznie bukiet, z ukrycia na te wąsiki patrzyła: pani Ludgarda wywiedziawszy się o akcesoryach wdychających do siebie, przystępowała wprost do nich mówiąc:

— Panie Kazimierzu, panno Klaro! Już mnie zaczynają nudzić te wasze nieustanne zerkania na siebie. Widocznie kochacie się lub chcecie się kochać. Czemuż tym bezpożytecznym zerkaniem czas daremnie tracić.

Człowiek w młodości tylko jest najwięcej szczęśliwym! Podajcie sobie ręce, powiedzcie sobie: „Moja“... „Twój“ i basta! Pan Kazimierz ma cztery tysiące pensyi, ty Klaro coś tam masz w papierach... i cała rzecz skończona. Nie nudźcie mnie!

Opowiadają także, że razu jednego gdy była u wód zagranicznych, widziała w kurasalu jakąś nieznaną damę, która często patrzyła na młodego mężczyznę siedzącego naprzeciwko. Mężczyzna na nią patrzył z widocznym affektem. Przez trzy dni przypatrywała się temu spokojnie pani Ludgarda, czwartego dnia zaczęło jej to być nieznośnym. Widziała, że patrzący są sobie radzi wzajem, i tylko daremnie czas drogi tracą.

— Nie znam pani, rzekła do panny pani Ludgarda, ale widzę że się pani ten szatynek podobał, który także panią ustawicznie fiksuje. Szkoda czasu tracić. Zbliźcie się prędko

do siebie. Ja wezmę was pod swoją opiekę.

To samo mniej więcej powiedziała za chwilę owemu nieznanemu mężczyźnie, a za godzinę przechadzała się z niemi po ocienionej alei, matkując młodej damie... Za dwa miesiące tańczyła na weselu do upadłego!

Pani Ludgarda miała dobre, poczciwe serce. Dla tego serca darowano jej excentryczny sposób obejścia się z towarzystwem i uważano ją pod tym względem jako kobietę oryginalną. Miała wprawdzie z powodu tej ekscentryczności wiele nieprzyjaciół, ale przyjaciół jeszcze więcej. Tych kochała serdecznie, o tamtych wiele nie stała!

Jakkolwiek w sprawach matrymonialnych była, jak widzieliśmy, tyle energiczną, nie mogła jednak czy nie chciała tej energii zastosować do swojej kuzynki Agrypiny.

Były tego różne przyczyny. Najprzód oczuwała się względem swojej kuzynki do da-

leko większej odpowiedzialności, niżeli względem obcych zupełnie jej osób, a powtóre energia jej napotykała u Agrypiny równą energią, z którą się ścinać nie chciała. Próbowwała wprawdzie kilka razy tej walki, ale walka ta kończyła się zawsze przegraną z jej strony.

Postanowiła więc z Agrypiną obejść się nader ostrożnie, chociażby to nawet i więcej czasu kosztowało.

A o Agrypinie właśnie myślała w tej chwili siedząc na fotelu z założonemi rękoma, kiedy drzwi od ostatniego pokoju cicho się otworzyły, a w amfiladzie ukazała się kobieca postać w gustownym negliżyku.

— Dzień dobry ci Agrypino! zawołała pani Ludgarda, dobrześ zrobiła, żeś długo spała! To pokrzepia! Spać spokojnie i długo, to wraca nam siły stracone... ale na miłość Boga, ty dzisiaj tak mizernie wyglądasz!

Agrypina spojrzała do zwierciadła i poprawiła sobie włosów. Pani Ludgarda mówiła dalej!

— Na twarzy twojej widzę dzisiaj coś, czego dotąd nie było... Powiedz mi, kto był wczoraj na wieczorze?

Agrypina spojrzała jeszcze raz do zwierciadła, przesunęła ręką po czole i milczała czas niejaki. Potym dosyć obojętnie wymieniła kilkanaście nazwisk wczorajszych gości. Jedne szły jej dosyć gładko, przy innych zatrzymywała po chwilce. Przy nazwisku naczelnika z izby obrachkowej uśmiechnęła się trochę złośliwie, a młodego aplikanta dodała na samym końcu, już po zamknięciu całego rejestru.

— Zacznijmy z dołu, rzekła z uśmiechem doświadczonej kobiety pani Ludgarda, czy ten aplikant —

— Dla czego stryjenka od aplikanta za-

czyna? zapytała Agrypina przymuskując włosy, dla czego nie od naczelnika?

— Bo aplikanta schowałaś na ostatek... Zresztą gdy byłam w twoim wieku zaczynałam także od aplikanta!

— Stryjenka zawsze lubisz żarty, a ja dzisiaj jestem jakoś inaczej nastrojoną!

— Widzę to z twojej twarzy i dla tego mówię z tobą o... wczorajszym wieczorze.

— Nie wiele o nim mówić można. Wieczór jak każdy zwykły, tańczący wieczór. Po przespaniu zapomina się o nim.

— Czy mówisz szczerze?... Twarz twoja okazuje, żeś go jeszcze nieprzespała!

— W rzeczy samej, nie mogłam spać. Byłam zanadto zmęczona i drzemałam tylko.

— Dziwnie, że ei się nie znudziło leżeć bezsenne aż do popołudnia!

— Bawiłam się myślami!

— Otóż o te myśli mi chodzi. Powiedz

mi tak szczerze i otwarcie, czy wczorajszy wieczór nie nasunął ci jakich myśli?...

Bo widzisz moje dziecię, w twoim wieku traci się bardzo wiele czasu na takie myśli, a nawet często poprzestaje się na myślach i marzeniach, podczas gdy większą energią możnaby od razu szczęście ubić!

Agrypina zamyśliła się i westchnęła. Usiadła we fotelu i podparła ręką głowę.

Pani Ludgarda zbliżyła się do niej, oparła obie ręce na jej ramieniu i rzekła:

— Agrypino, powiedz mi, czy z wczorajszego wieczora nie wyniosłaś jakiego nowego wrażenia?

— Ręczę stryjence, że żadnego wrażenia nie wyniosłam. Byli sami dawni znajomi.

— Ale ja nie mówię koniecznie o balu... byliśmy także w teatrze!

— A w teatrze!... W teatrze przecież nie tak szczególnego nie zaszło!

— Nie spostrzegłaś, że ktoś ustawicznie patrzył na ciebie!... Ale patrzył z naprzeciwka!

Agrypina roześmiała się, jakby się jakiejś obawy pozbyła. Pani Ludgarda patrzyła na nią badawczym wzrokiem.

— Stryjenia jesteś niezrównana w swoich domysłach! rzekła po chwili Agrypina, — niech tylko kto okiem rzuci, niech sobie zapyloną lornetkę przetrze, to stryjenia zaraz podejrywa go o jakie zamiary.

— Zostaw mi moje podejrzenia, kochana Agrypino — już ja więcej mam doświadczenia od ciebie. Wiem ja dobrze, ile to małżeństw do skutku nie dochodzi jedynie dla tego, że panny są nieuważne i nie umieją mężczyznom ułatwić. Niekażdy bowiem mężczyzna lubi brać odkosze. Nim wyrzeknie stanowcze słowo, bada pierwaj całe zachowanie się panny względem siebie. Badanie to częstokroć jest tak sub-

telne, że ze strony panny trzeba niepospolitego sprytu, aby mu na te badania stósownie odpowiedzieć. Znałam mężczyzn, którzy najszersze chęci mieli oświadczyć się pannie, gdyby jaki taki sygnał z jej strony mieli, że niedostaną odkosza. Tymczasem panny siedziały w całej swojej skromności ze spuszczonei oczami, z twarzą obojętnie uśmiechniętą, chociaż w duszy niecierpliwie czekały oświadczenia. Ale porozumienie nie przyszło do skutku, bo mężczyźni nie byli swego pewni a odkoszów nie chcieli, i wszystko rozeszło się w swoje strony z wielkim żalem panien, których nadzieje i pragnienia zostały tym sposobem zawiedzione.

— Dziękuję stryjeni za naukę, rzekła z uśmiechem Agrypina, ale do wczorajszego wieczoru w żaden sposób zastosować jej nie mogę. Brak mi zupełnie przedmiotu!

— Spodziewam się, że dzisiejszego wieczoru ten przedmiot nadpłylnie...

Agrypina rzuciła badawcze spojrzenie na stryjenkę. Trudno odgadnąć, co w tym spojrzeniu było. Może miało ono na celu czarnowłosego aplikanta, który z taką gracyą walca tańczy, a może...

— Zdaje mi się, że na dzisiejszym wieczorze nie będę, rzekła po chwili Agrypina, jestem znużona...

— Jak to? Nie chcesz się pokazać dzisiaj na wieczorze? zapytała zdziwiona pani Ludgarda.

— Patrz stryjeniu, jak ja dzisiaj wyglądam!... Zamknę się w moim pokoiku a tu mogę tańczyć do rana!

Pani Ludgarda z najwyższym zadziwieniem patrzyła na mówiącą. Agrypina tymczasem stała przed zwierciadłem, jakby sama

przekonać się chciała, że jej spoczynku potrzeba.

Stryjenka jeszcze nie mogła wyjść z zadziwienia. Patrzyła ciągle na Agrypinę i nie mogła sobie w żaden sposób tego dziwnego kaprysu wytłumaczyć. A dla tłumaczenia było tu szerokie, bardzo szerokie pole... Mogło to oznaczać zranione serce, które szuka samotności, a w takim razie czarnowłosa aplikant... Albo...

Tutaj ożywiła się nagle twarz pani Ludgardy. Klasnęła radośnie w ręce, podskoczyła do Agrypiny, a całując ją z właściwą sobie namiętnością, wołała śród uścisków i pieścizot:

— Niech cię uściskam, ty przebiegła kobieto! Masz talent wielki, o jakim nigdy nie myślałam!

W tej chwili odwołaną została pani Ludgarda do ostatecznego ubrania sałaty, a Agrypina rzuciła się na fotel, opuściła ręce i dłu-

go, długo patrzała zamyślona przed siebie. Jej czarne oczy stały nieruchome w jakimś miejscu, tylko blask ich zwiększał się coraz bardziej, jakby gdzieś z pod powieki wysączała się łza szklista...

VIII.

Była już blisko dziewiąta godzina, gdy pan Sabin ubrany w czarny frak stał u siebie przed dużym zwierciadłem i z pewnym upodobaniem patrzył na swoją batystową koszulę, biały krawat i kołnierzyk nieposzlakowanej sztywności. Włosy były ładnie uczesane, wąsiki do góry podkrecone.

Jakim sposobem to się stało, że pan Sabin mimo swoich skrupułów ostatecznie we frak się ubrał i gotów był iść na wieczór tańczący, nie zaznajomiwszy się pierwszej z gospodynią domu, o tym trudno się dowiedzieć. Jeszcze trudniej byłoby wyliczyć wszystkie

fazy, przez które ostatecznie przyszedł do tego postanowienia.

Być może, że długa a nudna konferencja z rejentem wymagała koniecznie jakiegoś odświeżenia umysłu. Być może także, że dobry obiadek u Lipkausa i stare wino jego było wymowniejsze od argumentów pana Bolesława, jakimi na ten wieczorek tańczący Sabina namawiał. A może z panem Sabinem tak samo się stało, jak przed dworcem kolei żelaznej, gdzie go przemocą do omnibusu paryskiego wpakowano mimo jego protestacyi?... Dosyć, że pan Sabin szedł na wieczorek i w tym celu przeglądał się właśnie w zwierciadle.

Z uderzeniem dziewiętej stawił się pan Bolesław, podobnie wystrojony.

— Kochany Bolesławie (po obiadku u Lipkausa byli już sobie ty i ty) mój kochany Bolesławie, rzekł Sabin podając mu rękę, tylko

o jedną rzecz bardzo cię proszę. Jak słyszałem, jest tu w Warszawie zwyczaj, że danse-rów łapie się na ulicy i wprost na salon nawet bez zaprezentowania się wprowadza. Słyszałem, że w czasie karnawałowym często się wydarza, że ktoś tańczy w jakimś domu przez całą noc, którego ani gospodarz ani gospodyni nie znają a nawet się o to nie troszczą jak się nazywa. Otóż obawiam się, aby mnie ta twoja pani Ludgarda za takiego najętego na całą noc dansera nie wzięła!

— Nie bój się. Ze mną nic ci się złego nigdzie nie stanie! Moja w tym głowa.

— Czynię cię dla tego na to uważnym, abys zaraz na wstępie chciał mnie jakoś zaprezentować w taki sposób, żeby mnie nie wzięto za najętego za szklanke herbaty dansera.

— Będziesz kontent i ze mnie i z całego wieczoru. A nawet mam nadzieję że mi wdzięcznym będziesz...

— Gdybym wcale tańczyć nie potrzebo-
wał, toby lepiej było. Nie jestem wielkim lu-
bownikiem tańca. Dobrzebyś zrobił, gdybyś
zaraz na wstępie przedstawił mnie jako czło-
wieka... więcej poważnego...

— Dobrze, nazwę cię członkiem akademii
paryskiej... nie, członkiem domu komissowego!

— Zostawiam ci do woli, byłem tylko za-
raz w tym towarzystwie mógł zająć stanowisko
poważniejsze...

Po kilku jeszcze podobnych zastrzeżeniach
i stósownych na to odpowiedziach wyszli obaj
z hotelu, a jak najkrótszą drogą puścili się
ku Lesznu.

W drodze tej trwającej najmniej, minut
dwadzieścia, dręczyło Sabina jakieś dziwne
przecucie. Nie umiał sobie wprawdzie z niego
zdać sprawy, ale nie umiał także pozbyć się
go. Do tego wiatr niegodziwy dął im w same
oczy i brzęczał nieprzyjemnie latarniami.

Płomyki gazu migały ustawicznie, jakby już
zgasnąć chciały. Wszystkie dorózki, które
spotykali, były zajęte. Piechotą wśród wiatru
dalej brnąć musieli.

Z Rymarskiej ulicy wybiegł duży, czarny
pies i zaczął ich nietościwie oszczeniwać na
wszystkie strony. Broniąc się przeciw niemu
o mało co nie wpadli pod koła dorózki, która
tuż mimo nich przejeżdżała. Aby to wszystko
należycie ukoronować, zerwał wiatr Sabinowi
tybetowy kapelusz z głowy i tak szparko nim
wstecz na „Przejazd“ potoczył, że obaj przy-
jaciele formalne goniłwy za nim wyprawiać
musieli i dopiero na Tłumackim w rynsztoku
zbiega ułowić zdołali.

Trudno przypuszczać, aby podobne wy-
padki mogły być wróżbą dla człowieka. Sa-
bin nie widział w nich także żadnej złowro-
giej wróżby z tej prostej przyczyny, że droga

jego dzisiejsza żadnego wyraźnego celu nie miała.

Spokojnie podjął więc kapelusz z rynsztoka i dalej prowadził pracę Syzyfa. Bolesław starał go się rozweselić różnemi wesołemi konceptami. Mimo tych jednak konceptów i mimo wrodzonego swego spokoju, czuł pan Sabin coś w sobie, co go dręczyło i jakieś dziwne, niezrozumiałe czyniło mu wyrzuty.

Wreszcie dobili się do rogu Orlej ulicy. Stanęli chwilkę, aby odpocząć i wolniej odechnąć.

Okna pierwszopiętrowe były rześisto oświecone. Jakaś silna, herkulesowa ręka wydobywała głośne tony z fortepianu, które mimo turkotu doróżek wychodziły dosyć daleko na ulicę.

Sabin z pewną obawą spojrzął w te okna. Gniewał się teraz sam na siebie, że dał się namówić na jakąś hulankę u ludzi niezna-

nych. Dałby za to w tej chwili pięćdziesiąt rubli, gdyby zamiast na rogu Orlej był u siebie na łóżku pod ciepłą kołdrą. A nawet na chwilę przyszła mu myśl, czy jeszcze nie można by się było cofnąć i na Bielańską ulicę do paryskiego hotelu umknąć?...

— Nie traćmy czasu, już i tak późno! zawołał Bolesław i pociągnął za dzwonek u bramy.

— Ha, to idźmy! odparł z rezygnacją Sabin, któremu na decyzję już czasu nie stało.

Zaspany, mrukliwy stróż otworzył im bramę. Sabin widział w nim niejakie podobieństwo do Charona, który dusze umarłych z jednego świata na drugi przewozi... Powoli weszli na schody.

— Mój Boże, ozwał się Sabin, ileż to kroków może najważniejszych w życiu zrobiono dzisiaj po tych schodach!... Niejedna pa-nienka zamarzyła sobie stąpając po tych scho-

dach, czy też na dzisiejszym wieczorze odezwie się dla niej jakie serduszko czułe?.... Niejeden kawaler szedł zwolna tędy do góry i zdawało mu się, że idzie po drabinie Jakubowej, na której ostatnim szczeblu mają siedzieć aniołowie!...

— Potrzeba jeszcze do tego romantycznego obrazu, aby tu w pobliżu był gdzieś *ponte dei sospiri*... mest westchnień — ale czułych, miłosnych westchnień!

— Czasami stają się te westchnienia podobne tym, jakie wiążą się w wspomnieniach do owego mostu w Wenecyi... Ależ oto jesteśmy u celu. Które drzwi?

Bolesław otworzył do przedpokoju. Przedpokój był mały i cały zawałony futrami, płaszczami, paltami i najrozmaitszemi szalami. Część ich wisiała, inna była porozrzucana w nieładzie.

Przybyli goście oglądali się, gdzieby naj-

lepiej swoje futra ulokować mogli. Sabin tymczasem naciągał białe rękawiczki, które chciał mieć nieposzlakowane.

Zatrudnienie to zajęło mu dosyć czasu. Na futra nie można było nigdzie wolnego kołka znaleźć, a stopy różnych ubiorów leżących na krzesłach, sofie, były już tak wysokie, że nic na nich więcej nie mogło się utrzymać. Rękawiczki Sabina były jakoś za ciasne i nie dały się tak prędko ubrać na ręce.

Pani Ludgarda oczekiwała dosyć niecierpliwie pana Bolesława z towarzyszem. Wszyscy goście już się zgromadzili, tylko tych, których oczekiwała, jeszcze nie było. Wreszcie usłyszała dzwonek w przedpokoju. Domyśliła się, kto przyszedł. Czekala kilka chwil niecierpliwie na środku salonu, ale goście nie przybywali. Rozpoczęto właśnie szalonego walca. Za długo już było czekać niecierpliwiej gospo-

dyni. Postąpiła kilka kroków i otworzyła drzwi do przedpokoju.

W przedpokoju odbywał właśnie pan Bolesław istną pracę Syzyfa. Po raz dwudziesty kładł futra na jednym z najdostępniejszych stosów, i po raz dwudziesty schylał się po nie do ziemi. Futra bowiem jak ów kamień biednego potępieńca zsuwały się ustawicznie na dół. Sabin zajęty wciąganiem rękawiczek patrzył z rezygnacją na syzyfową pracę przytrzymując czasami nogą zagrożoną stertę płaszczów i paltów. Zaledwie dopiero uporał się z jedną rękawiczką, druga w nietkniętym jeszcze kształcie wisiała przyszyta do swojej siostrzyczki.

Tak ich zastały piwne, rozkoszą tańca błyszczące oczy pani Ludgardy.

— Cóż to panie Bolesławie! zawołała na przegu, gnusisz się jak stary kawaler. Czy

przygotowujesz pan łysinę tak długo? Wszystkie damy z ciekawością patrzą na drzwi, kto jeszcze przybędzie, a tu nie widać nikogo! Brak nam dzisiaj danserów.

— Pozwoli pani, odparł pan Bolesław zostawiając z rezygnacją futra na ziemi, pozwoli pani, że zaraz przedstawię pana Sabina, mego przyjaciela, obywatela ze wsi...

— Dosyć, dosyć — przerwała żywa gospodyni — witam pana i zaraz proszę do tańca! W karnawale tańcem prezentuje się nowy gość całemu zgromadzeniu. Chodź pan!

Wyrzekłszy szybko te słowa, postąpiła od progu jeden krok i podniosła z wdziękiem prawdziwej warszawianki lewe ramię do góry, uśmiechając się do zakłopotanego Sabina z taką rozkoszą, jakby już była wśród tańca.

W dziwnym położeniu był Sabin. Drzwi do salonu były otwarte. Rzęsiste światło, wesołe tony muzyki i ten dziwnie rozkoszny gwar

ochoczych gości sprawiły na nim wrażenie odurzające. Przed nim stała piękna pragnąca szалу kobieta z podniesionym do góry ramieniem, jej oczy wyzywały i obiecywały wiele, bardzo wiele... a mogły nawet w razie oporu rozkazać i rozkazać despotycznie...

I powtórzyła się znowu scena, jak przed dworcem kolei żelaznej. Nim Sabin przeciw takiemu wprowadzeniu do salonu mógł zaprotestować, uczył nagle jak piękna, podniesiona do góry rączka pani Ludgardy spuściła się lekko na jego ramię... czuł że i jego ręka opasała smalną elastyczną kibić... druga z wiszącą nietkniętą rękawiczką dostała się do miękkiej dłoni niecierpliwiej gospodyni... i tak oboje wypadli z przedpokoju w jakichś dzikich nadludzkich prawie podskokach aż na sam środek salonu.

Teraz stracił Sabin zupełnie przytomność i nie wiedział co się z nim działo. Zdawało

mu się, że ów sen dzisiejszy, który mu jazdą w obłokach tyle strachu napędził, przeszedł w tej chwili zupełnie w rzeczywistość. Jakieś dziwnie płonące światła krążyły w koło niego. Ocierał się w szalonych obrotach o jakieś miękkie, mgliste przedmioty, zupełnie do powietrznych obłoków podobne. Czasami miały te obłoki ludzkie twarze, które z nieokreślonym uśmiechem patrzyły na niego!... Przykuta jakby na wieki do niego istota rwała go z sobą w coraz szybszych obrotach w jakąś dziwną przepaść, która za każdym krokiem szerszą paszczą otwierała się przed jego nogami!...

Słowem, Sabin tańczył, ale nie wiedział co tańczy, czy walca czy mazura czy poloneza. Słyszał wprawdzie tony muzyki, ale tonów tych nie mógł z sobą powiązać. Zrezygnował więc ze świadomości tańca i muzyki i ograniczył się tylko na ustawicznym podrygiwaniu

i wyrzucaniu nogami, jakiego już sam ustawiczny ruch wymagał.

Wreszcie pękło jakoś wiążące go ogniwo, Sabin zatoczył się i wpadł cały oszołomiony do drugiego pokoju.

Ocierając pot z czoła i nabierając w piersi oddechu rzucił się na fotel, uszczęśliwiony myślą, że jeszcze cały na Bożej ziemi się znajduje.

IX.

*N*aledwie Sabin do regularnego oddechu przyszedł, usłyszał za sobą turkocący fotel, który z jego fotelem zrównać się usiłował. Obejrzał się i obaczył te same rozkosznie roziskrzone oczy, które jak dwa złowrogie komety ustawicznie przy nim w tańcu świeciły. Mimowolnie odsunął swój fotel, aby kometa wolno mimo niego przeszedł.

— Niech się pan nie trudzi, rzekła z czarującym uśmiechem pani Ludgarda, dla mnie dosyć jest miejsca.

I usiadła tuż obok niego.

Sabin odetchnął wolniej, bo tu już nie

chodziło o taniec. Widać było, że grzeczna gospodyni chciała z nowym swoim gościem bawić się rozmową. Ułożył więc twarz do słuchania, bo sam nie miał jeszcze przedmiotu do mówienia. Szalony, niespodziewany taniec wystraszył mu z głowy wszystkie lepsze myśli, a potrzeba było dłuższego czasu, aby je pozierać.

— Pan zwykle na wsi mieszkasz, ozwała się pani Ludgarda, poznałam to zaraz. Nie masz pan w tańcu żadnych salonowych wymysłów, ale jest siła i zdrowie. Przyznam się panu że nie mogę pojąć, co się dzisiaj z mężczyznami w naszym mieście dzieje. Po dwudziestu latach już każdy sensatem, nie chce tańczyć, stroni od kobiet i po kątach papierosem się zaciąga. Jeżeli to tak dalej pójdzie, to będziemy musiały wyprawę gdzieś zrobić i świeżą generacją mężczyzn do stolicy

przynieść. Powtórzmy scenę Sabine, tylko odwrotnie, bo nam trzeba Sabinów!

— Cieszę się z tego bardzo... gdyż nazywam się Sabin!

— Pan nazywasz się Sabin? A to zabawnie! Wybornie! To daje wiele, bardzo wiele do myślenia! Strzeż się pan!

— Mówią zazwyczaj, że historia nie powtarza się — miałooby to stać się dla mego imienia?... A zresztą porwanie podobne, jakim pani mi zagraża, nie byłoby tak bardzo nieprzyjemnym, jeżeli można sądzić z odbytej przed chwilą próbki... Wymówiłbym tylko sobie, aby nie nastąpiło tak z nienacka, aby przynajmniej rękawiczki można na obie ręce naciągnąć! Inaczej nie może człowiek użyć tego szczęścia, co go spotkało.

— Nie lękaj się pan, zostawimy panu dosyć czasu na nałożenie rękawiczek i przypięcie bukietu!

Sabin uśmiechnął się konwencyonalnie i spuścił lekko głowę na znak podziękowania.

— Będiesz pan miał zawsze we mnie przyjaciółkę, szczebiotała dalej Ludgarda, ale wymawiam sobie jeden warunek, to jest: abyś pan nie był kunktatorem. Jest to dla mężczyzny fatalna przywara. Wprawdzie jakiemś tam Rzymianinowi, który poprostu był mazgajem, udało się tym mazgajstwem do rozpacy przywieść nieprzyjaciela a potem go pobić, ale z kobietami żaden Fabius tym sposobem bitwy nie wygrywa! Głęboko obmyślane strategiczne plany na nic się tutaj nie przydadzą, gdzie od pierwszego szturmu wszystko zależy!

— Wdzięczny jestem pani za dobre rady. Przy najbliższej sposobności skorzystam z nich.

— To mi się podoba. Wszystko inne jest niepowetowaną stratą czasu. Mnie żal każdej chwili, którą ludzie tracą bezpożytecznie.

A zwyczaj ten wchodzi coraz więcej w modę. Widać, że coraz mniej energii na świecie!... Gdy nieboszczyk mój mąż mnie poznał, wiedziałam od razu, że się mną zajął. Gniewało mnie, że jak śpiącego zająca zaczął mnie w dalekich kołach okrążyć. Chodził do kościoła, w którym zwykle bywałam, do ogrodu saskiego, na koncerty, czasami odważył się na wizytę do ciotki, a raz nawet widocznie czekał aby mnie do domu odprowadzić. Ze mną rozmawiał o poezji, filozofii, historii, o sukniach balowych i komedji najnowszej. Po dwóch tygodniach rzekłam do niego: panie Kajetanie, skończmy raz, bo mnie pan zanudzisz. Dokąd sprzyjam jeszcze panu... więc powiedz że mnie kochasz i o moję rękę prosisz!... Za dwa dni byliśmy narzeczeni!

Sabin zamyślił się. Oczy jego mimowolnie wysunęły się do salonu, w którym nieustannie tańczono. Teraz dopiero spostrzegł że towa-

rzystwo było bardzo liczne. Piękne młode kobiety przesuwały się czarodziejskim ruchem przed jego oczyma. Wschodziły jak słońce, przebiegały szeroką przestrzeń i zachodziły, aby za chwilę znowu całym blaskiem zaświecić, olśnić i zniknąć.

— Pan mnie nie słuchasz, panie Sabinie, mówiła po chwili pani Ludgarda, bo oczy pana utonęły tam w tłumie ruchowym, który z najpiękniejszych kwiatów to się zwiija to rozwija!... Ale jej tam niema!

— Słusznie pani powiedziałaś, odparł zamysłony Sabin, jej tam niema!

— Jak bystre masz pan oko! Tyle dam jest w salonie i wszystkie prawie w tańcu, a pan od razu zauważyłeś, czy raczej przeczułeś ten brak, który pana w takie zamyslenie pogrążył!

— Wierzaj mi pani... nad tę myśl niema

nie ważniejszego, ale oraz nic boleśniejszego nad brak...

— Żałuję pana, ale na dzisiaj nic pomódz nie mogę... Agrypina jest dzisiaj trochę cierpiącą! Wczoraj było w teatrze nieznośne gorąco... do tego wrażenia wczorajszego wieczora.

— Przyznam się pani, że i ja nie wyszedłem z teatru z tym spokojnym usposobieniem z jakim wchodziłem...

— Wierzę, bardzo wierzę. Człowiek rad marzy o pysznym pałacu szczęścia i rozkoszy a potym trwoży się...

— Trwoży się, że ten pałac w krótkce runie i gruzami przysypie biesiadników!

— O taką małoduszność nigdybym pana nie posądzała! Trzeba odróżnić złudzenie od rzeczywistości.

— Chociaż to już tylko złudzenie, a jednak szczerze pani mówię, że drżałem cały...

— Jesteś pan za nerwowy.... któż lada złudzenie tak zaraz bierze do serca?

— Bo też złudzenie było przedziwne!... Kłęby dymu buchają z podziemia, ogień szerzy się coraz więcej... palące się trawy i arkady spadają i ognistym wieńcem otaczają człowieka — proroka...

— Bo też człowiek nie powinien nigdy być własnym prorokiem! Zostawmy przyszłość jej samej!

Sabin na te słowa nic nie odpowiedział. Zamyślił się i w duchu dosnuwał dalej tragiczny obraz wczorajszego przedstawienia, które się kończyło tak okropną sceną... Pani Ludgarda nie myślała wcale o „Proroku“!

W tej chwili zbliżył się do nich służący z herbatą. Pani Ludgarda podała Sabinowi filiżankę.

— A do tej drugiej filiżanki niech pan cukru wrzuci!... zagadnęła — tylko niech pan

nie przesłodzi!... Tak... dosyć. Agrypina nie lubi słodko. Powiem mojej kuzynce że to pan słodziłeś jej herbatę... biedna ona tam strasznie pokutuje!

— A gdzież jest kuzynka pani? zapytał obojętnie Sabin mieszając herbatę.

— Tylko o ścianę... w tym pokoju obok. Zaraz panu służę.

Pani Ludgarda wstała i szybkim krokiem pobiegła do przyległego pokoju. Za chwilę wróciła rozpromieniona.

— Kazałam Agrypinie skosztować herbatę, szczebiotała dalej, Agrypina skosztowała i powiedziała, że jest tak dobrą, jakiej prawie jeszcze nigdy nie piła! A gdym jej powiedziała, że to pan słodziłeś!...

— Ciesz mi to bardzo, żem trafił w gust kuzynki pani... chorym zwłaszcza tak trudno dogodzić!

— Ach, Agrypina to aniół dobroci! Nie zbyt trudne masz pan zadanie!

— Gdyby życie nasze nie miało innego zadania, jak tylko... słodzić komu herbatę!

— Czemuż tak zaraz napadają pana czarne myśli? Zaczyna się czasem od drobniejszych usług, niżeli słodzenie herbaty, a kończy się osłoda całego życia!

Sabin westchnął i spuścił głowę. W tej chwili nadszedł Bolesław. Pani Ludgarda wstała i zbliżyła się do niego.

— Patrz pan na swego przyjaciela! Siedzi z głową spuszczoną jak Filon nad strumykiem, tylko go odmalować! A zakochany jak hiszpański *embecevido!*... Mówię panu że od półgodziny o niczym innym nie mówi, jak tylko o niej! Rozumie się, że tylko manowcami dąży do jej serduszka. Wyszukuje najrozmaitsze przyrównania, mówił o zaczarowanym

pałacu szczęścia... o złudzeniach... a skończył na osłodzie życia!

— Dla czegoż panna Agrypina dzisiaj nie okazuje się? zapytał zmieszany p. Bolesław.

— Ma ona swój rozumek, lepszy od nas obojga. Wiedziała że Sabin przyjdzie i chciała go zaraz na wstępie olśnić swoją — nieobecnością!

— *Sapristi!* zawołał dosyć głośno Bolesław, kto ją tego nauczył?

— Kobieta rodzi się z tą nauką, którą wymozolnie zdobywacie, odpowiedziała ze śmiechem pani Ludgarda i pobiegła do salonu, aby znużonych taneczników na nowo ożywić swoim przykładem.

Tymczasem jej miejsce obok Sabina zajął Bolesław. Sabin ciągle milczał.

— Jakże się bawisz? zapytał się Bolesław, lękam się, abys się nie nudził!

— Jeszcze nie miałem czasu nudzić się,

odparł spokojnie Sabin, wypoczywam jeszcze po zamachu, jaki uczyniła na mnie oryginalna gospodyni. Spodziewam się przecież, że ten zamach się nie powtórzy?

— Musisz jej wiele darować, bo to znać i poczciwa kobieta, chociaż trochę oryginalna. W rozmowie jednak jest bardzo przyjemna i dowcipna. O czym rozmawialiście?

— Właściwie o niczym. Trochę mówiliśmy o wczorajszym Proroku, o walącym się zamku, a reszty sobie nie przypominam... Co to są za damy w salonie. Jeszcze prawie nikogo nie znam!

— Nie ma nic godnego uwagi, możesz pozostać w swoim incognito!

— Czy prędko się ztąd wyniesiemy?

— Kiedy ci się podoba!

X.

koło drugiej godziny wrócił Sabin do hotelu i resztę nocy przespał dosyć spokojnie. Tańczące towarzystwo po większej części z nieznanomych osób złożone znudziło go niepospolicie. Chciał się wprawdzie wynieść wcześniej, ale gospodyni nie pozwoliła na to, bo dopiero po dwunastej godzinie miała nastąpić wieczerza.

Sabin był fizycznie i moralnie zmęczony. Z tego powodu nie długo czekał na sen porzeczający. Wprawdzie w pierwszej chwili tego snu słodkiego stanęła przed nim pani Lud-

garda w tej samej postawie, w jakiej obaczył ją wczoraj poraz pierwszy i wyzwala go znowu do szalonego tańca, ale Sabin naciągnął kołdrę na głowę i uwolnił się od grożącego mu niebezpieczeństwa. Pani Ludgarda długo stała przed nim milcząca, wreszcie zaczęła blaknąć i rozwiła się.

Nazajutrz zbudził go o godzinie dziesiątej pan Bolesław. O dniu wczorajszym nie wiele mówili, zjedli razem małe śniadanko i poszli obaj znowu na konferencją do reagenta pana Gerwazego. Po wspólnym obiadku u Lipkaura używali trochę przechadzki po Krakowskim Przedmieściu.

Podczas tej przechadzki przyszło Sabinowi na myśl, aby nowego przyjaciela w utajonych zamysłach swoich jakoś spożytkować. Akt przeniesienia majątku na jego imię zaczął już być w niektórych kołach stolicy wiadomym. Potrzeba więc było z pierwszego wrażenia

należycie korzystać. Za poradą pana Bolesława był rejent upoważniony mówić o tym wydarzeniu w obec różnych klientów swoich. Była więc pora stosowna upatrzenia sobie przyszłej towarzyszkii życia, do czego mama dobrodziejka dała mu zupełne pełnomocnictwo.

Teraz po ekspensie kilkudziesięciu rubli miał Sabin wszelką słuszość zażądać w tym względzie pomocy od swego przyjaciela. Ponieważ jednak nikt podobnego zamysłu od razu nie wyjawia, tylko rad ubocznymi drogami do niego dąży, toż i pan Sabin nie przyznał się wprost, do czego właściwie zamierza.

— Ponieważ dla interesów w Warszawie czas niejakiś zabawić muszę, ozwał się w chwili, gdy Kopernika mijali, radbym przytym coś skorzystać. Chciałbym naprzykład poznać tutejsze towarzystwa.

— Nic słusniejszego nad to żądanie, od-

parł Bolesław, wszak już wczoraj zaczęliśmy od tego.

— Tak... w samej rzeczy... i to towarzystwo było w swoim rodzaju ciekawe. Ale towarzystwo takie mniej więcej wszędzie spotkać można. Są to zazwyczaj ludzie według dzisiejszych formułek wieku jednako wykształceni.

— Czy jesteś amatorem typów?... Wszak pani Ludgarda w swoim rodzaju jest pewnym typem...

— Nie powiedziałbym tego... jest kobietą wyjątkową... na typy zbierają się wieki, tradycje...

— I takich ci pokażę, jeśli tego żądasz. Pokażę ci np. typ dawnego żołnierza, legionisty, który był przy szturmie Saragossy, a dzisiaj wygląda jeszcze tak krzepko, żeby niejednego dzisiejszego zdechlaczka za sobą zostawił. Cała jego postać, jego fizyonomia, sposób życia należy do przeszłego wieku!

— To także ciekawe i bardzo szanowne typy, ale ja... o takich typach w tej chwili nie myślałem!

— Są także oryginalne typy starych emerytów. Dziwna rzecz, jak to sposób życia wpływa nawet na ukształcenie zewnętrzne. Od razu poznam emeryta z izby obrachunkowej, który zupełnie różni się od emeryta z komisji sprawiedliwości, lub byłego wojskowego. Jest to także ciekawe studium, jeżeli chcesz...

— Takie studia trzeba odłożyć do wiosny. Wtedy ludzie podobni jak robaczki z ziemi wyłazą, aby się grzać na słońcu w saskim ogrodzie. Będąc chłopcem małym nieraz mi ich pokazywano... Ja o czym innym myślałem...

— To już nie wiem o czym myślisz! Można wprawdzie i na Starym mieście studyować różne typy stanu miejskiego, kapotowych

jegomości i straganiarek wiecznie rumianych, ale przyznam ci się, że takie studia nie zawsze są bezpieczne. Ludzie ci mają pewną butę i często gęsto oberwie coś od nich ciekawy spektator...

— Uchowaj Boże! W tak niebezpieczne studia nie myślę się wdawać... Ale jest świat także ciekawy, świat dla wielu szczelnie zamknięty, w który chciałbym nieco zaglądnąć. W tym świecie, jak w szczelnie zamkniętej oranżeryi rosną i dojrzewają różne kwiaty eksotyczne, które nadzwyczajną barwą swoją i wonią mogą być tak samo ciekawe, jak np. twój legionista z pod Saragossy!

— Czy mówisz o tak zwanych naszych braciach mojżeszowego wyznania?

— Ach tych unikam zawsze według dawnego naszego przesądu...

— Teraz już nie wiem, czego żądasz!...

Aha, wiem już! Chcesz poznać literatów i artystów!

— Literatura i sztuka, mawiał św. p. mój rodzic, jest dobrą w owocach swoich. Lubię patrzeć na obraz, wezmę czasem książkę do ręki, ale ludzie, którzy te rzeczy robią, nie interesują mię wcale. Tak bywało i jest u nas zawsze! Czy kogo w dawnych czasach obchodził los Klonowicza, a dzisiaj któż mówi o śmierci Syrokomli?

— Dobrze mówisz Sabinie! Bądź dalej wierny tradycjom swoim, które tyle wieków przetrwały, a w końcu czarną pieczęć do naszej przeszłości przyłożyły!... Tylko zważ, że się nazywasz Sabinem i że do twego imienia wiąże się fatalne przeznaczenie. Nowa idea wieku, uosobiona np. w nieszpętnej kobiecie, gotowa cię porwać.

— Nie obawiaj się tego! Tak nieostroż-

nym nie jestem! Wiem co jestem winien sobie...

Tutaj rozbił ich jakiś tragacz (niosący ogromną pakę na ramieniu. Sabin umknął aż poza rynsztok... Bolesław szedł dalej ze zmarszczonym czołem. Słowa ostatnie Sabina nie miłe sprawiły na nim wrażenie.

— Jeszcze dotąd nie wiem, czego chcesz! ozwał się po chwili Bolesław, powiedz mi jasno i wyraźnie!

— Chciałbym poznać tutejsze wyższe towarzystwo, odparł Sabin i spuścił oczy do ziemi.

Bolesław milczał chwilę. Czoło jego marszczyło się coraz więcej. Zachcianki Sabina nie były po jego myśli. Wnet jednak rozjaśniła się twarz jego. Uderzył Sabina po ramieniu, rozśmiał się i rzekł:

— Dla czegoś od razu o tym mi nie po-

wiedziałeś! Mam i tam liczne stosunki i mogę ci nimi służyć!

— Niezmiernie mnie tym zobowiążesz!... Wstąpmy tutaj po cygara... proszę o cygara... po dwa złote!

Bolesław zapalił dwuzłotowe cygaro, a okrywszy się dymem, śmiał się jak Mefistofeles ze swego towarzysza. Zdawało się że do gruntu zajrzał do jego duszy i gotował mu nielada niespodziankę.

Gdy znowu byli na ulicy, wziął Sabina pod rękę, oparł się na nim jak najlepszy przyjaciel i rzekł:

— Jeżeli chcesz, dzisiaj mogę cię zaprowadzić w nader wyborowe towarzystwo wielkiego świata. Dzisiaj jest właśnie dzień zwykłych recepcji u państwa Prezesostwa. Zastaniesz tam same dawne rody, zacząwszy od książąt Olgierdowiczów a skończywszy na ostatnim kuzynie św. Stanisława Szczepanow-

skiego. Towarzystwo to nie jest wprawdzie zabawne. Jest tam wiele sztywności jak we wszystkim, co stare...

— Formy w porządnym towarzystwie są bardzo potrzebne... jest to właśnie cały urok tego towarzystwa...

— O formy spierać się z tobą nie będę! *De gustibus...* Ale wracajmy, bo czas jest przebrać się.

— Dopiero pół do szóstej... Czy nie wypadaloby pierwej państwu prezesostwu kartę rzucić...

— To nie wieczór, to zwykła recepcya... powiem, żeś dzisiaj przyjechał... Zbierają się tam o pół do siódmej.

— Bardzo się cieszę z dzisiejszego wieczoru! zakończył Sabin ściskając serdecznie Bolesława za rękę.

Przed hotelem europejskim pożegnali się, a za godzinę byli już znowu razem i ręka

w rękę dążyli do alei belwederskiej. Sabin był uśmiechnięty i słodko rozmarzonym okiem patrzył przed siebie. Szukał sobie w wyobraźni jakieś przecudne rzeczy! Powoli budował w duszy jakiś pałac czarodziejski ze starożytnym krużgankiem, na którym majaczyła jakaś postać kobieca w białej, powiewnej sukni.

— Bolesław marzył także i uśmiechał się do swoich marzeń. Ale uśmiech jego był pełen ironii i złośliwej rozkoszy. Od czasu do czasu patrzył z ukosa na szczęśliwego w marzeniach swoich Sabina, a szydreczy i złośliwy uśmiech potęgował się jeszcze więcej. Widać, że przygotowywał towarzyszowi jakąś niespodziankę.

XI.

Drzy belwederskiej alei, cofniony o kilkadziesiąt kroków od codziennego prądu życia warszawskiego, stał biały murowany dom o jednym piętrze. Nie była to wila w dzisiejszym znaczeniu tego słowa, obliczona na wykwintne wygódki życia i stósowną dekoracją. Był to prosty dom murowany, ocieniony od strony alei starymi drzewami. Cisza w koło niego przypominała mimowolnie ciszę klasztorną. Królował tu czas z wszystkimi swymi trąbantami. Ręka ludzka nie zmiatała nigdzie jego śladów, przeciwnie starała się nawet je

uwypatnić, aby wszystkim przechodzącym przypominały zbawienne słowa: *Memento mori*.

Dach domu narósł grubą zieloną warstwą mchu, i nadawał mu z daleka pozór wysokiej mogiły. Pokrycie gdzie niegdzie było uszkodzone i patrzyło na aleę czarnymi dziurami, które pozostałe po oczach jamy w czasce ludzkiej mimowoli przypominały! Konary drzew były połamane i smutno jak kaleki przeszłych tryumfów patrzyły na potomnych!... Na ziemi walało się wiele niedogniłek a białe zaśchłe grzyby wychylały się z błotnistej ziemi, z której śnieg dopiero co ustąpił przy wietrze południowym. Wszędzie było cicho i głucho.

— Otóż jesteśmy u celu, zawołał Bolesław i pociągnął za dzwonek u furtki.

Sabin obejrzał się w koło. Nigdzie nie było ekwipażów, nigdzie służby. Z łożową topniejącą świeczką wyszedł siwy służący.

— Jakoś nie bardzo po arystokratycznemu! szepnął Sabin towarzyszowi do ucha.

— I owszem, poznasz najdawniejsze rodziny polskie!... odpowiedział Bolesław, a dowodem ich prawowitości jest, że się właśnie nie ubiegają o ten blichtr arystokratyczny, który znajdziesz u bankierów dzisiejszych, żydów na lichwie otyłych i przemysłowców, którzy pod sztandarem idei wieku, umieli zręcznie społeczeństwo eksploatować...

Sabin zamilkł i poszedł dalej. Weszli w duży kurytarz. Na kurytarzu było pełno śmieci, pajęczyny i tej dziwnej woni, która mimowolnie grobowe powietrze przypomina. Sabin obejrzał się smutno do koła.

— Czy cię razi to, co widzisz? rzekł do niego Bolesław, — widać, że społeczeństwa nie znasz! Społeczeństwo jest podobne do wielkiego lasu, w którym sama natura gospodaruje. Stare drzewa pruchnieją i walą się,

a na ich butwiejącym tułowiu powstają nowe, tysiączne rośliny. Tak się ma w społeczeństwie z dawnymi rodami. Za dumni i pyszni, aby iść ręką w rękę z prądem czasu, cofają się w samotne ustronie i konają zwolna. To samo widzisz w Paryżu przy ulicy *St. Germain*, gdzie zamknięte domy arystokracji rodowej stoją jak grobowce familijne, w których dogorywają prawnuki znakomitych niegdyś wodzów, doradców korony, lub nawet książąt udzielnych! Wiek dziewiętnasty wziął im jedyną podstawę ich uroku — niezmierne bogactwa, a zubożeni cofnęli się przed światem i konają w samotności!

— Ja przecież inne miałem wyobrażenia o wielkich domach naszych, zauważył Sabin.

— Ty myślisz o fałszowanej monecie! To co dzisiaj błyszczy i hałasuje, to wszystko podrobiony klejnot! Niema w ich krwi ani kropli tego rozczynu, jaki obiegał w żyłach

naszych znakomitych rodów i ich do wielkich czynów przed wszystkimi sposobili! To wszystko parweniusze i podszyta hołota kramarzy i przemysłowców!

Smutno zrobiło się Sabinowi. Podobnego wrażenia doznał schodząc do grobów w katedrze na Wawelu. Tymczasem służący otworzył drzwi do przedpokoju. Duszna, wilgotna atmosfera zawiąła ztamtąd.

— Nieprawda, że czujesz grobowe powietrze? ozwał się Bolesław ze złośliwym uśmiechem.

— Przyznam ci się, że inaczej wyobrażałem sobie! odparł Sabin rzucając futro na stary, kulawy fotel.

— Wykwintnego luksusu, zbytków i olśniewającego blasku szukaj w przedpokojach dzisiejszych Geldhabów, nie zawsze sumiennych dorobkiewiczów i tych, którzy jak grzyby po burzy napęcznieli kosztem społeczeństwa!

Na dalsze uwagi już nie było czasu. Służący otworzył drzwi do salonu.

Salon był dosyć obszerny i miał ślady dawnej zamożności. Ale właśnie te ślady lepszego niegdyś bytu sprawiały dzisiaj nader niemile wrażenie. Aksamit na meblach wypłowił, malowidło ścian zblakło i sposepniało jak wszystko co umiera. Nawet atmosfera miała woń dziwną, woń butwiejącego drzewa.

Jedna duża lampa świeciła się na stole. Światło jej było niedostateczne na tak znaczną przestrzeń. Po kątach panował zmrok szary i zawieszonym na ścianach portretom nadawał szczególny wyraz.

W koło dużego stołu siedziało towarzystwo z ośmiu lub dziesięciu osób złożone. Było milczące jakby w pobożnych pograżone kontemplacjach. Na stole stało kilka filiżanek z niedopitą herbatą, a na srebrnym talerzyku leżało pięć grzanków i tyleż biszkopcików.

Pomiędzy filizankami było kilka albumów.

Gospodarz domu, którego z dawnych, bardzo dawnych czasów prezesem nazywano, siedział w dużym fotelu z głową na piersi zwieszoną. Pani prezesowa, piękność swojego czasu, miała duże pukle siwych włosów i koronet z początku dziewiętnastego wieku. Koło niej siedziały trzy podobne do niej matrony w czarnym, fałdzystym ubiorze przypominającym strój zakonny. Dalej był siwy, sztywny jegomość z wysokim halsztukiem, który rozmawiał z jakimś duchownym. Ostatnią generacją reprezentowały dwie osoby. Był to brat i siostra. Brat mógł liczyć lat dwadzieścia, siostra ośmnaście. Twarze ich były blade, widocznie jadłem skrofułów zatrute. Błędny wzrok podobny był do wzroku idiotów.

To ludzkie towarzystwo otoczone było towarzystwem innego rodzaju, również spokojnym i apatycznym. Na krzesłach, dywanach

i taborecikach leżało w najrozmaitszych pozach dziesięć kctów rozmaitej maści i wielkości. Drugie tyle psów i piesków spokojnie przechadzało się pomiędzy naturalnymi swemi nieprzyjaciołmi. Wrodzony ich instykt wzajemnej nieprzyjaźni przytępił się w atmosferze tego salonu. Nikt tu bynajmniej o walce nie myślał, nawet o walce z życiem, o walce z śmiercią powolną...

Sabina ogarnęła smutne, bardzo smutne wrażenie. Bolesław wziął go za rękę i zbliżył się do stołu:

— Przedstawiam pani prezesowej i panu prezesowi mego przyjaciela, obywatela ze wsi...

Wyrzeczono nader poważnie zwykłe słowa powitania. Potym nastąpiła długa pauza.

— Pan na karnawał przybyłeś do Warszawy? zapytała w końcu gospodyni.

— Właściwie mam interesa familijne do załatwienia, odpowiedział nieśmiało Sabin.

— A prawda, mówił nam o tym coś Jerzy, ozwał się prezes do żony.

— Przecież jeszcze są młodzi ludzie, ozwała się dama w czarnym stroju, którzy nie łakną tego grzesznego zgiełku karnawałowego! Ach co też to się dzieje! U pani Aurelii był skandal prawdziwy! Pani Filomena wydekoltowana poniżej ramion tańczyła wszystkie tańce z panem X...

— Zgroza! zgroza! zawołało całe towarzystwo, czemu także i kilka piesków zawtórowało.

Sędziwa kaznodziejka spuściła czarne, zapewne czarujące niegdyś oczy na album Delarocha i zamyśliła się smutno. Zdaje się, że myślą cofnęła się o pięćdziesiąt lat wstecz, do również dekolowanej sukienki swojej...

— Czy księżna nie uważasz, że Bolcio coś nienaturalnie sapie? zbudziła towarzyszką z zadumania kaznodziejkę.

— Siarki, siarki jak najwięcej dawać! odparła księżna — mój Filonek trzy dni nie jadł, a siarka pomogła.

— Świat olbrzymim krokiem idzie do ostatecznego rozpasania się! zauważył sztywny jegomość.

— Jeżeli mocarstwa same rzucają w narody ziarna bezbożnych instytucji, ozwał się jego towarzysz, cóż się dziwić ciemnym massom, jeżeli zamiast wiary sięgają po zakazany owoc ułomnej wiedzy...

— Gdyby to można gdzie skryć się przed tym światem dzisiejszym! mówiła gospodyni — wiesz pani, że mój Neronek ma tak ostre ząbki, że mi całą koronkę pokrajał jak nożyczkami!

Usłyszawszy swoje imię podniósł Neronek nagle głowę tak niefortunnie, że spadł z taboreciku na dywan. Skowyt przeraźliwy rozległ się po całym salonie. Wszyscy przysko-

czyli do nieszczęśliwego Neronka. Nie szczeniło się, przemawiano do niego różnymi językami, ale Neronek skowyczał ciągle. Wreszcie zawołano służącego, kazano przynieść różnych przysmaków, postawiono je pod mordką Neronka, ale na próżno!

Długi czas trwało zaburzenie w całym salonie. Koty przeskakiwały z legowisk aksamiitnych, a niezwykle hałas ratujących Neronka zelektryzował ospałą naturę piesków, które teraz przypomniały sobie o wrodzonej nieprzyjaźni psiego rodzaju do kotów. Nastąpiły szalone gonitwy po krzesłach, stołach i kanapach, a chcący przyczynić się do uspokojenia Sabin, otrzymał dosyć bolesną odprawę od karego kota.

Wiele, bardzo wiele czasu ubiegło nim ostatecznie spokój przywrócono.

— To pan Bolesław temu winien, skarżyła się gospodyni, bo raz Jowisza (burego kota)

w ogon uszczypnął! Jeżeli człowiek urazy nie zapomina, cóż dopiero kot... który ma tylko wrodzony instynkt!

— Bez tego dodatku myślałem, odparł Bolesław, że pani prezesowa wyżej kota stawiasz nad człowieka!

— Ach, daj mi pan pokój z dzisiejszym człowiekiem; rzekła księżna, gdzie dzisiaj są ludzie?

W niższym towarzystwie nastąpiły znowu jakieś rozterki. Azorek ugryzł w łapkę Dianę, z czego wzięto na całej linii *assumpt* do zerwania pokoju i wznowienia kroków nieprzyjacielskich. Nastąpiło szczekanie plutonami i miauczenie rotowe. Cały salon znowu stanął na stopie wojennej.

Korzystając z powszechnej rozterki wziął Sabin Bolesława za poję i obaj cofnęli się we framugę okna.

czyli do nieszczęśliwego Neronka. Nie szczędzono pieśczoł, przemawiano do niego różnemi językami, ale Neronek skowyczał ciągle. Wreszcie zawołano służącego, kazano przynieść różnych przysmaków, postawiono je pod mordką Neronka, ale na próżno!

Długi czas trwało zaburzenie w całym salonie. Koty przeskakiwały z legowisk aksamitnych, a niezwykle hałas ratujących Neronka zelektryzował ospałą naturę piesków, które teraz przypomniały sobie o wrodzonej nieprzyjaźni psiego rodzaju do kotów. Nastąpiły szalone gonitwy po krzesłach, stołach i kanapach, a chcący przyczynić się do uspokojenia Sabin, otrzymał dosyć bolesną odprawę od karego kota.

Wiele, bardzo wiele czasu ubiegło nim ostatecznie spokój przywrócono.

— To pan Bolesław temu winien, skarżyła się gospodyni, bo raz Jowisza (burego kota)

w ogon uszczypnął! Jeżeli człowiek urazy nie zapomina, cóż dopiero kot... który ma tylko wrodzony instynkt!

— Bez tego dodatku myślałem, odparł Bolesław, że pani prezesowa wyżej kota stawiasz nad człowieka!

— Ach, daj mi pan pokój z dzisiejszym człowiekiem; rzekła księżna, gdzie dzisiaj są ludzie?

W niższym towarzystwie nastąpiły znowu jakieś rozterki. Azorek ugryził w łapkę Dianę, z czego wzięto na całej linii assumpt do zerwania pokoju i wznowienia kroków nieprzyjacielskich. Nastąpiło szczekanie plutonami i miauczenie rotowe. Cały salon znowu stanął na stopie wojennej.

Korzystając z powszechnej rozterki wziął Sabin Bolesława za poję i obaj cofnęli się we framugę okna.

— Zlituj się, czyby nie można ztąd jak najprędzej umknąć? szepnął Sabin do ucha towarzyszowi.

— Przepadłbyś w opinii domu na wieki! odparł Bolesław — ksiądz Ignacy będzie jeszcze czytał!

— Będzie czytał? Cóż może nam czytać? Jużbym wolał niżeli tę wojnę psów z kotami!

— Będzie czytał kazanie, które przewidziano na drugą niedzielę w kościele św. Jędrzeja.

— Kazanie! kazanie! Nie, ty żartujesz sobie z wsiowego parafianina!

— Tak jest, kazanie będzie czytał. Wchodzi taki zwyczaj teraz w modę w Paryżu po znakomitych domach!

Sabin westchnął i zamyślił się. Po dosyć długiej pauzie zapytał Bolesława:

— Dla czego to młode rodzeństwo tak siedzi kamieniem i nic nie mówi, mają minę idyotów!

— Bo są nimi w samej rzeczy, odparł krótko Bolesław. Jest to nieszczęśliwy skutek zawierania małżeństw w ciasnym kółku równych sobie. Ojciec tego nieszczęśliwego rodzeństwa należy do jednego z najdawniejszych rodów naszych, którego członkowie, nie chcąc krwi swojej mieszać z krwią niższą, zawierają małżeństwo między sobą. Ztąd wyradzają się idyoci, kaleki i kretyny.

W tej chwili uspokoiło się towarzystwo w salonie, a gość duchowny usiadł za stołem i rozłożył przed sobą dosyć spory manuskrypt.

Bolesław ugryzł kawałek biszkopciku i usiadł z miną pobożnego człowieka. Sabin westchnął.

XII.

Była godzina druga po północy, gdy Sabin kładł się do łóżka i ciepłą kołdrą nakrywał. Był tak zmęczony, że nawet nie miał czasu pomyśleć nad tym wszystkim, co dzisiejszego wieczora wdział i słyszał. Zapadł w sen głęboki i nie obudził się aż po godzinie dziesiątej.

Bolesława dzisiaj wcale nie było. Przyzwyczajony od trzech dni do swego mentora, który mu dwa tak skrajne obrazy stolicy okazał, czuł się jakoś osamotniony. Śniadanie nie smakowało mu samemu. Programu na dzisiejszy dzień jeszcze nie miał, bo z Bolesławem jeszcze o tym nie mówili. Usiadł więc na sofę i zapalił cygaro.

Przed samą dwunastą zjawił się jednak spragniony Bolesław. Sabin ucieszył się, bo chciał z nim coś o wczorajszym wieczorze mówić. Wiele rzeczy było dla niego zagadką. Bolesław jednak nie dopuścił go do słowa.

— Zapomniałeś, rzekł zaraz na wstępie, że po przebytych u pani Ludgardy wieczorze należy się według form towarzyskich, gospodyni domu wizyta. Mam teraz chwilę czasu i mogę pójść z tobą.

— Przyznam ci się, odparł Sabin, że miałbym właśnie ochotę trochę z tobą pogadać.

— Będzie czas na to, bo i tak o tej porze nie zastaniemy pani Ludgardy w domu i tylko zostawimy karty!

— O to byłoby wybornie! Nie jestem dzisiaj usposobiony do rozmowy z wesołą twoją przyjaciółką.

— Ale trzeba się nam spieszyć, bo inaczej wpadniemy w łapkę. Koło pierwszej wracają obie do domu.

Sabin wziął czymprędzej kapelusz, aby prostym zostawieniem karty pozbyć się obowiązkowej wizyty. Nie miał wcale ochoty bawić się karnawałową rozmową z wesołą wdówką. Szybko zeszli oboje ze schodów i zwrócili się na Leszno.

— Życzyłbym sobie bardzo, abyśmy panią Ludgardę w domu nie zastali! rzekł w drodze Sabin do towarzysza.

— Ja tego również pragnę z mojej strony, odparł tenże, bo i tak nie mam czasu. Robię to tylko dla ciebie.

W milczeniu przebiegli Leszno i stanęli wreszcie na rogu Orlej.

— Przygotuj kartę, rzekł Bolesław, ukrywając pod wąsem uśmiech złośliwy.

— Mam już w ręku, odparł Sabin i zanucił sobie półgłosem jakąś aryjkę, podczas gdy Bolesław za dzwonek pociągnął.

Nadspodziewanie prędko wyszła służąca. Ujrawszy Sabina, uśmiechnęła się, jakby cel jego wizyty odgadła.

— Czy są panie w domu? zapytał obojętnie Bolesław.

— Są, proszę pana! odpowiedziała z dowcipnym kaprysykiem warszawianka i otworzyła drzwi na rozcież.

Sabin spojrział na Bolesława, Bolesław spojrział na Sabina. W wejrzeniach ich malowało się zadziwienie.

— Ha, przypadło! szepnął zachmurzony Bolesław, złapaliśmy się! Nie ma się co namyślać. Chodźmy!

— To fatalnie, to fatalnie! odparł z westchnieniem Sabin, trzeba najmniej pół godziny mówić Bog wie o czym!

Służąca otworzyła drzwi do saloniku.

— Oczekuję panów już od pół godziny, powitała wchodzących zaraz na progu pani Ludgarda, spodziewałam się, że pan Sabin będzie tak grzeczny, że nie zapomni o Orlej ulicy!..... Siadajcie panowie.... Pan Sabin — moja kuzynka!

Sabin poszedł okiem za ręką pani Ludgardy i ujrzał przy stoliku pod oknem pannę Agrypinę. Ukłonił się milcząco.

Agrypina miała przed sobą kilkanaście motków włóczki różnokolorowej. Mieszała te motki w sposób najrozmaitszy, jakby dobiebrała kolorów. Twarz jej blada, z pewnym wyrazem cierpienia odbijała bardzo dobrze od tych jaskrawych, nieustannie zmieniających się barw wełny. Zgrabne paluszki tonęły i znowu pojawiały się w tym chaosie. Ciemno kasztanowate włosy spadały w połysnych kędziorkach na białą szyję. Jasno orzechowa

wstążka przedzielała je na dwie połowy w samym środku. Czarne oczy były dzisiaj jakąś mgłą przyćmione.

Widok młodej kuzynki sprawił na Sabinie jakieś lepsze wrażenie. Przynajmniej nie był narażony na nieustanną rozmowę wesołej gospodyni, która go nużyła. Zamieniwszy więc kilka słów z panią Ludgardą, zwrócił rozmowę do kuzynki, a w braku innego konceptu, zaczął ubolewać, że na przedwczorajszym wieczorze nie była obecna.

Agrypina podniosła od włóczki zwolna swoje czarne, przymglone oczy, patrzyła czas niejaki w białą, z lekkim rumieńcem twarz Sabina. Smutny, melancholijny uśmiech wił się w koło jej ust bladych, na pół otwartych.

— Byłam cierpiąca, wyszepnęła z cicha, a cierpiałam tym więcej, że w koło mnie była radość i wesele!

— W takim razie, odparł grzecznie Sabin, muszę stryjenkę posądzić o niedarowaną okrutność!

— Nie panie! żywo odrzekła Agrypina, to ja sama winna. Pod wieczór zasłabłam, a trudno było gości odprawić...

— Nie wiem, kogobyśmy więcej posądzić mogli o okrutność i przyczynę tego co zaszło! dorzuciła ze znaczącym uśmiechem pani Ludgarda.

Słowa te sprawiły na chwilę głęboką ciszę. Sabin wziął je za zwykły frazes w braku innego konceptu i odpowiedział na nie konwencyonalnym uśmiechem. Bolesław patrzył w tej małej przerwie z uwagą na Sabina i Agrypinę. Najwięcej zdaje się uczuła te słowa sama Agrypina. Jakiś niepokój zdradzał w jej czarnych oczach. Przesunęły się one po wszystkich twarzach z kolei i wróciły z jaśniejszym blaskiem do motków włóczki. Trudno

odgadnąć, co w nich nagle ten blask roznieciło. Czy wspomnienie czarnowłosego aplikanta zapaliło tam żywsze życie?...

— Stryjenia widzi zawsze powody tam, gdzie ich niema! odpowiedziała spokojnym głosem.

— Przecież sama mówiłaś mi, odfuknęła gniewnie pani Ludgarda, że wieczór, w którym byliśmy w teatrze, rozdrażnił cię wrażeniem... Dziwna nastaje teraz moda wypierać się wrażeń silniejszych, udawać że się ma mocne nerwy...

Agrypina wysłała poraz wtóry swoje czarne oczy na zwiady. Obeszły one znowu tę samą drogę po twarzach obecnych i znowu wróciły do motków włóczki. Tą razą jeszcze mocniej błyszcząły i dziwnie były niespokojne.

— Wrażenia, ozwał się Sabin, czy raczej wzruszenia na widok tego, co się widzi, są dzisiaj tak rzadkie, że je raczej za zaletę,

nizeli za przyganę poczytać można. Ja sam mogę otwarcie do tego się przyznać, że owego wieczora wyszedłem z teatru dziwnie nastrojony. Być może że tylko my, mieszkańcy wsi, jesteśmy tak naiwni, że przyznajemy się do naszych wzruszeń, w wielkim mieście może to uchodzi za brak dobrego tonu...

Czarne oczy Agrypiny spoczęły teraz na twarzy Sabina. Malowało się w niej jakieś cierpienie, jakaś litość dla tego, że te słowa o wzruszeniach serca i duszy wymówił. Nastąpiła chwila milczenia.

Pani Ludgarda skorzystała z tej chwili. Rzuciwszy na Bolesława wejrzenie znaczące, uśmiechnęła się z zadowoleniem. Potym, jakby sobie o czymś przypomniawszy, wstała szybko z fotelu i rzekła do Bolesława:

— Ach mam dla pana pewne zlecenie! Byłabym zupełnie zapomniawsza... Gdzie jest Kuryer?... Chodź pan tutaj!

Mówiąc to wzięła ze stołu Kuryera i wyszła z nim do drugiego pokoju. Za nią poszedł Bolesław. W salonie została tylko Agrypina z Sabinem, który dziwnie zamysłony, takiego osamotnienia nawet nie spostrzegł.

Twarz Agrypiny przybrała wyraz uroczysty. Zdawało się, że uważała te chwilę za ważną w swoim życiu.

— Zdaje mi się, ozwała się po chwili, że niema nic w życiu boleśniejszego, jak wzruszenia, które zawodu doświadają. Lepiej w takim razie nie podlegać żadnym wzruszeniom, żyć bez myśli, bez celu i cieszyć się tym, co nam każdy dzień z sobą przynosi. Inaczej czekają nas tylko same cierpienia, a co gorsza, rozczarowanie!

Słowa te Agrypiny były wprawdzie nawiązane do ostatnich słów Sabina, ale Sabin nie mógł jakoś na prędce ich zrozumieć ani

pojąć, do jakiego celu one zmierzały. Biorąc je po prostu za oderwane sentencje, odparł:

— Mając z dwojga złego jedno do wybrania, to już cię wybrałbym: prędzej boleść i cierpienie niżeli ten zabijający wszystko w życiu indyferentyzm! Człowiek cierpiący przynajmniej czuje że żyje. Cierpienie każde ma zawsze za podstawę, choćby oddaloną tylko, nadzieję zdrowia. Tymczasem zobojętnienie na wszystko jest istotną śmiercią. Człowiek przestaje tutaj żyć drugą lepszą połową swego życia, zostaje tylko zwierzę, odbywające instynktowo swoje funkcje.

— Więc pan wolisz cierpieć i być nie-szczęśliwym? zapytała szybko Agrypina, a oczy jej zaszklily łzami.

— Jeżeli szczęśliwym być nie mogę, to wolę cierpienie niż zobojętnienie na wszystko! odpowiedział Sabin, patrząc nieznacznie na

wskazówki zegara, który pod szklanym nakryciem dźwięczał niecierpliwie.

— To pan należysz do wyjątków w dzisiejszym świecie! zauważyła Agrypina i spuściła oczy na włóczkę.

— Ach, niech mnie pani nie czyni tak samotnym! wtrącił bez myśli Sabin.

— Samotność taka jest zawsze zaletą dla mężczyzny! Znajdziesz pan zapewne pociechę sam w sobie!

— Stawiasz mi pani nader smutny horoskop! Myślałem, że młode usta nie wydają tak smutnych wyroków!

— Niech mnie pan nie winuje! Gdyby w moim położeniu słowa moje były inne, straciłabym szacunek u pana!

— Wierzę, że kobieta musi bronić idealniejszej strony życia! Ale my za to przy tym idealizmie padamy ofiarą...

— Taki porządek w świecie. Jedni się rodzą, drudzy umierają. Orszak weselny idzie czasem przez cmentarz do kościoła...

— W dziwnym nastroju jesteś pani! Czy mogłabyś pani życzyć mi tego, aby przezemnie przeszła do ołtarza jaka para ślubna...

— To zależy od tego, czy pan zechcesz jakiej ślubnej parze w drodze stanąć!

— Dotąd jeszcze o tym nie myślałem, bo wątpię aby to kiedy nastąpić mogło!

— Wszystko jest w ręku Boga! odparła z westchnieniem Agrypina, a po jej twarzy przemknął taki wyraz, jakby się modliła w tej chwili.

Sabin zaczął się bawić łańcuszkiem od zegarka. Wszelki zapas rozmowy już wyczerpał. Na jego szczęście wyszła teraz z drugiego pokoju pani Ludgarda z Bolesławem. Sabin wstał z krzesła i po kilku codziennej

treści słowach podał rękę pani Ludgardzie na pożegnanie.

— Do widzenia się, do prędkiego widzenia się, rzekła uprzejma gospodyni, jeżeli się pan będziesz nudził, to przyjdź pan do nas kiedy chcesz, w każdej chwili, tak jak do swego domu. Ze mną możesz się pan śmiać i jeśli ochota zbierze, tańczyć, a z Agrypiną będziecie rozprawiać o tajemnicach wzruszeń i bezpośrednim stosunku serca z duszą!

Sabin wysłuchał tych słów w milczeniu i ukłonił się. Agrypina pożegnała go wdzięcznym pochyleniem głowy i odprowadziła go aż do progu smutnym spojrzeniem, w którym oraz była niema prośba, aby jej przebaczył.

— Nie spodziewałam się, że tak od razu będzie sentymentalnym i obcesowym! rzekła pani Ludgarda do Agrypiny, gdy były same, ale to mi się właśnie z jego strony podoba. Widać, że nie umie taić tego, co czuje...

Agrypina na to nic nie odpowiedziała, tylko szybko pobiegła do swego pokoiku. Zamknawszy drzwi usiadła ze spokojnym uśmiechem na twarzy, jakby już odbyła walkę i z tej walki zwycięzko wyszła. Czarnowłosa aplikant mógł dzisiaj być przez cały dzień w złotym humorze. Grał właśnie szczęśliwie w tej chwili w bilard u Loursa.

— Zostawiłeś mnie samego z tą dziwnie romantyczną kuzynką! mówił w drodze Sabin do Bolesława.

— Jest bardzo rozsądna, zacna i czytana panienska, odparł Bolesław.

— Być może, temu nie przeczę — ale w końcu już mi zabrakło różnych frazesów! Wiłem się jak wąż na wszystkie strony i w samą porę wyszedłeś z drugiego pokoju, bo już byłem w rozpacz!

— Przecież ta rozpacz była znośniejszą

od wczorajszego wieczorku przy ulicy belwe-derskiej.

— Bez wątpienia, bez wątpienia! odparł Sabin, a wzięwszy Bolesława pod ramię skierował kroki ku restauracyi pana François przy Krakowskim Przedmieściu. Smaczny obiadek uśmiechnął się do nich w samą porę.

XIII.

Kilka dni przeminęło bez żadnych ważniejszych wydarzeń. Sabin zaczął się nudzić na piękne.

Wprawdzie przez wszystkie te dni był zawsze Bolesław przy jego boku, ale sam jeden nie mógł mu stanąć za wszystko. Osobliwie w tajemnych swoich zamysłach nie uczynił Sabin żadnego postępu. Nie odkrył dotąd żadnego domu, w którymby mógł znaleźć to, czego tak gorąco pragnął.

Mała próbka tak zwanego wyższego towarzystwa stała mu jeszcze żywo w pamięci, aby chciał dalej w tym kierunku czynić doświadczenia. Wprawdzie prosty rozum mówił

mu, że pomiędzy domem przy belwederskiej alei, gdzie wcale nie miał ochoty więcej wrócić, a domem przy rogu Orlej, który mu był zupełnie obojętnym, musi być jakiś środek, któryby jego wyobrazeniom i pragnieniom mógł zadość uczynić. Środkowej tej jednak pozycyi nie mógł dotąd znaleźć. Miał kilku dalszych znajomych, ale i ci nie mogli mu dopomóc.

Odważył się w końcu jeszcze raz te kwestye w obec Bolesława poruszyć. Bolesław krótko i węzłowato odpowiedział mu, że tak zwane wyższe i to *de jure* wyższe towarzystwo składa się z takich samych żywiołów, jakie był na owym wieczorku poznał. To zaś, co w mieście udaje wyższe towarzystwo, według zdania Bolesława nie było warte bliższej uwagi. Nie ze wszystkim tam możnaby się pogodzić, a często nawet trzeba by było zadać gwałt swoim przekonaniom i zasadom,

trzebaby się tam poznać z figurami, od których wypada być jak najdalej. Tak prawili Bolesław Sabinowi, a Sabin musiał się na to zgodzić.

Zdarzyło się jednak kilka razy, że w nieopatrznej chwili przedarł się jaki dawny znajomy do Sabina i zaproponował wprowadzić go w znajome sobie domy. Od tego jednak niebezpieczeństwa umiał zawsze Bolesław swego przyjaciela ochronić. Miał zawsze w zapasie jak najdokładniejsze wiadomości o tych domach i umiał je w taki sposób Sabinowi udzielić, że Sabin sam zazwyczaj odstępował od wszelkich nowych zachcianek.

Szczególnie wtajemniczony był Bolesław w finansowe stosunki tych domów, o które wypytywał się Sabin. Wiedział liczbę długu, całą wartość majątku i ciężące na nim ciężary. Obliczał mu jak najskrupulatniej wszystkie aktywa, passywa i sperandy. A chociaż Sa-

bin w gruncie nie był tak chciwym majątku znacznego ze strony przyszłej dozgonnej przyjaciółki, a nawet w marzeniach swoich bynajmniej tej pozycji tak bardzo nieuwzględniał, wyjawione jednak w niekorzystnym świetle stosunki ludzi, wprzódy nim ich jeszcze poznał, sprawiały na nim tak nieprzyjemne wrażenie, że z bliższego ich poznania rezygnował.

A jeżeli stosunkom majątkowym jakiego domu nic nie można było zarzucić, umiał Bolesław jakąś historyjkę Sabinowi opowiedzieć, która go od wszystkiego odstraszyła. W braku historyjki podlegała panna jak najostrzejszej krytyce. Nie miała żadnego wykształcenia, była nader brzydką lub co jeszcze gorsza, kokietką. Już się sparzył Karól, Michał i Stanisław, a w każdym razie można się ich zapytać. Inna znowu poluje na bogatego męża i sprzedaje się jak pospolity towar,

pierwszemu lepszemu bogatszemu. Ta ma znowu pewne defekta, tamta kocha się w studencie i miewa z nim schadзки w kościele św. Antoniego.

Biedny Sabin, gdziekolwiek tylko jak ostrożny owad macki swoje wystawił, uczuł uderzenie po mackach i musiał czymprędzej wracać do swojej skorupy. Wierzył w przyjaźń Bolesława, ale ta przyjaźń, od której tyle się spodziewał, prócz negacyjnych usług, nie miała dla niego żadnych innych owoców.

Chciał się naprzód, jak obyczaj każe, kochać a potem ożenić, ale nie wiedział o tym, że jakkolwiek przy drugim może być pośrednik czasem korzystnym, przy pierwszym jednak jest zawsze szkodliwym.

Wiedząc więc że cel, dla którego do Warszawy przyjechał, coraz więcej od niego się oddala, zaczął się Sabin strasznie nudzić.

Chodził wprawdzie z Bolesławem po ulicach, ale to go wcale nie rozrywało.

Miasto wielkie jest dla powszedniego człowieka, który bez stosunków towarzyskich do niego przyjeżdża nielitościwie nudnym. Teatr, koncerta, kawiarnie, publiczne przechadzki mogą go wprawdzie na niejakiś czas nowością swoją rozerwać, ale nie wypełnią na czas dłuższy w nim owej czezości, jaką uczuje z braku towarzyskiej, cieplejszej rozrywki.

Tak samo stało się z Sabinem. Był w teatrze, był na koncercie, wałęsał się po ulicach, a gdy wieczór nadszedł, wracał do hotelu i w smutnym pokoiku słuchał turkotu ulicznego i gwaru wielkiego miasta.

Jadąc do Warszawy, marzył przez całą drogę o przyjemnych wieczorkach, spędzanych wśród zacnych rodzin. Wieczorki te ożywiały wymarzonemi swemi ideałami, od których nawet zbyt wiele nie wymagał. Jeden z tych

ideałów chciał uwieść ze sobą, do majątku przeniesionego na swoje imię i tam żyć spokojnie!

Marzenia te jego dotąd ani na krok nie zbliżyły się do urzeczywistnienia.

Siódmego dnia padał od rana deszcz ze śniegiem. Fizyonomia miasta była nadersmutna.

Sabin zjadł śniadanie i obiadek razem z Bolesławem, potem wałęsali się śród niepogody trochę po ulicach, wypalili kilka dwuzłotowych cygar, ale to wszystko nie poprawiło humoru.

Gdy się wieczór zbliżał a Sabin na samą myśl wieczoru już truchlał, rzekł do niego Bolesław:

— Wpada mi właśnie dobra myśl do głowy! Na dworze brzydko, w teatrze pustki, w cukierniach żywego ducha niema, bo wszystko porochochodziło się po wieczorkach. Ot chodźmy i my na wieczorek.

— Na wieczorek? zapytał Sabin ciekawie, a gdzie moglibyśmy pójść na wieczorek?

— Wprawdzie nie wiele tam dla nas bawawy, ale przecież lepiej niżeli w cukierni! Przynajmniej zobaczymy ludzi, z którymi słowo pomówić można! A to przecież lepiej wostatecznym razie niżeli siedzieć w hotelu!

— To prawda... ale gdzież pójdziemy! Na belwederską ulicę za nic w świecie!

— Na róg Orlej!... Lepszy rydz niż nic! Cóż będziemy przez cały wieczór robić?

Sabin zamyślił się. Towarzystwo pani Ludgardy nie miało dla niego żadnego celu. Z drugiej jednak strony było zawsze towarzystwem, w którym na chwilę można się było rozerwać. Wybierając w duchu między dwojgiem złym, wolał oczywiście róg Orlej niżeli samotny pokoik w hotelu.

— Jeżeli tylko o to chodzi, ozwał się do

Bolesława, to bym nie był od tego aby pójść na Orlą.

— Pani Ludgarda cieszy się z każdego gościa! Sprawimy jej wielką radość!

— Dobrze, ale bierzesz na siebie, abym w taki sam sposób nie wszedł do salonu, jak pierwszą razą!

— Już to biorę na siebie. Nie obawiaj się niczego! Wyłajałem za to panią Ludgardę.

Za godzinę byli już obaj w drodze ku Orlej.

— O jakże panom wdzięczna jestem, rzekła na progu pani Ludgarda, wyciągając dwie drobne rączki, bardzo wdzięczną jestem, bo dzisiaj droga na Orlą to znaczy więcej niżeli prosta chęć rozerwania się. Prawda panie Sabinie?

I tą razą nie wezwała Sabina do szalonego tańca, tylko pozwoliła mu nader poważnie przejść się po salonie i z niektórymi

osobami przywitać, pomiędzy którymi spotkał także pannę Agrypinę.

Agrypina była dzisiaj w jasno-różowej sukni z białym ubraniem. Miała na głowie zielony wianuszek, jakby na stopniach ołtarza przyklęknąć miała. Twarz jej była ożywiona, oczy błyszczały zadowoleniem.

Gdy Sabina obaczyła, przybrała wyraz smutny i serdecznie ścisnęła go za rękę. Potym zsunęła dwa krzeselka i usiadła na jednym. Na drugim przysiadł się Sabin i rozpoczął z nią rozmowę.

Agrypina rozmawiała wiele i długo. Kilka razy nawet odmówiła tańca. W jej czarnych oczach przebijała się jakaś litość, jakieś dziwne współczucie. Miało to pozór jałmużny, którą rzucamy biedakowi dla tego, aby mu wszystkiego innego odmówić. Tak można było przynajmniej wnosić z rozpromienionej twarzy aplikanta, który stał opodal i czarne wąsiki

z fantazją do góry zakręcał. Od czasu do czasu patrzył na rozmawiających i uśmiechał się także — litościwie. Uśmiechu tego nie widział Sabin, ale widział i zrozumiał go Bolesław...

Pani Ludgarda z iskrzącymi od radości oczyma patrzyła na Agrypinę i Sabina. Szepotała coś sąsiadkom swoim do ucha, a te podawały to dalej. Za kilka chwil wiele oczu było zwróconych na Sabina.

Sabin w ogóle kontent był z dzisiejszego wieczorku. Przynajmniej nie był samotnym i mógł dowoli nagadać się z ludźmi różnego autoramentu. A zadowolenie jego było już zupełne, gdy w kącie koło pieca odkrył jakiegoś byłego właściciela ziemskiego, który znał jego ojca i miewał z nim różne interesa.

Po wieczerzy, wypiszy ze znajomym swego ojca pięć kieliszków wina, tak się Sabin rozochocił, że nawet bez przymówienia go-

spodyni, wziął ją za drobną, pulchną rączkę i do pierwszej pary mazura stanął.

Strony fortepianu zabrzęczały, Sabin zaczął wybijać hołubce, a kiedy jakiś pyzaty jegomość gospodynią mu odbił, ujrzał się twarzą w twarz z Agrypiną, którą wpół porwał i szalone zatoczył z nią koło.

— Dobrana będzie z nich para! rzekła jakaś otyła dama do swego sąsiada.

— Kto pani o tym powiedział? krzyknął aplikant, i rozburzył ręką całą swoją fryzurę.

XIV.

Na dwa dni miał się odbyć w resursie obywatelskiej koncert symfoniczny. Na taki koncert zbiera się zazwyczaj wyborowa publiczność. Zaraz z rana przybiegł Bolesław do Sabina.

— Nie pytając się nawet o to, rzekł zaraz przy progu, wzięłam dla ciebie bilet na dzisiejszy koncert. Dzisiaj warto pójść, jeżeli nie dla samej muzyki, o której ktoś powiedział, że jest kosztownym hałasem, to dla towarzystwa, które się tam dzisiaj zbierze. Obaczysz cały piękny świat warszawski jak na dłoni.

— Bardzo dobrze! bardzo dobrze! — zawołał uradowany Sabin i zadzwonił czym prędzej o buteleczkę wina. A czy też przybędzie tam i... lepsze towarzystwo? To jest, czy z obywatelstwa ziemskiego będzie tam kto?

— Mówię ci, że śmietanka Warszawy! Wszystko będzie co jest nią i chce nią być!

Sabin cieszył się przez cały dzień jak małe dziecko. Obsypywał Bolesława pieścotami i miał tak dziwne jakieś przecucie, jakiego już dawno nie doznał. Zdawało mu się, że coś obaczy na tym koncercie, czego tak gorąco pragnie, a co dotychczas mu się jeszcze nigdzie nie objawiło...

Wreszcie nadeszła godzina szósta. Sabin ubrał się starannie i obaj z Bolesławem wybrali się w drogę.

Przed resursą stało wiele ekipaży. Sabin oglądał starannie wszystkie niewyjąwszy nawet liberyi służących. Zamarzył coś przy

tych ekwipażach i byłby może dalej snuł swoje marzenia, gdyby godzina nie nagliła.

Weszli na salę. Sala w połowie już była zajęta. Służący wskazał im numera ich krzeseł.

— Bardzo dobre miejsce, rzekł Sabin do Bolesława siadając wygodnie, ale koło nas kilka krzeseł próżnych.

— Tym lepiej odparł obojętnie Bolesław, będziemy mieli gdzie kapelusze położyć.

— Czy sądzisz, że już ich nikt nie zajmie? zapytał Sabin i zamarzył o nieznajomej przyszłej sąsiadce.

— Prawdopodobnie nikt nie przyjdzie, odpowiedział Bolesław, już się wkrótce koncert rozpocznie.

Sabin z lekkim niezadowoleniem spojrział na próżne krzesła. Na jednym z nich złożył swój kapelusz.

Tymczasem napełniała się sala coraz więcej. Próżne luki znikaly. Szeregi zbijały się

coraz gęściej. Sabin patrzył we drzwi i każdą wchodzącą damę odprowadzał oczyma aż na jej miejsce w nadziei, czy się nie nawróci i próżnego przy nim krzesła nie zajmie. Im młodszą i ładniejszą była dama, tym większe było jego pragnienie...

Damy wchodziły na salę nieustannie, wchodziły młode i piękne, ale żadna z nich nie zajęła miejsca obok niego! Sabin patrzył i patrzył, ale patrzył na próżno!

Zaczęło się strojenie instrumentów. Jedne po drugich odzywały się różnemi swojemi tonami, jakby siebie wzajem szukały. Sabin puścił jeszcze raz oczy ku drzwiom. I teraz jeszcze wchodziły strojne damy, ale żadna przy nim nie usiadła.

Zdaje się, że nie tylko Sabin ciekawym był, kto koło niego miejsce zabierze. Dwa próżne krzesła stały w samym środku pierwszych rzędów. Należały one do najlepszych

w całej sali. Niepodobnym było, aby te krzesła nie były sprzedane. Prawdopodobnie zabrakło nawet numerowych miejsc, bo kilkanaście krzesel ustawiono na przedce pod kolumnami. Zapewne więc i te próżne krzesła były kupione, ale dotąd nikt ich jeszcze nie zajął. Ciekawość więc mianowicie próżniaków miejskich była nie mała, na kogo z taką tęsknotą czekają te próżne krzesła!

Naturalnym skutkiem takiego oczekiwania było, że powszechna uwaga zwróciła się także na Sabina, który z temi próżnemi miejscami graniczył i niepokojem swoim od innych się odznaczał. Spostrzeżono że Sabin ustawicznie na drzwi się ogląda i że kogoś oczekuje. Ktoby miał być, nie wiedziano, a próżne dwa krzesła tak dziwnie były wymowne.

Wreszcie rozpoczęto uwerturę. Mimo trąb i kotłów, które zaraz z początku z wielkim hałasem się odezwały, była spora liczba ta-

kich słuchaczy, którzy jeszcze koncertu nie słuchali, tylko z coraz większą ciekawością na drzwi patrzeli.

Prawie przy samym końcu uwertury otworzyły się naręszcie drzwi. Dwie strojne damy ukazały się w sali.

Wszystkich oczy zwróciły się na nie. Były one po większej części wszystkim znane.

Służący odebrał bilety, przeczytał numer krzesel i wskazał na dwa próżne miejsca koło Sabina.

Rozpoczął się pochód tryumfalny spóźnionych dam. Suknie jedwabne szeleściły, bućki lekko skrzypiały, woń rozmaitych ekstraktów rozwiewała się na wszystkie strony.

Na szczęście zakończyły trąby i kotły uwerturę, w której miała być streszczona jakaś historya tragiczna, a spóźnione damy przebijające się do miejsc próżnych stały się teraz jedynemi bohaterkami całego zgroma-

dzenia. Patrzano na nie z niepodzielną uwagą, mężczyźni podziwiali wdzięki, kobiety studyowały gustowne stroje.

Wreszcie dobiły się damy do próżnych krzeseł. Starsza z nich zwróciła się do Sabina, podała mu rączkę i rzekła:

— Ach, co za dziwny przypadek!.... A może to więcej niżeli przypadek!... Pan jesteś szczęśliwy panie Sabinie!

Sabin poczerwieniał cały, chociaż sam nie wiedział dla czego. Kilkaset oczu patrzyło w tej chwili na niego. Machinalnie wyciągnął rękę do drugiej, młodszej damy i zaczął coś mówić o szczęśliwym przypadku...

— Siadaj Agrypino koło pana Sabina rzekła starsza towarzyszka — *bon jour* panie Bolesławie!

Z lekko zarumienioną twarzą usiadła Agrypina. Sabin rozpoczął z nią rozmowę o minioniej uwerturze.

— Aha, to ten jest konkurent Agrypiny, o którym wczoraj tyle nagadała pani Ludgarda? szepnęła jedna z dam sąsiednich.

— Mówią że jest bardzo majątny i z dobrego domu, odrzekła sąsiadka.

— O pani Ludgarda już go nie puści tak łatwo! Umie ona te rzeczy dobrze prowadzić.

— Słyszałam że panna jest zakochana! Niema się co dziwić, młody, biały, chłopiec krew z mlekiem!

— Ja bo słyszałam, że tam kto inny aplikuje się... I panna ma mu bardzo sprzyjać!

— Nic nie będzie z tej aplikacji! Biedny nie wytrzyma konkurencji z człowiekiem o ustalonej pozycji w świecie!

Kiedy to i owo w sali koncertowej mówiono, stał pod kolumnami młody, przystojny mężczyzna i prawą ręką targał niemłosiernie kunsztownie ufryzowaną czuprynę.

— Czy pani lubi muzykę? zapytał Sabin Agrypinę, w braku innego lepszego konceptu.

— Lubię, odpowiedziała Agrypina ze smutnym wejrzeniem na Sabina, ale lubię dla tego, że ona nic wyraźnie nie wypowiada!

— Jakto? To pani lubi niewyraźną nic nie mówiącą mowę, którą sobie rozmaicie wyłożyć można?

— Zbyt wyraźna mowa wprawia nas czasem w nie nader miłą pozycję, jeżeli na tę mowę także wyraźnie odpowiedzieć musimy!

Sabin zamyślił się, bo słów tych nie mógł dobrze zrozumieć! Chcąc jednak stósownie odpowiedzieć, rzekł po chwili:

— Słusznie pani mówisz. Są chwile w życiu, w których niewyraźność sytuacji jest także szczęściem. Jest to tak samo jak nadzieja lub oczekiwanie! Gdy się sytuacja wyklaruje, wtedy zazwyczaj uspakaja się człowiek. Niektórzy nie lubią tego spokoju.

Chcą oni ustawicznie pragnąć, spodziewać się i drzeć z obawy!... Co do mnie.

— Pan powiedziałeś niedawno, że wolisz cierpienie niżeli spokój. Żal mi, że tego odmienić nie mogę...

Tutaj rozpoczęła się symfonia. Sabin rad był temu, bo nic rozmowy już się urywała.

Po koncercie, oparła pani Ludgarda swój wachlarzyk na ramieniu Sabina i rzekła:

— Spodziewam się, że nas pan odprowadzisz i z nami *en petit comité* szklankę herbaty wypijesz.

— Będziemy obaj służyć paniom, już dla samej grzeczności, ozwał się z uśmiechem Bolesław.

— Dobrze pan mówisz, panie Bolesławie, rzekła z uśmiechem pani Ludgarda, podaj mi pan za to rękę.

Sabinowi nie pozostało nic innego, jak tylko także podać ramię pannie Agrypinie.

I rozpoczął się znowu pochód tryumfalny strojnych dam. I znowu oczy wszystkich patrzyły na nich i nie mówiono o niczym innym, jak tylko o dobrej partyi Agrypiny.

Jeden był tylko człowiek w całym zgromadzeniu, który w duchu temu wszystkiemu zaprzeczał, ale człowiek ten stał odosobniony, stał pod kolumnami, gdzie były miejsca półrublowe...

XV.

Do tym koncercie i herbatce w kółku familijnym upłynęło dni kilkanaście. Dni te były jakby na przekorę mgliste i dżdżyste. Rankiem padał śnieg, w południe rozpuszczał się w grzęskie błoto, a pod wieczór rosił deszczyk i dotrwał zwykle aż do rana. Emerycy i podagrzyści nie mogli sobie poradzić i jeden za drugim wybierał się na Powązki, gdzie się spodziewał lepszej kwatery i stalszej pogodniejszej atmosfery.

Nie wszyscy jednak byli tego zdania. Niektórzy nie chcieli ryzykować resztek życia za niepewną, chociaż obiecaną wieczną wiosną i woleli w dusznej atmosferze kawiarń

i szyneczków czekać trąby czarnego anioła! Innym nie bardzo dokuczała dżdżysta pora roku. Przygotowali oni sobie wcześniej *asylum* na tę porę. Mieli rodzinę, kochające żony, wśród których przepędzali dni życia niepogodne.

Sabin nie miał żadnego takiego schronienia. Wprawdzie myślał o tym nieustannie, ale dotąd nic jeszcze nie zrobił. Teatr, w którym wprost zabierać znajomości nie można było, nie rozrywał go wcale, a cukiernie, jak się to zwykle dzieje w czasie karnawału, gdzie wszystkie dobre nogi są poszukiwane, były tak puste, że mimowoli usposabiały do samobójstwa.

Nie było więc innego na to ratunku, jak tylko w pokoju hotelowym przesiedzieć cały wieczór, i przez okna zamknięte przysłuchiwać się gwarowi rozszalałej stolicy, która jak okruchy żebrakowi rzucała na ulicę tony mu-

zyki, śmiechy i brzęk kieliszków wszystkim tym, co się razem z nią bawić nie mogli.

Taka jałmużna wprawiała w rozpacz Sabina. Na wsi przesiedział on wiele dni w swoim pokoju, nie udzielając się wcale rozrywkom światowym. Ale to było na wsi. W koło niego była milcząca natura. Nie słyszał obok siebie bawiących się i gwarzących i żaden szyneczkowski głos nie zaleciał mu do uszu, że ty jeden tylko jesteś dzisiaj osamotniony!...

Wcale się więc dziwić nie należy, jeżeli w tych dżdżystych i śnieżnych dniach nie widział dla siebie innego ratunku, jak pójść za radą Bolesława i długi, nudny zimowy wieczór przepędzić na rogu Orlej.

Zrazu powtarzało się to co trzeci dzień, potem co drugi, a w końcu tak się jakoś rzeczy zbiegły zawsze, że Sabin był prawie codziennym gościem u pani Ludgardy. P. Ludgarda tak go spoufalila do siebie, że uważał

jej dom za przyjacielski, do którego każdej chwili wchodził, jeżeli mu na ulicy nudno i mokro było.

Zdarzało się także, że nawet i Bolesław nie zawsze mu tam towarzyszył, wymawiając się różnemi zatrudnieniami. Sabin więc sam jeden ciągnął na róg Orlej, śmiał się z panią Ludgardą, a dla Agrypiny miał zawsze zapasik więcej wyszukanych frazesów, któremi od czasu do czasu raczył ją jak dziecię łakociami.

Tymczasem w całym mieście mówiono o Sabinie i Agrypinie. Wpisano ich w poczet małżeństw, które jeżeli nie z końcem karnawału, to na Wielkanoc niezawodnie przyjdą do skutku, o czym szeroko jak zwykle rozpiszą się oba Kuryery! Mówiono nawet o gotującej się wyprawie panny Agrypiny i o zatwierdzonym przez panią Ludgardę programie poślubnym, w skutek którego młode małżeństwo uda się z wiosną na przejażdżkę po Eu-

ropie zawadzając o Paryż i Przylądek dobrej Nadziei!

Wszystko to omówiono w jak najdrobniejszych szczegółach, sporne o tym zdania załagodzone ostatecznie, a nawet jak o fakcie dokonanym zaczęto powoli zapominać. Jeden tylko Sabin nie o tym nie wiedział.

Nawet po okolicy w promieniu pięciomilowym rozeszła się wiadomość o bliskim ożenieniu się Sabina. Matka i siostra jego zaśłyszały także coś o tym i pisały do niego z wielką dyskrecją, życząc mu powodzenia na tej drodze, ale oraz zalecając mu oględność. Do nich bowiem doszła tylko luźna wieść bez imienia Agrypiny.

Sabin wziął to za okoliczną plotkę, która goni za każdym kawalerem wyjeżdżającym w karnawał do stolicy, i wyparł się przed matką i siostrą wszystkiego z taką energią,

że teraz dopiero ściągnął na siebie zasłużone podejrzenie.

— Widać, że się Sabin kocha, mówiła do matki własna jego siostra, to mnie bardzo cieszy.

— A skądże ty Amelko wiesz o takich rzeczach? zapytała córkę sędziwa matrona.

Amelka zarumieniła się i spuściła oczy i odpowiedziała z nieśmiałością:

— Czytam nieraz o tym w książkach, kochana mameczko, że jak się kto kocha, to tego się przed innymi wypiera.

— Może to być prawdą, odpowiedziała po chwilowym zamyśleniu matrona, ale ty Amelko, jeżeli kiedy kochać będziesz, to przedemną nie zaprzysz się tego?

Amelka pocałowała matkę w rękę, a przed jej niebieskimi oczyma przemknął szereg idealików, które jak efemerydy rodziły się i ginęły każdego rana i wieczoru.

— A dla czego powiadasz, że cieszysz się z miłości Sabina? zapytała po chwili matka.

— Bo obawiałam się, że on się nigdy nie zakocha! odparła z chmurką na czole, on taki spokojny, jakby mu już nic do szczęścia nie brakowało!... Obawiałam się, aby ożenienia nie taksował nakształt interesu...

— Czasami interes lepszy od szału — wtrąciła matka i zamyśliła się, nie odpowiadając nic na protestacyą córki.

O tym wszystkim Sabin nic nie wiedział w Warszawie. Żył z dnia na dzień w nadziei, że dzień nowy coś mu przyniesie ciekawszego od wczoraj. Spodziewał się zawsze czegoś od jutra, a gdy jutrze nic mu nie dało, odkładał na pojutrze.

Dalsi znajomi jego zaczęli także nagabywać go o powzięte zamysły. Rozumie się, że w takim razie nikt w dyskusyi nie wymie-

niał imienia upatrzonej, tylko w ogólnych wyrazach swoje gratulacje objawiał.

Sabin śmiał się do pęku z fałszywych pogłosek, ale z drugiej strony był nawet rad tym pogłoskom, bo one zawsze stawiały go na porządku dziennym i nie dawały o nim stolicy zapomnieć. Lepsze takie pogłoski, myślał sobie Sabin, niżeli wieczne milczenie. Pogłoski świadczą że kawaler ma kurs, a milczenie o nim okazuje, że go wymazano z kursu giełdy!...

Ani na myśl mu nie przyszło, aby tą upatrzoną przyszłą bogdanką miała być Agrypina! Najprzód nie zakochał się w niej bynajmniej, a powtóre już sama pozycya towarzyska Agrypiny była tego rodzaju, jaka nigdy do jego marzeń nie wchodziła, a co właśnie było powodem, że nie uczuł dla niej żadnego żywszego afektu.

Zresztą Sabin miał o sobie to dobre wy-

obrażenie, że pretensye jego bardzo słusznie wyżej ponad dom przy rogu Orlej sięgać mają prawo i że w niższych od tych pretensyi sferach [żyjąca kuzynka pani Ludgardy aniby zamarzyć nie mogła o nim! Tak widział to naturalnym, że częstym wieczorkom spędzanym z nieuniknionej konieczności nie nadawał żadnego innego znaczenia. Sądził, że sama jego grzeczność udzielania się temu domowi starczy za wynagrodzenie herbaty, grzanek, kawałka szynki i kilkunastu kieliszków węgierskiego wina.

W takiej spokojnej nieświadomości o sobie był Sabin, gdy w pierwszym tygodniu postu przyszedł do niego Bolesław.

— Dzisiaj pójdziemy do teatru, rzekł do niego, zamówiłem łożę, którą każesz przynieść. Należy do dobrego tonu w pierwszym tygodniu wielkiego postu okazać się w teatrze. Zebranie będzie dzisiaj świetne.

Sabin przystał jak zawsze na wszystko, kazał numerowemu posłać po bilet, a samemu przynieść śniadanko.

Za kilka chwil było już śniadanko gotowe, a obok śniadanka leżał także i bilet na łożę pierwszopiętrową.

Po śniadanku wyszli obaj na Krakowskie Przedmieście. Chodzili od Kopernika do Zygmunta, od Zygmunta do Kopernika, przy czym Bolesław często na zegarek spoglądał. A gdy wskazówka doszła do pierwszej, rzekł nagle do Sabina.

— Wstąpmy do księgarni na chwilę, mam się tam o coś zapytać.

Sabin nie miał nic przeciw temu i obaj weszli do księgarni.

W księgarni stała pani Ludgarda i przetrzucała nuty. Agrypina przypatrywała się ilustracyom.

— Ach, jakże się cieszę, że panów spo-

tykam tutaj! zawołała ucieszona pani Ludgarda. Panie Sabinie, słyszałam że pan masz łożę na dzisiejsze przedstawienie. Agrypina chciała koniecznie dzisiaj być w teatrze, ale wszystkie łoża były już rozebrane. Otóż mamy prośbę do pana, abyś pan zechciał nam swoje łożę odstąpić. Panowie możecie sobie wziąć krzesła, chociaż spodziewamy się, że na niejakiś czas odwiedzicie nas w łoży.

Nie wypadało Sabinowi nic innego jak tylko zgodzić się na tę propozycją. Odmówić nie można było. Do tego Bolesław uprzedził nawet Sabina i odpowiedział, że to będzie zbyt mała dla nich ofiara tym bardziej, że im wolno będzie niejaki czas w tak miłym towarzystwie razem przepędzić.

Wieczorem był teatr przepełniony. Zebrało się świetne towarzystwo. W szóstej łoży pierwszopiętrowej świetnym strojem odznaczały

się dwie damy. Po pierwszym akcie weszli do
łóży — Bolesław i Sabin.

— Czy ten blondyn jest narzeczonym
panny Agrypiny? pytano na parterze i w lo-
żach.

— Świetną partyą robi panna! Mówią że
ma znaczny majątek na Podlasiu!

— Ale jak już poufale z sobą rozmawiają!
Ona podaje mu kwiatek z bukietu...

— Mówią, że ślub ma być na św. Józef.
Narzeczony nie chce czekać do Wielkiejnocy.

Tak i tym podobnie rozmawiano w całym
teatrze. Sabin był rozpromieniony — bo też
w teatrze było gorąco tropikowe. Wszystkich
oczy zwrócone były na szczęśliwą parę...

XVI.

Nazajutrz koło południa kazał Sabin przy-
nieść sobie paczkę ulubionych swoich cygar.
Otworzył ostrożnie pudełko, wyjął jedno cy-
garo i obwąchał je z rozkoszą do koła. Po-
tym z widocznym oczekiwaniem odciął łypek,
zapalił, i wonny dym głęboko w piersi wcią-
gnął. Wypuszczając go po chwili nosem, roz-
koszował się jak prawdziwy smakosz i uśmie-
chał z wielkim zadowoleniem do siebie.

Zdawało się, że w tej chwili nie było nad
Sabina szczęśliwszego człowieka na ziemi!...

W tej chwili otworzyły się drzwi. Do po-
koju zadyszany wpadł Bolesław.

— Sabinie, Sabinie! wołał już w progu,

pełdziłem co tchu, aby pierwszy powinszować ci.....

— Powinszować?... Czegoż chcesz mi powinszować? zapytał z dobrodusznym uśmiechem Sabin — może tych wybornych cygar, które wreszcie znalazłem u Rozenheima..... Spróbuj!

Rzekłszy to, puścił znowu przez nos strugę sinego dymu, która aż do piersi Bolesława dotarła.

— Czy jeszcze przedemną będziesz z tego tajemnicę robił? ozwał się gniewnie Bolesław, nie dosyć z mojej strony, że tak długo dyskretnie milczałem, chociaż się wszystkiego domyślałem?

Sabin nie tracił jeszcze spokojnego humoru. Cygaro było tak wyborne, że ciągle w nim rozkoszował.

— Cóż ci znowu dało powód do takiej energii? zapytał po chwili przyjaciela.

— Wiem bardzo dobrze, że w sprawach serdecznych nie ma pośrednik co robić, mówił z powagą Bolesław, ale jeżeli ta sprawa schodzi z krainy poezji do rzeczywistości, to zdaje mi się, że przyjaciel, który ci tyle drogiego czasu swego poświęcił, ma prawo wiedzieć o tym pierwszy! A ja dowiaduję się dopiero od innych.

— I o czym dowiadujesz się? Przecież pierwiej muszę wiedzieć o co mnie pytasz?

— Wyznam ci, że twój ton dzisiejszy zaczyna mnie obrażać? Całe miasto mówi o tym, a ty mnie mistyfikujesz!

Sabin powstał z kanapy.

— Nic a nic cię nie rozumiem, kochany Bolesławie! Powiedz mi otwarcie, czego żądasz!

— Żądam szczerości jak od przyjaciela... Wczoraj, odprowadzając Agrypinę... oświadczyłeś się!

Śmiech głośny rozległ się po pokoju. Sabin zbliżył się do Bolesława.

— Oświadczyłem się Agrypinie?... Agrypinie się oświadczyłem?... Co też ty mówisz!

— Jakto nie oświadczyłeś się wcale?... Czy szczerą prawdę mówisz?

— Najszczerszą prawdę pod słońcem! Ani mi do głowy nigdy nie przyszło!

Bolesław milczał chwilę, jakby myśli swoje zbierał. Czoło jego marszczyło się. Jakaś ciężka chmura osiadała na nim. Sabin wpatrywał się z jakąś obawą na tę zbierającą się chmurę.

— Więc nie oświadczyłeś się, i nie myślisz się wcale oświadczać? zapytał po chwili Bolesław.

— Nie oświadczyłem się i nigdy nie myślałem oświadczać się! odpowiedział krótko Sabin.

Chwilkę pomilczał Bolesław i rzekł z pewnością gorączką:

— To jeszcze gorzej!

— Co gorzej? Jak to gorzej? z równą gorączką zapytał Sabin.

— Bo będzie z tego okropna awantura! wyrzekł Bolesław i rzucił się na kanapę.

Sabinowi wypadło cygareto z ręki. Patrzył na Bolesława jakby go nic a nic nie rozumiał.

— Dla czego mówisz, że będzie awantura? zapytał po chwili słabym głosem.

— Jakto nie ma być awantury? odparł gniewnie Bolesław. Miasto całe mówi o tym, ma was za narzeczonych, bo Bogiem a prawdą, były pozory potemu — opinia panny zszargana — a ty wypierasz się wszystkiego!

Sabin zbladł i przysiadł na krześle. Bolesław prawił z kanapy dalej:

— Muszę ci szczerze wyznać, że i ja sam

podobnie myślałem. Opinia panny to jest tak, jak śliwka dojrzała. Jeżeli ją weźmiesz do ręki, to już twoja, bo z barwą startą nikt jej nie kupi!... Chodziłeś blisko dwa miesiące, więc każdy ma prawo myśleć, żeś nie chodził bez celu! Ja sam myślałem, że ten cel miałeś, ale byłem za dyskretny, aby z tobą kiedy o tym mówić, bo o takich rzeczach z najlepszymi przyjaciółmi się nie mówi!

Sabin milczał ciągle jak skamieniały. Wreszcie odważył się na kilka słów:

— Myślałem, że sobie żarty stroisz ze mnie, ale jak widzę to rzecz jest większej wagi...

— Chciałeś to wszystko wziąć za lekką komedią, co nagle staje się — tragedią!

— Zlituj się, czemuż zaraz tak czarno patrzysz na to niefortunne nieporozumienie...

— Bo to nieporozumienie będzie wiele, bardzo wiele kosztować. Przewiduję to!

Sabin wstrzymał oddech, bo mu wszystka krew chciała wejść do serca.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Bolesław patrzył pod stół, jakby ztamtąd oczekiwał jakiej podziemnej pomocy. Sabin nie wiedział sam gdzie patrzeć, bo wszędzie otaczały go jakieś straszne potwory...

Teraz jemu samemu zaczęła się wyjawiać coraz więcej ta sprawa, grożąca niebezpieczeństwem, a przynajmniej nie małym kłopotem. Odwiedziny jego domu pani Ludgardy prawie codzienne zaczęły mu się w innym świetle przedstawiać. Opinia publiczna mogła mieć słuszność posądzając go o zamiary miłosne....

— I jakże tu wyjść teraz z tej przekletej matni? zapytał strapiiony Sabin.

— Ja tutaj, dalibóg, żadnego wyjścia nie widzę! odparł z rozpaczą prawie Bolesław.

— Wyjadę cichaczem z Warszawy i dam nurka na wieś! Pojadę na Ukrainę!

— Padam do nóg! A mnie tutaj zostawisz! Wszystko spadnie na mnie!

— Cóż robić? Cóż robić? Powiedzże, poradź mi co robić?

Bolesław westchnął głęboko i potarł z energią ręką po głowie. Po chwili zapytał:

— Czy Agrypina wcale ci się nie podoba? Panna wykształcona, przyjemna i... posażna!

— To wszystko dobrze... wszystko prawda... ale ja o niej nigdy nie myślałem!

— Więc nie mógłbyś się z nią w żaden sposób ożenić?... Powiedz otwarcie!

— Mówię ci, że nawet nigdy o tym nie myślałem! To już przecież dosyć!

— Tak, to ma być dosyć... ale nie dosyć, aby zapobiedz nieszczęściu, które przewiduję!

Znowu nastąpiło głuche milczenie. Słychać było wyraźnie jak Sabinowi serce biło.

Patrzył błędnym okiem na pudełko z cygarami, które mu tyle rozkoszy przynieść miały! To pudełko prawdziwych amerykańskich cygar przedstawiało mu w tej chwili szczęście człowieka w sposób tak wymowny!... Zaledwie je ujrzał, zaledwie kilka razy wonnym dymem się zaciągnął, aż nagle i ogień zagaśł i ochota wszelka uciekła od niego!...

— Trzeba koniecznie coś zrobić, trzeba opinią publiczną wyprowadzić z błędu.... ozwał się Sabin.

— Opinią publiczną wyprowadzić z błędu, to znaczy uganiać się za wiatrem po polu!... odparł Bolesław.

— Ale coś trzeba przecież zrobić! Przynajmniej zatrzymać ten dziwny prąd, aby dalej nie szedł!

— Najwięcej to możesz zrobić, że pójdziesz zaraz do pani Ludgardy i jej całe swoje postępowanie we właściwym świetle przedsta-

wisz! Trzeba obydwie kobiety naprzód z błędu wyprowadzić!

— Cóż im powiedzieć? Dalibóg! w głowie mi się wszystko przewraca!

— Cóż im możesz powiedzieć? odparł z ironicznym uśmiechem Bolesław — powiesz im, że przyjechawszy do Warszawy za interesami nudziłeś się... żeś nie wiedział co z nudów robić... że mając do wyboru między pierwszą lepszą kawiarnią a domem pani Ludgardy, gdzie była przyzwoita panna, wybrałeś ten dom i chodziłeś sobie ot tak dla zabicia czasu, dla wypalenia papierosika, a może nawet czasem... dla wypicia szklanki herbaty...

Sabin podskoczył z krzesła do góry i stanął przed Bolesławem dziwnie rozdrażniony.

— Czemuż przedstawiasz mnie w tak brzydkim świetle? przerwał mu drżący cały.

— Cóż innego będziesz mu mógł powie-

dzieć na swoje uniewinnienie? Czyż to z daleka nie tak wygląda?

Sabin spuścił głowę na piersi. Bolesław powstał z kanapy i rzekł do niego:

— Nie trać daremnie czasu. Mówię ci, że będzie z tego historia. Wszystkiego co stać się może, nie mogę ci nawet teraz wypowiedzieć... Ale radzę ci, idź zaraz do pani Ludgardy, a temat do mowy wypłynie z samej sytuacji. Wtedy możesz się uniewinniać, jak ci się podoba!

— Przyznam ci się, że wielki strach mnie zbiera! westchnął Sabin i otarł pot z czoła. Jedna rzecz tylko dodaje mi odwagi, to jest, że Agrypina także wcale o mnie nie myślała!

— Chodź, ja cię podprowadzę! zakonkludował naradę Bolesław i wziął z pudełka cygaro na drogę.

XVII.

Gdy ta rozmowa między dwoma przyjaciółkami w hotelu paryskim się odbywała, siedziała Agrypina w swoim pokoju smutna i zapłakana. Pierś jej często wdychała, oczy patrzyły w zamyśleniu przed siebie.

Przed nią na stoliku leżał list rozłożony z czarnymi obwódkami. Pomięty papier okazywał, że ten list często był w jej ręku i że nawet od łez nieco był zmoczony.

Do pokoju weszła teraz pani Ludgarda. Agrypina szybko zakryła list z czarnymi obwódkami.

— Kochana Agrypino, ozwała się łagodnym głosem stryjenka, trzeba tej niepewno-

ści raz koniec położyć. Patrzę na twoje umartwienie i widzę, że z każdym dniem gorzej wyglądasz! Przejrzyj się tylko w zwierciadło a sama się przekonasz! Twarz zapadła, oczy wystąpiły jeszcze bardziej na wierzch, a na czole nawet dwie zmarszczki się zarysowały!... Do czegoż to wszystko doprowadzi?... Kiedy wiesz, że cię kocha... a że cię kocha to i ja wiem...

— Nie, nie, nie! zawołała Agrypina, a z jej oczu trysnęły łzy perłowe, nie, nie — to być nie może!

— Dla czego być nie może? cóż stoi na przeszkodzie?... Miłość jest pierwszym warunkiem, a ta jest!

— Nie, kochana stryjeniu, szlochała Agrypina, to być nie może... to był tylko sen, krótki sen!...

— Ach zawsze jesteś eksaltowaną! Któż o snach mówi? Wszak to rzeczywistość, na-

macalna rzeczywistość! Ty kochasz go, on kocha ciebie, możecie się pobrać oboje.... gdzież tu jest sen jaki?...

— Sen, sen, sen tylko i nic więcej! wołała Agrypina załamując ręce.

— Ależ ja ciebie nie pojmuję! Czyż miłość tak się zmienia? Jesteś jak Ofelia!

Jakby słowa testryjenki potwierdzić chciała, wstała Agrypina szybko z krzesła i łamiąc ręce kilka razy przebiegła po pokoju. Pani Ludgarda patrzyła za nią z politowaniem. Uśmiechała się jak człowiek doświadczony na lzy dziecka.

— Jestem nieszczęśliwa, bardzo nieszczęśliwa, wołała Agrypina nieustannie, a nieszczęście moje niema końca!

Pani Ludgarda zamyśliła się na seryo. Miała dobre serce i nie mogła znieść widoku cierpienia, choćby to cierpienie było tylko urojone. Zatrzymała Agrypinę w szalonym

pędzie, poprawiła jej włosy, pocałowała i rzekła:

— Uspokój się, uspokój! nie masz najmniejszego powodu być nieszczęśliwą. Nieszczęście takie zostaw pannom, które nie mają posęgu. Panna z dwiema kamienicami nie może i nie powinna być nieszczęśliwą! Nie będzie Gerwazy, to przyjdzie Protazy! Pokup na taki towar jest zawsze!

— Na miłość Boga, stryjeniu, co mówisz! Któż jest towarem, a kto kupuje?

Pani Ludgarda zaśmiała się śmiechem doświadczonej kobiety, pocałowała w czoło Agrypinę i odparła:

— Zazdroszczę ci, że jeszcze możesz być dzieckiem! Lubisz bawić się ideałami i łatwo ci ta zabawa idzie. Ale gdyby pewnego pięknego poranku twoje posagowe dwie kamienice w ziemię się zapadły, to byś wtedy prze-

konała się, czym są idealne pragnienia panien bez kamienic!

Agrypina zatrzymała się nagle na środku pokoju i z zadziwieniem wpatrzyła się w stryjkenę.

— Czy stryjenia posądzasz go o zamiary tak samolubne?... Czy masz stryjenia jaki powód do mniemania...

— Ale żadnego, najmniejszego powodu, ty eksaltowana kobieto!... Przecież nikt go o to obwiniać nie może!

Agrypina spuściła głowę na piersi i odrzekła z głębokim westchnieniem.

— Tym gorzej dla mnie! Tym większe jest moje nieszczęście!

Scena ta zaczęła już nudzić panią Ludgardę. Ironiczny uśmiech obkolił jej usta.

— Podejrzewam cię, ozwała się z szyderskim wyrazem na twarzy, podejrzewam cię, że się sposobisz na artystkę dramatyczną!

Uroiłaś sobie jakieś nieszczęście i robisz studia różnych emocyi! Wystąpisz zapewne dla Dobroczynności!

Za wiele było Agrypinie tej ironii. Otarła szybko oczy, przybrała wyraz uroczysty i odparła:

— Jeżeli stryjenia nie może wnikać w moje położenie, to przynajmniej mam prawo żądać, aby mnie w najgłębszych uczuciach mego serca nie raniono! Z cierpieniem moim nie zwierzałam się nikomu!

Pani Ludgarda nie mogła poznać swojej kuzynki. Nigdy jeszcze nie odzywała się z taką energią. Przystąpiła więc do niej bez wszelkiej ironii, wzięła ją za obie ręce i ozwała się z wejrzeniem serdecznym:

— Mówmy z sobą otwarcie i na seryo! Trzeba się zdecydować na pewne stanowisko i na nim stanąć.

— Jestem sama z sobą w najokropniej-

szej wojnie! Serce każe iść — wzgląd dla opinii świata cofnąć się!

— To pozwól, że obydwie rozpatrzmy się w tej sprawie... bo on lada chwila może nadejść!

— Jakto?... On ma tu przyjść? On tu przyjdzie?... To być nie może!

— Tylko co go nie widać! Dla tego trzeba wiedzieć, jak go przyjąć, bo dłużej tak pozostać nie może!

— Ale jakże mu to powiedzieć! Ja nie mam serca ani odwagi... Bo widzi stryjenia, on mnie kocha, bardzo kocha... powiada, że życie sobie odbierze... ja... ja również sprzyjam mu... ale jakby to znowu wyglądało w Kuryerze, któryby wszystkim mieszkańcom Warszawy doniósł, że dnia tego a tego w parafialnym kościele św. Antoniego odbył się obrząd ślubny między panną Agrypiną, córką

znanego powszechnie tutejszego obywatela... a panem Józefem, *aplikantem*...

— Aplikantem! zawołała zdziwiona pani Ludgarda.

— Aplikantem komissyi sprawiedliwości... ciągnęła dalej zapłakana Agrypina.

— O jakimże aplikancie mówisz?

— O panu Józefie, co to przynosi mi książki francuskie!

— O panu Józefie? powtórzyła pani Ludgarda i chwilę stała nieruchomie patrząc na Agrypinę.

Potym wzięła się za boki, wybuchnęła głośnym, spazmatycznym śmiechem i padła na fotel.

— O panu Józefie! Cha, cha, cha! O panu Józefie mówisz! Aplikancie z komissyi sprawiedliwości, który ma lornetkę w oku i blade-popielate rękawiczki!... Cha, cha, cha! To przecudowne, wyborne nieporozumienie!

— A o kimże stryjenia myślała? zapytała wystraszona tym śmiechem Agrypina.

— Jużciż nie o panu Józefie, który ładnie polkę tańczy, ale nie może nigdy uchodzić za epuzera!

— Cóż to jedno drugiemu przeszkadza?

— To przeszkadza, że epuzer powinien mieć pewne stanowisko w świecie, ale nie, aby był tylko administratorem dwóch kamieni! Administratora za tańsze pieniądze dostaniesz! Ja myślałam o panu Sabinie!

— O panu Sabinie? drżącym głosem powtórzyła Agrypina, pan Sabin widocznie starał się o moją rękę. Zawsze w rozmowie ze mną coś o tym napomykał. Ale ja zaraz z początku dałam mu do poznania, że z tego, jakkolwiek z wielkim żalem moim, nic być nie może! Jestto zacny i poczciwy człowiek, ale ja... ja go nie Kocham!

— A tego nie widzisz, że on ciebie ko-

cha? Nie widzisz, że każdym krokiem to stwierdza? W teatrze, w domu...

— To prawda, martwiło mnie to nawet, bo nie należą do tych bohaterek, które lubią ciągnąć za sobą długi ogon adoratorów i tym się przed światem szczycą... dawałam to zawsze do poznania, ubolewałam nad jego nieszczęściami.

Pani Ludgarda zmarszczyła i zamyśliła się. Nastąpiła długa pauza milczenia. Po jakim czasie ozwała się pani Ludgarda:

— Jak jest, tak jest, ale sytuacja wyjaśnia się przynajmniej. Wiem już o panu Józefie aplikancie, czego dawniej nie wiedziałam. Wiem także że pan Sabin chce się tobie oświadczyć, bo cię kocha — a ty nie jesteś temu oświadczeniu rada. Trzeba więc porozumieć się, co w takim razie czynić wypada.

I znowu położyła na czoło mały swój paluszek i zamyśliła się. Po chwili rzekła:

— Cała rzecz tak mi się przedstawia. Aplikant Józef prawdopodobnie pójdzie z czasem między stare rupiecia, gdzie każda kobieta chwilowe swoje marzenia zazwyczaj składa. Sama już teraz mówisz, że to dziwnie by wyglądało, gdyby Kurjer wydrukował, że Agrypina poszła za aplikanta. To jest mi rekojmią, że urojone nieszczęście twoje nie jest tak wielkie, jak sobie wyobrażasz... Przystąpmy teraz do drugiej części. Pan Sabin kocha cię, a to znaczy dziś bardzo wiele, dzisiaj, gdzie mężczyźni nie są nawet zdolni do żadnych wzruszeń. Dalej, pan Sabin chce się o twoją rękę oświadczyć, a to znaczy jeszcze więcej, bo pan Sabin jest partycją tak znakomitą, że każda panna w Warszawie, a nawet z wyższych poszłaby za niego!... Ty tymczasem nie chcesz! Więc dobrze nie przymuszam cię. Przewiduję jednak wielką awanturę!

— Wielką awanturę? powtórzyła Agrypina i wstrzymała oddech — jakąż awanturę?

— Nie umiem ci bliżej tego określić teraz, ale wiem z doświadczenia, że silne, niekłamane uczucia ciągną za sobą zawsze jakąś awanturę. Wtedy zazwyczaj człowiek nie oblicza nic rozumem i jest zdolny do wszystkiego!

— Nie mówiłam stryjeni, że jestem nieszczęśliwa? załkała Agrypina ocierając oczy.

— Stało się! Cóż robić? Trzeba tylko tak pokierować, aby to nieszczęście było najmniejsze!

— Nie mam na to żadnego środka! mogę tylko płakać i nic więcej!

— Płaczu twego nie trzeba — byłby on nawet tutaj szkodliwym... Pan Sabin tylko co nie nadejdzie. Zostaw więc mnie samej tę sprawę. Ty pójdziesz do swego pokoju i tam

zostaniesz. Ja sama rozmówię się z panem Sabinem.

Agrypina rzuciła się na szyję stryjenki i chciała długimi pieścizkami wynagrodzić współczucie, jakie okazała z biednym jej sercem — gdy nagle dzwonek ozwał się w przedpokoju.

Jak spłoszona sarna zerwała się i pobiegła do swego pokoju. Pani Ludgarda zaś usiadła we fotelu, podparła ręką głowę i z uroczystym wyrazem czekała nieznanego gościa.

XVIII.

Otworzyły się drzwi salonu, wszedł — Sabin.

Sabin miał na twarzy wyraz daleko swobodniejszy, niżeli by się tego po ostatniej z Bolesławem rozmowie spodziewać było można. Oczy jego patrzyły dosyć spokojnie, a nawet koło ust widać się jakiś uśmiech żartobliwy.

Do tak korzystnego nastroju przyszedł Sabin bardzo prostym sposobem. Mając od hotelu do rogu Orlej dosyć długą drogę przed sobą, użył tego czasu, aby całą sprawę raz jeszcze w głowie swojej *de noviter* rozebrać.

I cała sprawa wydała mu się teraz na świeżym powietrzu daleko mniejszej wagi, ni-

żeli nią była w ściśniętej atmosferze pokoju. Cały ratunek jego polegał na Agrypinie. Był przekonany, że Agrypina nigdy o nim nie myślała. Wprawdzie w potocznej rozmowie używała czasem frazesów romantycznych, ale to wszystko wygodnie mogło iść na karb zwykłej frazeologii warszawianek, które lubują w udanej szermierce na sentymenta.

Pod tym względem był Sabin zupełnie spokojnym i żadnego ze strony Agrypiny nie obawiał się niebezpieczeństwa. Przeciwnie liczył na to, że Agrypina stanie po jego stronie i razem z nim będzie się śmiała z plotki miejskiej.

W takim położeniu rzeczy postanowił Sabin tę sprawę traktować z humorem, i spodziewał się, że tym sposobem dostarczy tylko pani Ludgardzie przedmiotu do serdecznego śmiechu!

Rozebrawszy to wszystko w swojej głowie,

taki był pewny siebie, tak wierzył 'szczerze, że z tej wielkiej chmury tylko mały, rozkoszny deszczyk pokropi, że z najswobodniejszym humorem stanął przed oczyma pani Ludgardy.

Poza jednak pani Ludgardy już mu nieco szyki pomieszała. Przygotował się, że ją ujrzy śmiejącą się jak zawsze, że wybiegnie jak zwykle do progu na powitanie, że mu od razu tysiące komplementów nagada... do wszystkiego nastroił rozpoczęcie rozmowy, a nawet już niektóre frazesy sobie był ułożył — gdy nagle wszystko się to urwało!

Pani Ludgarda siedziała z twarzą zamysłoną, jak jej jeszcze nigdy nie widział. Na jej czole nawet ważyła się jakaś niebezpieczna chmurka. Oczy piwne miały blask jakiś nieprzyjemny. Cała poza oznaczała coś dramatycznego.

W obec tego więc, co widział, stracił Sa-

bin dawną równowagę. Serce uderzyło mu żywiej w piersiach. Czuł znowu tę samą ściśniętą atmosferę, jaka o mało że go nie uduśliła w hotelu.

Zbliżył się do pani Ludgardy i ukłonił się dosyć nisko. Pani Ludgarda nie tylko że nie wstała, ale nawet ręki mu na przywitanie nie podała, jak to była zwykła czynić. Lekko tylko głowę pochyliła, a wystraszone oko Sabina dojrzało w tym sztywnym pochyleniu — wojnę! Cofnął się pół kroku i stanął w milczeniu.

— Niech pan raczy usiąść! rzekła pani Ludgarda tonem suchym i wymuszonym.

Sabin posłuchał rozkazu. Usiadł na krześle, i z bijącym sercem czekał co dalej nastąpi.

— Pan przychodzisz w samą porę, cedziła zwolna pani Ludgarda, właśnie myślałam o panu.

— Szczęśliwy jestem, że odgadłem życzenia pani, *odparł Sabin, chcąc rozmowę na weselszy ton sprowadzić.

— Dzisiaj nie mam ochoty ani do śmiechu ani do żartów! Chcę z panem mówić o ważnej, bardzo ważnej sprawie.

Sabin zbladł trochę, bo sam wstęp okazywał mu już co innego, niżeli się spodziewał.

— Pani zaczynasz mnie trwożyć takim nastrojem tonu, rzekł bawiąc się łańcuszkiem od zegarka.

— Odważni i uczciwi nigdy niczego się nie boją! spokojnie odparła pani Ludgarda, a ja sądzę, że pan do nich należysz!

Sabin skłonił się. Od krzyżów zaczęło mu się robić gorąco. Przełożył nogę na nogę.

— Panu zapewne wiadomo co w mieście mówią o Agrypinie... mówiła zwolna pani Ludgarda.

— Właśnie wspominał mi coś o tym dzi-

siaj rano pan Bolesław... odparł drżącym głosem Sabin.

— Jakże pan tę wieść pojmujesz? Czyś pan nad nią już myślał?

— Myślałem... właśnie myślałem... a nawet w tym celu przychodzę do pani...

Pani Ludgarda zmieniła nagle pozę. Rzucała się na fotelu, uśmiechnęła się z całą pogodą a podając mu rękę zawołała:

— Bardzo się z tego cieszę, że pan masz do mnie zaufanie. Spodziewałam się, że pan inaczej postąpić nie możesz! Jako człowiek szlachetny i prawy nie mogłeś pan nawet iść bez celu drogą tak niebezpieczną! Nieprawdaz?

— Tak, tak... prawda... w samej rzeczy... ale widzi pani, czasami są sytuacje tak dziwnie drastyczne.

— Ach jak pan prędko, odwagę tracisz!

Co też to dzisiaj są za mężczyźni! Oświadczyć się rzecz dla nich trudna!

— Właśnie w tym względzie chciałem pani powiedzieć... bo biorąc rzecz na rozum, na prosty rozum...

— Ej, co tam rozum ma do rzeczy! Zadnego dzieciństwa ani głupstwa się nie robi!... Ludzie się żenią i to należy do porządku rzeczy! Aby czasu nie tracić ułatwię panu.

— Pozwól mi pani przedewszystkim... przedewszystkim muszę się usprawiedliwić i wyznać, że ta nieszczęsna opinia publiczna.

— Dla czegoż nazywasz ją pan nieszczęsną? Wszakto od pana zależy, aby ona nie była nieszczęsną!

— Nazywam ją dla tego nieszczęsną, że ona właściwie nie tłumaczy wiernie moich zamysłów...

— Więc ta opinia publiczna jest w sprzeczności z zamysłami pana!

— Tak... w sprzeczności, w najzupełniejszej sprzeczności... bo szczerze wyznając nie myślałem nigdy...

Pani Ludgarda wstała nagle z fotelu. Na jej czole pojawiła się straszna chmura.

Stała tak chwil kilka i przesywające spojrzenie wlepiła w blednącą twarz Sabina.

Potym usiadła i głęboko westchnęła. Wróciła napowrót do uroczystej pozy swojej. Twarz jej posmutniała.

— Więc opinia publiczna omyliła się na zamysłach pana! Powiedziałeś pan straszne słowo i to straszne nie tylko dla mnie!...

— Przecież nie przypuszczam, aby prócz mnie miał ktoś drugi cierpieć na tym fałszywym wytłumaczeniu...

Pani Ludgarda westchnęła znowu. Milczała chwil kilka. Boleść i rozrzewnienie malowało się na jej twarzy. Sabinowi zabrakło tchu w piersi. Oczy jego nieruchome patrzyły

w twarz pani Ludgardy. Ozwała się po jakim czasie:

— Mój panie Sabinie! Niech pan sam zechce rozważyć: Jest w domu panna na wydaniu. Panna ma kilku konkurentów, z których żaden nie jest do odrzucenia. Ale ta panna nie jest bardzo powszednią istotą. Wierzy w serce, wierzy w miłość i we wszelkie szlachetniejsze uczucia. Wiara taka stała się potrzebą jej życia... Pragnie przedewszystkim kochać, ogląda się w koło siebie i widzi że to co ją otacza, nie wystarcza jej... Tymczasem zjawia się ktoś w jej domu. Jej serce uderza dziwnym przecuciem... Ten ktoś przychodzi coraz częściej... ludzie zaczynają szeptać... on powtarza jeszcze częściej swoje odowiedziny... dawniejsi konkurenci ustępują... on widocznie rad z tego bywa jeszcze częściej... a w końcu rezygnuje ze wszystkich zabaw stolicy i tylko w tym domu wszystkie go-

dziny przepędza, jakby poza tym domem nie dla niego w całej stolicy nie było!... Czyż wtedy można wziąć za złe ludziom jeśli w naturalny sposób to tłumacza? Czyż można za złe wziąć pannie, jeśli jej serce...

— Pozwól mi pani jedno słowo! przerwał Sabin i wstał z krzesła. — Przyszynają że postępowanie nierozważne z mojej strony mogło ludziom dać powód do podobnej opinii, ale tutaj niech rozstrzyga ta sama osoba, która w tej sprawie jest najwięcej interesowaną... Niech sama panna Agrypina wyzna, czy kiedykolwiek przeszło jej przez myśl... czy kiedykolwiek choćby na chwilę wszedłem do jej marzeń...

Bolesny uśmiech przebiegł po twarzy pani Ludgardy. Wstała z powagą z krzesła i rzekła:

— Duma kobieca nie pozwala mi ani sobie ani Agrypinie ubliżyć. Tyle tylko mogę panu powiedzieć, że byłabym szczęśliwą, gdyby

słowa pana mogły być prawdą. Niestety stało się inaczej. Rzeczy zaszyły dalej, niżeli przewidywałam. Do tego, coś pan powiedział, mogę tylko dodać moją prośbę, abyś pan dla spokoju i szczęścia Agrypiny chciał zaprzestać bywać w naszym domu. Może być że czas wszystkim zatrze i uleczy.

Sabin skamieniał. Był w szczególnym położeniu. Wyznanie miłości przeraziło go! Usunęła się bowiem mu z pod nóg ostatnia krawędź ziemi, na której chciał się oprzeć, a przed nim otworzyła się przepaść...

— Zlituj się pani! To być w żaden sposób nie może! Panna Agrypina...

— Panna Agrypina znajdzie może lekarstwo — w dumie kobiecej!

Rzekłszy to pani Ludgarda ukłoniła się sztywnie Sabinowi i wyszła do drugiego pokoju.

Osołomiony, uderzony Sabin wypadł na kurytarz.

— I cóż? zapytała ocierając oczy Agrypina, gdy pani Ludgarda do jej pokoju wyszła, jakże to przyjął?

— Tak jak przepowiadałam! żywo odpowiedziała pani Ludgarda. Nie dał sobie ani słowa powiedzieć!... Ten człowiek kocha całą duszą... wypadł jak szalony z salonu... przeczuwam, że będzie wielka awantura!

— O ja nieszczęśliwa! zawołała Agrypina i załamała ręce.

Pani Ludgarda zaczęła się żywo przechadzać po pokoju.

XIX.

Sabin biegł ulicą prosto ku rogiatom. Nie wiedział gdzie idzie i w jakim kierunku. W jego głowie był chaos, którego w żaden sposób nie mógł uporządkować. W uszach szumiały mu słowa, których znaczenia nie mógł pojąć.

Malejące coraz więcej domy miasta przywróciły mu przytomność. Poznał że zbłądził. Wrócił się napowrót tą samą drogą. Ale i na tej drodze nie znalazł żadnego rozwiązania.

Przed godziną dręczyło go to tylko, że fałszywie wnioskująca opinia publiczna mogła Agrypinie sprawić pewną nieprzyjemność. Teraz dołączyło się do tego udęczenia coś wię-

cej. Agrypina także fałszywie wytłumaczyła sobie jego częste odwiedziny i dała folgę swemu sercu... kochała go!

Być może, że każdy inny mężczyzna, jeżeli miłość Agrypiny byłaby mu obojętną, rozśmiałyby się na tę wiadomość i na tym by się skończyło. Być może także, że byłby chwilę zatrzymał się przy tej wiadomości, która jego próżność łechtała. Z Sabinem jednak stało się zupełnie inaczej.

Sabin w gruncie duszy był zacnym i szlachetnym. Opinia publiczna, według niego, wyrządziła krzywdę Agrypinie, mieszając jej imię do plotek miejskich. Czuł że ta krzywda musiała być dla niej bolesną. Teraz dołączyła się do tej krzywdy druga, która wprost przez niego wyrządzona była. Biedna Agrypina uwiedziona pozorem, otworzyła dla niego serce, które się napowrót nigdy bez bólu nie zamyka. Myśląc, że on ją kocha, ukochała go

wzajemnie, a teraz, teraz musi przeżyć rozczarowanie, straszne rozczarowanie!...

W jakimże świetle okaże się teraz jego charakter? Czyż nie poczyta tego za zbrodnią każdy poczciwy człowiek? Czyż to nie znaczy odebrać całą przyszłość nieszczęśliwej dziewczynie? Czyż nie powinien był przewidzieć, że postępując w ten sposób jak postępował, musiał doprowadzić rzeczy do ostateczności? Któż go teraz zdoła uniewinnić? A jeżeli to wszystko między ludzi się rozejdzie, jakąż opinią rzuci na niego?...

Mimo wszelkiej obrony, na jaką wysłał się, musiał ostatecznie przyznać, że spotkało go wielkie nieszczęście. Ale nieszczęście to nie spadło na niego z nieba; po większej części sam był jego przyczyną. Zrazu chciał całą winę zrzucić na Bolesława, albo przynajmniej z nim się tą winą podzielić. Po bliższej jednak rozwadze musiał przyznać, że to-

warzysz jego wcale nie był winnym. Wprawdzie wprowadził go pierwszy w ten dom, ale za to wszystko, co potem zaszło, nie można go było czynić odpowiedzialnym. Nie namawiał go do niczego, przeciwnie wydarzyło się kilka razy, że sam Sabin ciągnął go tam za sobą.

Po tym głębszym zastanowieniu się oczyścił swego przyjaciela z wszelkiego zarzutu. Całą winę zwałił sam na siebie, na swoją nieoględność, na dziwne jakieś swoje zaślepienie, że nie widział tego, co widzieć był powinien.

Teraz dopiero przypomniał sobie niektóre słowa Agrypiny, które daleko głębsze miały znaczenie, niżeli wtedy sobie wyobrażał. Całe jej zachowanie się widział teraz w innym świetle. Przypominał sobie, że wszedłszy czasem niespodzianie, zastał Agrypinę zakłopotaną a często nawet z zapłakanymi oczyma. W rozmowie z nią spostrzegł często rumię-

niec niezwykle na jej twarzy, która z natury była blada. I mnóstwo innych drobnych okoliczności przesuwało się teraz przed jego pamięcią, które widocznie stwierdzały to co pani Ludgarda powiedziała, że Agrypina kocha go!

Jakkolwiek rezultat taki mógł pochlebiać ukrytej miłości własnej każdego innego mężczyzny, Sabin jednak był za nadto poczciwym, aby taką sprawę uśmiechem zadowolenia zakończył.

Na pozór miał on drogę dosyć prostą przed sobą. Mógł miłość Agrypiny przyjąć jako niezwykle dzisiaj dar nieba, obudzić w swoim sercu uczucie wzajemne i połączyć się z nią na stopniach ołtarza przysięgą dożgonną...

Na taką drogę nie chciał jednak Sabin wejść w żaden sposób. Miłość kobiety była wprawdzie dla niego ideałem życia, ale ideału tego, według wyobrażeń zwyczajnych ludzi

jego autoramentu, nie szukał nigdy w tej sferze, w której żyła Agrypina. Do marzeń jego, dziwnym jakimś sposobem, wchodziły zawsze istoty wyższej sfery, które miały pewną choćby niczym nie usprawiedliwioną aureolę towarzyskiej pozycji. Dla tego nie zwróciła Agrypina uwagi jego nigdy, do jej osoby nawet w przelotnym marzeniu nie przywiązywał swojej przyszłości.

Mimo wszelkich tych uprzedzeń, które dożyć głęboko tkwią jeszcze w społeczeństwie naszym, był jednak za nadto szlachetny i poczciwy, aby nie czuł żalu, że nieopatrzny postępowaniem swoim wyrządził wielką krzywdę biednej dziewczynie. A krzywdy tej nie mógł w żaden sposób naprawić, bo siebie samego poświęcić nie chciał.

Śród tak bolesnych myśli błędził po ulicach miasta, błędził bez żadnego celu. Za nim goniły jasne i bez ogródki wypowiedziane

słowa pani Ludgardy, słuszne obawy Bolesława, a w dali patrzyły na niego zapłakane oczy Agrypiny, rozsnuwał się jakiś dziwny dramat, w którym mimowoli sam musiał być głównym aktorem...

Po dwugodzinnej takiej przechadzce przyszła mu nagle myśl do głowy, aby przed przyjacielem wynurzyć się, opowiedzieć mu wszystko co zaszło, i u niego jeżeli nie porady to przynajmniej ulgi szukać.

Wszedł do hotelu europejskiego, ale Bolesława nie zastał w domu. Wszedł na dół do cukierni, ale i tam go nie było. Puścił się znowu w miasto, ale już z tym wyraźnym celem, aby przyjaciela odszukać.

Przebiegał wszystkie miejsca zwykłych schadzek, Bolesława nigdzie nie zastał. Obiegł wszystkie cukiernie i restauracje, w pięciu głównych kierunkach przerznął całą Warszawę, od Zygmunta do Trzech Krzyży do-

cierał i wracał się kilka razy, ale zawsze napróżno!... Bolesław gdzieś zapadł pod ziemię, nie było go nigdzie!

Już nad samym wieczorem przypomniał sobie, że obiadu nie jadł. Wstąpił do restauracji jaką na drodze napotkał, zjadł co mu postawiono i wybiegł znowu na ulicę. Bolesława nigdzie nie spotkał!

Pierwszy raz w całym przebiegu tej nowej przyjaźni wydarzyło mu się, że przyjaciela swego cały prawie dzień nie widział! a nie widział go właśnie teraz, kiedy jego porady i pomocy jak najmocniej potrzebował!

Dziwne to zdarzenie zwiększało jeszcze jego nieszczęście. Czuł się na świecie tak samotnym, opuszczonym, że nawet nie miał nikogo, przed którym mógłby serce zbolełe otworzyć, i przynajmniej szczerze wypowiedzieć się!...

Do tego udręczenia przyczynili się jeszcze

niektórzy jego znajomi, których spotykał na ulicy. Słowa ich, może najzyczliwiej wypowiedziane, miały dla niego dotkliwą truciznę ironii.

— Jakże niezmiernie się cieszę, że pana spotykam, krzyczał mu do ucha obywatel wiejski, wybierałem się do pana, aby powinszować ładnej i bogatej żonczki, czy raczej narzeczonej! Miła dziewczyna a dobra jak anioł!

— Witam, witam pana, wołał mecenas otyły, i chciej pan przyjąć od swego sługi życzenia... a kiedyż usłyszymy *veni creator*? Mówią, że już w środopociu chcesz pan porwać nam warszawiankę...

— Nie myśl panie Sabinie, mówił radzca, aby ci to tak na sucho uszło! Przecież pierścionek trzeba będzie jakoś oblać z dobrymi przyjaciółmi... I tak ze wszystkich stron, gdzie tylko się obrócił, sypały się życzenia, a na

wet od tych, których może raz w życiu widział gdzieś w restauracji przy obiedzie.

Biedny Sabin zrazu zaprzeczał i tłumaczył się. W końcu jednak, gdy wyraźnie widział, że jego zaprzeczeniom nie wierzą, biorąc je za zwykły w takim razie protest starającego się kawalera, przestał także protestować i życzenia odbierał z rezygnacją godną lepszej sprawy.

Wreszcie zmrok wieczorny uwolnił go od dalszych gratulacji. Znajomi nie poznawali go. Czasami tylko przy samej latarni zatrzymał go jaki towarzysz obiadowy i wsunął mu do ucha swoje najszczerze życzenia...

Zmęczony wrócił do hotelu. Zapytał odźwiernego, czy nie było Bolesława..... nie było go!

Z ciężkim westchnieniem wszedł do pokoju i rzucił się na sofę.

Mijały godziny. Sabin leżał na sofie i nie

wiedział, czy śni, czy to wszystko na jawie się dzieje. Obrazy dnia dzisiejszego przechodziły przed jego oczyma jakby jakieś dziwne fantasmagorye, których w żaden sposób rozwikłać nie mógł.

Wreszcie sen dobrotliwy skleił powieki, a biedny Sabin poraz pierwszy dzisiaj zaczął regularnie oddychać...

Prawdopodobnie żadne obawy dnia dzisiejszego nie trafiły w tej chwili jego duszy. Wypoczywała ona po tak silnych wrażeniach, ale niestety, wypoczywała na to tylko, aby tym boleśniejszy cios otrzymać, który już nad nią wisił w powietrzu...

XX.

Sabin obudził się dosyć późno. Było już koło godziny dziesiątej. Przetarł oczy i zaczął się rozpatrywać gdzie się znajduje. Pudełko z cygarami przypomniało mu całe wczorajsze nieszczęście. Przypomniawszy sobie, że przy tym pudełku opowiedział mu Bolesław wczoraj pierwszy akt dramatu, którego miał zostać pierwszym aktorem...

Westchnął boleśnie i szukał dalej oczyma czegoś, coby go pocieszyć, coby mu jakąś ulgę sprawić mogło.

I nie szukał daremnie. Zaledwie bowiem okiem po stole posunął, napotkał zaraz na krawędzi świeży numer „Kuryera“. Szare,

ćwiartkowe piśmiennictwo uśmiechało się do niego, jak dobry, niepoznany przyjaciel. Wyciągnął rękę po tego małego przyjaciela, i zaczął czytać.

„Kuryer“ odgrywa bardzo ważną rolę w społeczeństwie warszawskim. Żadne inne europejskie miasto nie ma piśmiennictwa podobnego znaczenia. Nie narzuca ono nikomu zdań swoich, ale pozwala wszystkim zdaniom spierać się u siebie, pozwala jednym zwyciężać, drugim ginać. Aby jednym słowem scharakteryzować to ćwiartkowe piśmiennictwo, można powiedzieć, że ono jest czystym papierem, na którym cała Warszawa pisze, co jej do głowy lub do serca przyjdzie. Ponieważ w takim razie mógłby stać się natłok nielada, toż redakcyja przyjęła system, praktykowany przy kassach kolei żelaznej. Kto pierwiej przyjdzie, ten pierwiej bilet dostanie. Tak się też dzieje z nadchodzącymi do redakcyi artykułami. Który pierwiej nadejdzie, ten się pierwiej drukuje.

To równouprawienie, jakkolwiek w myśli szlachetnej praktykowane, sprawia jednak często nader dziwaczne zestawienia. I tak na przykład po szumnym zapowiedzeniu, że europejskiej sławy artysta zamierza Warszawę udarować pewnym cyklem koncertów, następuje bezpośrednio wiadomość o wynalazku chemicznie preparowanej waty do zatykania uszu, mianowicie dla osób nerwowych, które hałasu wielkomiejskiego zniesić nie mogą... Obok raportu policyjnego, że żona mężowi gardło poderznęła, mieści się mały artykułk widocznie niewieściego pióra, utyskujący na zmniejszającą się coraz więcej liczbę zawieranych małżeństw w Warszawie, i rozkosznym kolorytem malujący uciechy szczęścia małżeńskiego!.. Dalej odkrywa ktoś jakiś znakomity talent poetyczny w niepokąznym młodym człowieku i obiecuje literaturze arcydzieła, a tuż obok jest wiadomość o odkryciu

kanału przy ulicy pryncypalnej, i o wybuchającej ztamtąd woni nieprzyjemnej...

Zestawienia podobne są przy systemie kuryerowym nieuniknione. „Kuryer“ bowiem musi o wszystkim donosić, o małym i o wielkim, o niskim i wysokim. Z Kuryera dowiaduje się Warszawa o wszystkim, a są emeryci, którzy za próg nie wychodzą, a czytając „Kuryera“ żyją życiem całego miasta, jakby wszędzie byli obecni. „Kuryer“ jest to jedyny ich przyjaciel, który codzień do nich przychodzi i wszystko im opowiada.

Oprócz rubryki o różnych wypadkach w mieście, w świecie, w sztuce i literaturze ma „Kuryer“ jeszcze jedną i to bardzo ważną rubrykę. Są to pouczające lub karcące pogadanki.

Gdy Warszawianinowi jakiś nieodgadniony fenomen ze sfery przyrody lub społeczeństwa w drodze stania, udaje się listownie do „Ku-

ryera“ a usłużny Kuryer wedle sił swoich albo sam wprost odpowiada, albo wzywa znawców aby na to odpowiedzieli. Szanowny redaktorze, pisze jeden, powiedz nam, co jest aerolit według najnowszych badań naukowych? Dla czego tak przeraźliwie brzęczy omnibus, idąc po szynach Królewskiej ulicy? Chciej rozstrzygnąć nasz zakład, czy się pisze „posyłka“ czy „posełka“? Do takiego zapytania dołącza się coś dla Dobroczynności.

Inne artykułiki tyczą się badań psychologicznych, uczuciowych lub towarzyskich. Powiedz mi, redaktorze, zapytuje widocznie kobiece pióro, czy serce które kochało raz nieszczęśliwie, jest zdolne w innej miłości znaleźć szczęście? Czy mężczyzna, rozdarłszy jedno serce, ma prawo do drugiego? Czy miłość, poczęta na balu, ma warunki szczęścia? Czy suknia wycięta głęboko odsłania serce kobiety, czy je właściwie zasłania? Czy panna

mająca znaczny posag może iść za biednego, nie mając obawy, że tenże tylko w jej posagu się kocha? Dla czego kochankowie tylko same bogate panny wykradają, a żaden biednej nie wykradnie? Dla czego głupi i bez charakteru mężczyzna najwięcej szczęścia ma u kobiet? Czy to konieczna, aby mąż był zawsze bózkiem miłości, tj. aby miał oczy zawiązane?

Przy takich drastycznych pytaniach, w odpowiedziach pomaga sobie redakcja w ten sam sposób, w jaki odpowiadały wróżki starożytne. Odpowiedzi te są często arcydziełem stylu i nic właściwie nieokreślających frazesów.

W aforyzmach społecznych, uszykowanych w kunsztownych kontrastach nie wyrówna nawet Wiktor Hugo „Kuryerowi“. Ta tylko jest między nimi różnica, że pierwszy układa to wszystko z samowiedzą, u drugiego składa się na to przypadek. Rezultaty są jednak jed-

ne i te same i kto wie czy nie większe u Kuryera?

I tak naprzykład czytasz na jednej stronicy: Królowa mody pani W** właścicielka Magazynu, wróciła z Paryża i przywiozła zakupione tamże w najpierwszych fabrykach aksamity, mory *antique*, adamaszki jedwabne itd. A zaraz za tym następuje: Przy ulicy Chmielnej na czwartym piętrze mieszka wdowa W** z pięciorgiem małoletnich dzieci. Wdowa jest chora na tyfus a dzieci literalnie z głodu umierają. Najmłodsze już umarło. Uprasza się litościwe dusze...

Czy może Wiktor Hugo lepszy kontrast i do tego tak prawdziwy wystudyować i społeczeństwu w oczy rzucić?...

Ofiary stosunków społecznych mają prawo składać w Kuryerze swoje skargi. Pisze naprzykład pióro niewieście, jakby pożyczone od młodego Dumasa: Po dwunasto-godzinnej

pracy w Magazynie wracałam omnibusem do domu. Koło mnie siedział mężczyzna młody o blond włosach i był dla mnie tak niegrzeczny, że wróciwszy do mego poddasza, płakałam noc całą nad smutnym losem tych wszystkich, które podobnie do mnie na życie pracować muszą. Dołączam do tej skargi jeden złoty na korzyść zakładu moralnie zaniedbanych dzieci, do których niezawodnie ten blond mężczyzna należy. -- Wczoraj, pisze druga ofiara, wysłałam poraz pierwszy po śmierci matki mojej do ogrodu saskiego, aby świeżym powietrzem odetchnąć. Zbliżył się do mnie jakiś młodzieniec ze szkiełkiem w oku i usiadł. W odpowiedzi na jego nierozumne słowa pisałam dla zakładu moralnie zaniedbanych dzieci dwa złote.

I satyrze bieżącej otwiera „Kuryer“ gościnnie swoją furtkę. Wczoraj, pisze ę prze-wrócone, przy ulicy Marszałkowskiej w domu

pod N. 12 na drugim piętrze, przy pewnym tamże zdarzeniu, powstał między nami spór, czy sześćdziesięcioletni dyrektor kancelaryi może się z sukcesem oświadczyć szesnastoletniej, ładnej pannie? Za łaskawą odpowiedź przyjmij szanowny Redaktorze pięć rubli dla „Przytuliska“ (zakład dla niedołączonych starców).

Te małe próbki wystarczą do niejakiego scharakteryzowania Kuryera i jego stanowiska. Pogadanki te wzajemne, zaczepki, skargi i satyry tak się wzmogły w ostatnich latach, że jeden „Kuryer“ nie wystarczał Warszawie i musiał zrodzić drugiego brata. Odtąd dwa „Kuryery“ czynne są, i obaj idą obok siebie.

Jeden z Kuryerów leżał na stole, gdy się Sabin obudził i po niego chciwą ręką sięgnął.

Biedny Sabin nie wiedział po co sięga!

Zaraz na trzeciej stronnicy zaczął czytać jakiś dłuższy artykuł, przy którym twarz

jego śmiertelnie zbladła. Za każdym wierszem zbierała się na czole czytającego duża kropla zimnego potu, która po skroniach spadała na poduszkę. Ręce jego zaczęły drżeć coraz więcej, jakby był paralizem tknięty. Artykuł dosłownie brzmiał jak następuje:

— Redaktorze! Pismo twoje szacowne ogłasza skrzętnie tryumfy ludzi zasłużonych jako też i skargi umierających z głodu na poddaszach lub piwnicach. Niedotknąłeś jednak jeszcze jednej wadliwej strony naszego społeczeństwa, a jest ten rak tym niebezpieczniejszy, że toczy w ukryciu. Kodeks przewidział różne zbrodnie i stósowne wyznaczył na nie kary, ale o tej zbrodni, o której mówić pragnę, milczą prawodawcy. Wyobraź sobie, że jest dom poczciwy, który tuli do siebie sierotę. Jestto panna ładna, wykształcona, słowem mogąca się podobać i iść za mąż. Do domu przybywa młody człowiek,

poznaje pannę, rozmawia z nią przez cały wieczór i odtąd zaczyna być codziennie. Młody człowiek jest bogaty, więc wszyscy inni konkurenci, jakich panna ma wielu, odstępają nie widząc dla siebie żadnej nadziei. Sierota spragniona kochającego serca zaczyna marzyć o nim i z biegiem czasu przywiązuje się do niego całą duszą. Młody mężczyzna robi wszystko, co tylko robić można, aby całemu światu okazać, że jest starającym się kawalerem. Na koncercie bierze krzesło obok panny i jest nią przez cały czas zajęty. W teatrze idzie do łoży i pozostaje przy niej przez wszystkie akty. Słowem zasłania jej wszędzie sobą świat cały, jakby chciał powiedzieć: Nie patrzcie daremnie na nią, bo ona już moja!... Ludzie wszyscy mówią już na pewno, że są narzeczeni, że dzień ślubu oznaczony, że wyprawa już w robocie. Znajomi winszują szczęśliwemu a mniemany szczęśliwy uśmiecha się,

dziękuje i jeszcze częściej bywa w domu. Aż wreszcie przyparty do ściany odpowiada, że on żadnych a żadnych zamysłów matrymonialnych nie miał, że... chodził do domu, bo się nudził w cukierni, że zresztą... szklanka herbaty i kieliszek wina przy wieczerzy nie są do odrzucenia... i że za to wszystko należycie odpłacił swoim szacownym towarzystwem!... Zważ, szanowny redaktorze, ile piekielnej zbrodni mieści się w tym hogartowskim obrazku? Ile to ofiar zostawił po sobie podobny przemyśl, który coraz więcej praktykuje się w naszej stolicy! Ile to dusz rozdartych, dusz wierzących naiwnie, staje się na całe życie kalekami? Czyż jest na taką zbrodnią jaki paragraf w kodeksie? Czy zagradzając młodej osobie drogę do szczęścia, odbierając jej przyszłość, jest się mniej winnym od tego, który zabija lub po drogach napada? Niewolno ukraść grosza bliźniemu,

a wolno i sponiewierać jego opinią i zabić go moralnie? A jakiego cynizmu i jakiej podłości potrzeba, aby jeszcze ze zwyczajtwa nad biednym sercem dziewczyny, chełpić się przed innymi, z tegoż serca urągać? Zaprawdę nie mogę znaleźć słów, aby nazwać po nazwisku podobną zbrodnią — społeczeństwo powinno pogardą napiętnować bezwstydne czoło takiego człowieka, żeby każda kobieta wiedziała, że przed nim uciekać należy!... Posyłając ci te myśli moje, szanowny redaktorze, dołączam jednego rubla dla zakładu zaniedbanych dzieci. Twój stały prenumerator.“

Kiedy Sabin te słowa przeczytał, był już tak blady, jakby na seryo ta wyż opowiedziana zbrodnia na jego sumieniu ciążyła. Załamał ręce i przyłożył do oczu, jakby wstrzymać chciał łzy, które cisnęły się z pod powieki...

Śnił tak chwil kilka... gdy nagle rozległ się po kurytarzu odgłos szybkich kroków, wprost do jego drzwi zdążających. Kroki te jakoś dziwnie przeraziły go.

XXI.

Szeroko otworzyły się drzwi — do pokoju wszedł Bolesław.

Sabin ucieszył się jak człowiek tonący widząc nadpływającą ku niemu belkę. Spojrzał na Bolesława wdzięcznym okiem i już wyciągnął rękę, aby go serdecznie uściskać, gdy Bolesław nagle odwinął płaszcz szeroki i zaczął w osłupiałych oczach Sabina wyjmować i na sofie składać — narzędzia mordu!

Najprzód wyjął dwa pałasze, a na nie złożył dwa pistolety olbrzymich rozmiarów, jakich używa się do pojedynku.

— Cóż to znaczy? powtórzył Sabin ochrypłym głosem, bo już mu tchu zabrakło do pełnego.

Czoło Bolesława było chmurne, oczy tryskały ogniem niezwykłym. I zrzucił płaszcz z siebie i padł na krzesło.

— To znaczy, że ja się będę strzelał dla ciebie, a ty za siebie! odpowiedział krótko Bolesław.

— Strzelał?... powtórzył Sabin i wpatrzył się w przyjaciela jakby go nie rozumiał.

— Czytałeś Kuryera? zapytał Bolesław pokazując nogą na leżące na ziemi piśmko.

— Czytałem... ale prócz tego miałbym ci jeszcze do opowiedzenia rozmowę z panią Ludgardą...

— Wiem o wszystkim — mówiła mi sama — nie ma co mówić — ślicznie wykirowaliśmy się!

— Ale zlituj się! Przecież nieporozumienia takie nie mogą znowu mieć tak tragicznych skutków...

— Jak widzisz pierwszy akt tragedyi już

gotowy! Ekspozycya pyszna nieprawda? Pistolety i pałasze do wyboru!

Mówiąc to wskazał na leżące na sofie pałasze z pistoletami olbrzymiego kalibru.

— Ale powiedz mi pierwej, co to wszystko znaczy? zapytał Sabin, któremu dreszcz zimny twarz wykrzywił.

— To znaczy, co powiedziałem, odparł Bolesław, że ja będę się strzelał za ciebie, a ty za siebie. Tak zawyrokował sąd z obecnych temu zajściu złożony. Nie wierzysz co mnie to zdrowia kosztowało.

Sabin nie miał odwagi zapytać, coby to było za zajście. Wyrazy „sąd zawyrokował“ wpadły mu tak niespodziewanie do ucha, że jeszcze po nich nie mógł przyjść do siebie. Szeroko otwartymi oczyma patrzył na przyjaciela.

— Dzisiaj rano, mówił głosem uroczystym Bolesław, przyszedłem do cukierni z Wład-

kiem i Tymoteuszem. Przy stoliku siedział Gorgon, którego jak wiesz, mocno unikam, dla jego zwadliwego charakteru. Gorgon czytał Kuryera.

— Czytałeś Kuryera? zapytał Gorgon z szyderskim uśmiechem na twarzy, z którym jest tak nieznośny.

Wziąłem Kuryera i wskazany przez Gorgona artykuł przeczytałem dwa czy trzy razy.

Jak mi było przy tym czytaniu, łatwo sobie sam wyobrazisz, któryś go także czytał!

— Jakże ci się podoba ten artykuł? zapytał Gorgon kręcąc wąsiki, co znaczy, że szuka awantury.

— Ten artykuł, odpowiedziałem spokojnie, udając że nie wiem, do kogo pije — ten artykuł jest wcale dobrze napisany!

— I przyznasz także, że z wszelką słusnością! Bo człowiek podobny wart, aby mu — zraz mięsa wykroić.

— Jeżeli lubisz takie zrazy, to ci winszuję ale nie zazdroścę, odpowiedziałem, aby burzy nie wszczynać.

— Jakto? podniósł głos Gorgon, czy nie przyznajesz, że człowiek taki jest łajdakiem ostatnim?

Bolesław zatrzymał się przy tym słowie. Sabin zbladł jeszcze więcej i widocznie zaczął się słaniać.

— Trzeba wysłuchać drugą stronę, odpowiedziałem, i wtedy tylko przyznać można mu winę.

— Już to zła sprawa mój Bolku, zawołał Gorgon, jeżeli po adwokacku bronić jej trzeba! Opinia publiczna często wprawdzie nie zna granicy swego wyroku, ale wyrok „winien“ czy „nie winien“ jest zawsze prawdziwy i trafny! Powiedz mi dla czego człowiek poczciwy nie potrzebuje nigdy oczyszczać się z zarzutów publicznie mu uczynionych.

— Za mało znasz świat, odpowiedziałem i nie wiesz jak czasem dziwny zbieg okoliczności, pozory, przypadek...

— Terefere! romanse francuskie, w których zbrodnia znowu jest tylko rezultatem dziwnego zbiegu okoliczności lub wadliwego urządzenia społeczeństwa! To romanse, które dzisiaj tylko praczki paryskie podziwiają! Zbrodnia jest zawsze zbrodnią, jak charakter charakterem! Tylko zapłacony adwokat broni zbrodni i procesuje słuszność...

— Proszę cię, daj mi pokój ze swoim kazaniem! odpowiedziałem, nie znam o kim mowa i nie chcę go bronić.

— Ale przyznaj mi, że taki człowiek jest podłym nędzikiem, który dla szklanki herbaty odgrywa rolę konkurenta...

— Tak... w samej rzeczy... gdyby tak było... jękałem się, bo wiedziałem do czego zmierza Gorgon.

— A przecież ty znasz dobrze takiego człowieka... żyjesz z nim — jesz i pijesz razem z nim — mówił dalej Gorgon.

— Takiego człowieka nie znam, odpowiedziałem, bo inaczej nie żyłbym z nim, nie pił i nie jadł!

— Jakto nie znasz? wrzasnął Gorgon, czy chcesz abym wymienił jego nazwisko?

Wszyscy spojrzeli na mnie ciekawie. Cóż miałem robić. Czy miałem stchórzyć i prosić go, aby nazwiska nie wymieniał? Tym sposobem przyznałbym się do winy, że w istocie z tak podłym człowiekiem jestem w styczności.

— Możesz wymienić, odpowiedziałem z godnością, ale zważ że mi za to odpowiadasz!

Gorgon powstał i dosyć głośno, aby wszyscy obecni słyszeli, wymienił — twoje nazwisko!

Nastąpiło grobowe milczenie. Sabin upadł na krzesło i spojrzął przed siebie martwym okiem.

Po niejakim czasie przeciągnął rękę po czole, jakby się budził z jakiego snu okropnego.

— Sam nie wiem, ozwał się urywanym głosem, czy to śni mi się wszystko, czy na jawie dzieje?

— Niestety, to wszystko rzeczywistość! odpowiedział Bolesław i westchnął.

— Cóż tu robić w takim razie? Shańbiono mnie publicznie! Moje nazwisko idzie z ust do ust...

— Shańbiono ciebie i mnie przy tobie! Hańba taka wymaga krwi!

— Krwi! krwi!... Cóż tu krew w takim razie pomoże? Nie widzę aby krew mogła...

— Jeżeli nie chcesz krwi, przerwał szybko Bolesław, to jest tylko na to jedna rada!

— Jest rada? Jakaż rada?

— Pójdziem do pani Ludgardy i oświadczysz się o rękę Aprypiny!

— Oświadczyć się o rękę Agrypiny?

— Nazajutrz odbędziemy hałaśliwe zaręczyny, o czym na drugi dzień Kuryer doniesie. Tym faktem dokonany zamknie się usta złośliwej opinii publicznej, a Gorgon sam przyjdzie do ciebie i przeprosi cię za małe nieporozumienie...

— Nie, to być nie może! To być nie może! wołał Sabin łamiąc nad głową ręce.

— Być nie może? Dla czego być nie może? Panna niebrzydka, posażna...

— Ale ja jej nie kocham! Nigdy o niej nie myślałem! Ani mi się nie śniło!

Bolesław milczał chwilę z chmurą na czole. Patrzył z uwagą w twarz Sabina, która bla-
dła i rumieniła się na przemian.

— Podziwiam ciebie, ozwał się po chwili, jesteś dla mnie ciekawym okazem dawno wymarłych kawalerów. Przystępując do żeniaczki, chcesz się kochać! cha, cha, cha!... Któryż

starający się kawaler żąda dzisiaj tego od panny? Któraż panna gotująca się do ślubu, myśli dzisiaj o tym. Wprawdzie dla pozorów odgrywa się na czas przedślubny rolę zakochanych, ale ta rola wypada często tak fatalnie, że patrząc na nią, żal bierze nad wysileniem aktorów!... A cała ta rola ogranicza się często na tym, że panna rozpisuje równo-
brzmiające listy do swoich przyjaciółek, w których mówi wiele o swoim szczęściu i zakochaniu, a narzeczony okupuje się od serdecznych wynurzeń kupowanymi bukietami i innymi fraszkami! W takim razie lepiej jest być szczerym i otwartym i uważać ożenienie się jako prosty interes, który obie strony zadawalnia. Taki grunt szczęścia jest najlepszy, każdy inny niepewny! A zarobi się na tym to, że się uniknie rozczarowań!

— Nie, nie, nie! wołał Sabin biegając po pokoju, na takie ożenienie się nigdy nie przy-

stanę! Nie rozumiem, nie pojmuję tego co mówisz!... A zresztą jest jeszcze inna przeszkoda, której usunąć nie można!

— Jakaż przeszkoda?

— Widzisz, kochany Bolesławie, człowiek powoli urabia sobie szczęście swoje. Naprzód szuka go w marzeniu, a ztamtąd dopiero przenosi to marzenie do rzeczywistości... Otóż i ja wymarzyłem już nieraz sobie szczęście, a jeżeli rzeczywiście mam zostać szczęśliwym, to trzeba aby ta rzeczywistość była zgodną z moim marzeniem... Dotąd zaś w moje marzenia nie wchodziły nigdy panny, podobnej jak Agrypina kategorii.

— Nie rozumiem cię dobrze. Mówisz tak niejasno, jakbyś sam lękał się tego przed sobą głośno wymówić!

— Miej wzgląd na położenie moje... na stanowisko towarzyskie... Jakkolwiek nazwiesz przesądem...

— Teraz już wiem, jaka to przeszkoda! Obawiasz się tego, że dziad Agrypiny był... garbarzem!

Sabin zarumienił się, gdy Bolesław to słowo wyrzekł. Milczenie jednak jego okazało, że Bolesław dobrze odgadł.

Bolesław rozśmieł się na całe gardło. Wstał z krzesła, wziął Sabina za pętlicę od szlafroka i rzekł:

— Posłuchaj Sabinie! Marząc o twojej przyszłej żonie, nie marzyłeś o człowieku, ale o karetach, pałacykach i koronach dziecięciopałkowych! Sama kobieta była małym dodatkiem do tego. Wypieraj się jak chcesz, ale tak jest i sam to przyznasz, jeżeli się w piersi uderzysz!... Ale marzenia takie to nie nowina. Wszyscy podobnie marzymy. Zaczynamy od księżniczki a kończymy skromną córką modniarki. Nie mam ci więc za złe twoich marzeń, ale czas abyś ocknął się.

— Nie, nie, to być nie może! To być w żaden sposób nie może!

— Zresztą wierzaj mi, że my (i ja mniej więcej do twojej pozycji należę) że my naszymi przesądami skazujemy siebie dobrowolnie na wytępienie! Magnaci zamykając się w ciasnym kółku swoim, zawierają małżeństwa między sobą w najbliższych pokrewieństwach, z czego rodzi się pokolenie niedołęgów, idiotów i innych kalek moralnych i fizycznych. Szlachta nie mieszając się z mieszczaństwem i przemysłowcami, nie zasila się energią świeżych ludzi, nie zasila się ich pracą i mieniem, przez co w końcu musi zniedołężnić i w przodowaniu narodowi abdykować! Na zachodzie długo toczyła się o te idee walka, która nawet krwi wiele kosztowała. Dzisiaj zwyciężył tam rozum i postęp, mielibyśmy tylko u nas stworzyć Vendę?... Tfe Sabinie! Wstydz się, że z czymś podobnym

się odzywasz! Poczciwie zarobiony grosz garbarski tak jest dobry jak scheda po antenatach. z buławami, a kto wie czy nawet nie lepszy? A co do wykształcenia i serca to wierzaj mi...

— Nie, nie, to być nie może w żaden sposób! wykrzyknął Sabin i otarł pot z czoła.

— Więc dobrze! Twoje „non possumus“ uznaję, i już cię więcej atakować nie będę. Jutro strzelam się a ty rąbiesz!

— Wolę się już strzelać, wyrzekł Sabin i cały błądy i drżący padł na krzesło.

Kilka chwil patrzył Bolesław na Sabina. Potym westchnął smutno i rzekł głosem wzruszonym:

— Dziwne igrzysko losu sprzęgło nas razem. Jedna i ta sama ręka zagraża dziś życiu naszemu. Jestto dowód że jesteśmy jakby dla siebie stworzeni!

— Twoje poświęcenie się dla mnie, na-

rażenie twego życia dla mnie jest oczywistym stwierdzeniem tego, coś wyrzekł!

Po tych słowach wyrzeczonych z najwyższą boleścią, podał Sabin rękę przyjacielowi, a oczy jego zasły łzami.

— Ponieważ przypadek każdy jest ślepy, rzekł po chwili Bolesław, to radzę ci rozporządzić swemi interesami doczesnymi!

Sabin wpatrzył się na chwilę w Bolesława, jakby go nie rozumiał.

— Ja pójdę także do siebie... pisać testament! dodał Bolesław po chwili. Kto wie który z nas za dwa dni po świecie będzie chodził!... A może obaj przeniesiemy się na podziemną kwaterę... Takie mam fatalne przeczucie...

Rzekłszy to podał rękę skamieniałemu Sabinowi i wypadł za drzwi.

XXII.

Do wyjściu Bolesława siedział Sabin długi czas jak martwa statua. Niktby nie uwierzył że to żyjący człowiek. Oczy postawił w ślup, głowę pochylił naprzód a obie ręce załamał i oparł na kolanach.

Jeszcze dobrze do przytomności nie przyszedł, gdy się drzwi otworzyły. Do pokoju wszedł daleki znajomy, pan Władysław.

Sabin wstrząsł się cały. Przypomniawszy sobie, że przy obeldze rzuconej na niego przez Gorgona był p. Władysław.

— Spotkałem pana Bolesława, ozwał się przybyły, który mnie imieniem pana prosił, abym panu służył w sprawie honorowej. By-

łem obecny temu nieszczęśliwemu zajściu i sądzę, że tę rzecz tylko krwią da się zmyć.

— Tak tylko krwią zmyć, powtórzył be-
myślnie Sabin i zapadł w dawne zamyślenie.

— Więc pozwolisz pan, że resztę biorę
na siebie, uroczyście mówił dalej pan Wła-
dysław.

— Bierz pan na siebie, tym samym gło-
sem powtórzył nieszczęśliwy Sabin.

— Przyznam się panu, że cała sprawa
djabelnie drażliwa. Gorgon najlepszy strzelec
w Polsce. Trafia w tuza na czterdzieści kro-
ków z pistoletu. Do tego zimną ma krew
jak ryba!

— Trafia tuza na czterdzieści kroków,
zimna krew jak ryba...

— Wprawdzie jest jedna szansa za nami
Ale to tylko szansa i nic więcej!...

— Jest szansa? zawołał nagle Sabin, jest

szansa?... Oh!... znam ja tę szansę! dodał
smutno powoli.

— Szansa jest ta, że pierwszy strzela się
Bolesław, który także jest mistrzem w tym
zawodzie!... Może być, że Gorgon padnie...
a wtedy jesteś pan uwolniony... Bolesław
prawdziwie poświęca się za pana!

— Bolesław poświęca się za mnie... ale
to zawsze krew, krew...

— Wiadomość o miejscu i godzinie przy-
niosę później — a teraz żegnam pana!

Sabin machinalnie podał rękę odchodzą-
cemu, który patrząc na leżące pałasze i pi-
stolety dziwnie się uśmiechał.

Długi czas upłynął nim Sabin mógł po-
wstać z krzesła. Odetchnął pełną piersią i za-
czął powoli myśli porządkować. Teraz dopiero
zaczynała mu się rozjaśniać jego nieszczęsna
sytuacja! A była ona pełna grozy, była dziw-

na i wyjątkowa, w jaką nie tak łatwo popada zwykły, spokojny człowiek.

Naprzód w najbliższej przyszłości odsłaniała mu się bezlitośnie, czarnym łachmanem owinięta śmierć!... Wyszczrzyła do niego suche zęby a uśmiech beźmięsnej twarzy był tak okropny, że oczy musiał sobie zasłonić. Potym wyciągnęła ku niemu swoją kosę, tak jak kosarz na łące po suchy badył, i zaczęła się za jego kark...

Sabin rzucił rękami i odepchnął natrętne widmo od siebie. Śmierć cofnęła się do progu, ale za drzwi nie wyszła. Obrąła sobie wygodny kącik między kominkiem a komodą i tam stanęła czekając.

Pomiędzy oczami Sabina a czekającą przy kominku śmiercią roztoczyły się teraz dziwnie piękne obrazy.

Naprzód widział Sabin małego chłopczyka o złotych loczkach, którego starannie jakaś

bona francuska obwijała we flanelę, aby żaden wietrzyk na niego nie zawiął, ucząc go przytym paplać po francusku... Dalej widział, jak temu chłopczykowi kupowano zabawki za drogie pieniądze, jak na niego chuchano, aby go żaden chłodniejszy wietrzyk niezawionął... Zamykano go szczelnie w tapetowanych pokojach i oddalano od niego to wszystko, co w życiu jest szorstkim i chropawym!.... Stąpał tylko po dywanach lub woskowanej posadzce, aby nóżek swoich, które babcia całowała, nie urazić!... Dalej widział jak ten chłopczyk rósł coraz wyżej, a rósł wśród nieustannych pieśczoł matulci, babci i cioci, które każdy jego kaprys znosiły i wszystkim jego zachciankom za dość czyniły!... A gdy już sporo wyrósł, najęto dla niego mentora, i powiedziano mu wyraźnie, aby ładnej główki o blond włosach nie obciążał zbyt ciężką nauką, bo chłopiec wiele nauki nie potrzebuje,

mając w perspektywie dwie wioski i pałacyk z czerwonym dachem!.... Chłopiec wyrósł w młodzieńca a wyrósł w tej wierze, że nigdy nic robić nie potrzebuje i że całym zadaniem jego życia jest, aby był spokojnym konsumentem fortuny, którą mu rodzice zostawia!...

Sabin westchnął, otarł czoło z potu i patrzył przed siebie:

...Widział dalej tego młodzieńca jak marzył o swojej złotej przyszłości! Polowanie, zabawy, tańce, przejazdki, towarzystwa, słowem wszystko, co skraca czas niepotrzebnie długi, leżały przed nim roztoczone jak wstęga siedmiobarwna, nęcąca tysiącem precudnych kwiatów i arabesków!... A gdy to wszystko jeszcze nie wystarczało, wtedy wionęła przed nim lekko i uroczo jakaś postać kobieca!...

Na kilka chwil przymknął Sabin oczy, bo ten obraz wszystko w nim powarzył.

... Kobięca postać przybierała coraz więcej rysy znajome i znowu je zmieniała. Już była podobna do księżniczki jakiejś nieznanego nazwiska, to znowu była podobną do najstarszej córki marszałka, a ta zamieniła się na krótki czas w uroczą postać panny Serafyny, którą mu niemiłosiernie porwano!... Potym szły kolejną różne postacie kobiece, ale miały twarze tak zasłonię, jak duchy Dorègo w jego przepysznych ilustracjach!... Twarzy tych kobiet nie widział, nie znał ich wcale, tylko widział przy każdej różne akcesorya, które im niewypowiedzianego uroku dodawały! A akcesorya te były: angielskie karety z herbami podwójnymi na drzwiczkach, lokaje w sutej liberyi, szeroko galonami obszywanej, a posługacze hotelów zagranicznych stali w długich szeregach i nisko kłaniali się do ziemi...

...Twarzy tych przysłoniętych nie widział,

bo były one dopiero marzeniem, dopiero miał je kiedyś na szerokim świecie obaczyć, ale mimo to w sercu swoim postawił tym sennym widnom posąg dla czci uwielbienia, jak ongi Rzymianie niewiadomemu bóstwu stawiali posągi z napisem: „Deo ignoto.“

...O takim niewiadomym i dotąd nieznanym bóstwie marzył młodzieniec, a tylko akcesorya tych bóstw wskazywały, gdzie ich szukać zamysła!...

...I urósł z tą myślą szczęśliwy młodzieniec i zdawało mu się, że bez urzeczywistnienia tej myśli nie może być szczęśliwym! A gdy nadszedł czas, że trzeba było w świat szeroki pójść po to złote runo marzeń rozkosznych — stanęła przed nim nagle śmierć nieubłagana, z kosą w ręku i czarnym łachmanem okryta, czeka na niego w kącie między kominkiem a komodą! I taki ma być koniec jego życia?...

Takie obrazy rozsnuwały się teraz przed oczyma Sabina... a była to jego młodość, był on sam!

Mijały godziny jedna po drugiej. Dzwonek hotelowy dzwonił na obiad. Sabin nie słyszał tego dzwonka. Nadszedł wieczór, w pokoju ciemniło się, tylko latarnia gazowa rzucała przez zapyłone okno dziwne światło na ten kąt fatalny między kominkiem a komodą, gdzie stało to widmo uparte i przez jamy trupiej głowy szydersko na niego patrzyło!...

Wreszcie nadeszła północ. Ostatni dźwięk zegarów, który godzinę duchów ogłosił, nappełnił serce Sabina jakąś trwogą nieokreśloną. Zdawało mu się, że po promieniach światła gazowego spuszczają się do pokoju wszystkie duchy i upiory ulicy Bielańskiej i całego ósmego cyrkułu. Duszno i straszno mu było między niemi, chciał je odżegnać szczerem

westchnieniem do Boga, a gdy to niepomagało, zebrał całą odwagę i zapalił świecę.

Światło świecy padło na biały papier, który przedwczoraj przygotował, aby do matki pisać.

— Mój Boże! zawołał łamiąc ręce, na tym papierze miałem pisać do matki o zabawach Warszawy, o towarzystwach w których bywam, miałem jej donieść o koncercie i przedstawieniach komedyi Fredra — a dzisiaj na tym papierze mam napisać mój testament i pożegnać ją na wieki, na wieki!...

Sabin otarł łzy z oczu. W kącie koło kominka stało ciągle widmo nieruchome.... Przystawił do stolika krzesło tak, aby widma nie widzieć i usiadł, aby pisać, pisać na tym samym papierze — ostatnie pożegnanie!

I pisał długo i ocierał łzy. Zapisał jedną ćwiartkę i drugą, zapisał trzecią i czwartą i pisał bez końca...

Wreszcie dzień szary uderzył w okna. Sabin jakby się ocknął, położył pióro i wstał z krzesła. Sam nie wiedział jak się to stało, że nagle uczuł miękką poduszkę pod głową i widok pokoju zaczął mu powoli niknąć z przed oczu...

Aniół pokoju spuścił na niego sen dobroczynny. Było to konieczne lekarstwo dla jego duszy rozbolełej... a w krótkce zaczęła się jego twarz uśmiechać jakby był dzieckiem i widział precudne zabawki, które mu babcia pokazywała!...

Śniło mu się, że ubrany wytwornie we frak granatowy z srebrnymi guzikami, jak to przed rokiem widział u hrabiego Alfonsa, stoi przed dużym zwierciadłem i przypatruje się z upodobaniem swojej udatnej figurze. Za nim w jasno oświetlonym salonie snują się z szaleństwem postacie kobiece ustrojone w białe suknie, a między niemi jest jedna z przezro-

czystym welonem na głowie, z wieńcem zielonym we włosach i uśmiecha się do niego okiem pełnym szczęścia...

Śniło mu się dalej, że skończywszy toaletę wychodzi do tego salonu i kęka na kobiercu według dawnego obyczaju przed sędziwą matroną, która płacząc błogosławi go... była to jego matka!

A gdy się skończyła ceremonia błogosławieństwa, powstał z ziemi i wziął owę dziewczicę z zielonym wiankiem pod rękę i szli razem jakąś drogą kwiatami wysłaną, szli aż do wielkiego ołtarza w kościele, w którym w krótkce zabrzmiał organ i ozwała się wspaiała, od tyłu młodych serc upragniona pieśń... *veni creator mundi!*...

A gdy właśnie w tej uroczej pieśni najrozkoszniej był zatopiony, otworzył ktoś drzwi do pokoju. Sabin przebudził się.

Przed nim stał Bolesław. Był na twarzy bledszy niż zwykle i miał rękę na temblaku.

Sabin otworzył szeroko oczy. Sen rozkoszny rozwiął się wraz z melodyą pieśni kościelnej.

— Cóż to jest? krzyknął przerażony, czy już strzelałeś się?... Zabiłeś go?

— Gdzie tam! O włos że on mnie nie zabił! odpowiedział spokojnie Bolesław z szyderskim uśmiechem.

Sabin upadł napowrót na poduszkę. Ostatnia nadzieja była dla niego stracona!

Grobowe milczenie zapanowało w pokoju. Bolesław rzucił tymczasem okiem na zapisane ćwiartki.

— Czy jesteś mocno ranny? zapytał po jakimś czasie Sabin słabym głosem bez dźwięku.

— Dostałem tylko kontuzję w rękę, kon-

tuzyą, która rzadko trafia się od kuli pistoletowej. Leciała o włos tylko...

Znowu nastąpiło milczenie. Bolesław spojrział na pistolety i uśmiechnął się.

— Jak widzę, ozwał się po chwili, testament i list do matki napisałeś, ale pistoletów nie tknąłeś się, chociaż je na to przyniosłem, abyś się przynajmniej włożył do podnoszenia ręki. Lepiej z dołu podnosić do góry... Szabie nie zdały się na nic...

Po tych słowach byłoby znowu długie panowało milczenie, gdyby Bolesław nie zaczął. Odsunąwszy pistolety zadzwonił na służącego a sam wygodnie położył się na sofie. Poczym ozwał się w te słowa:

— Jestem mocno zmęczony całonocną irytacją. Wiesz już zapewne co to jest, oczekiwanie tej chwili, w której waży się życie człowieka! Serce puka tak głośno, że aż echo od pustych ścian się odbija!... Każ przy-

nieść śniadanko, bo przed bitwą i po bitwie trzeba się zawsze czymś pokrzepić... I tak masz czas do jutra rana. Sekundant bowiem Gorgona nie chciał abyśmy obaj jednego dnia się strzelali. Chciał aby jego klient z należytym spokojem do boju stawał!

Sabin westchnął ale nic na to nie odpowiedział. Bolesław patrzył na niego z uwagą.

— Ale przychodzi mi jedna myśl do głowy. Wypadałoby z porządku rzeczy pójść dzisiaj w południe z krótką wizytą do pani Ludgardy. Trzeba tego dla form światowych. Opinią publiczną trzeba w błąd wprowadzić, że pojedynek tyczył się tego domu. Mówilem wczoraj o tym z panią Ludgardą i ona na to przystała. Artykuł w Kuryerze mógł być wymierzony przeciw komu innemu, nie trzeba dać poznać, że się wzięło do siebie. A zresztą biedna dziewczyna jest warta tego, abyś

dła jej opinii ten krok uczynił. Krótka wizyta, obojętna rozmowa i na tym koniec.

Sabin z pewnym niepokojem patrzył na Bolesława, gdy te słowa mówił. Po twarzy jego przebiegały dziwne myśli. Po długiej chwili milczenia, wstawszy z łóżka odpowiedział Sabin wzruszonym głosem:

— Jeżeli uważasz że to potrzebne, to pójdę, tym bardziej, że pani Ludgarda sama życzy sobie tego...

W tej chwili przyszedł służący ze śniadaniem. Bolesław wziął się do śniadania z apetytem, a Sabin chodził tymczasem zamysłony po pokoju. Czasami tylko stawał mu w drodze rozkoszny sen, z którego tak nielitościwie obudził go przyjaciel z pola boju wracający...

— A te zapisane ćwiartki wezmę z sobą.

zagadnął wśród śniadania Bolesław, i odeszł do matki, gdy będzie tego potrzeba!

Sabin stanął nagle a sen rozkoszny wionął daleko od niego!...

XXIV.

W domu przy ulicy Orlej panował dzisiaj wielki niepokój. Pani Ludgarda biegała po salonie i rozmawiała nadzwyczaj żywo. Na małej kanapce między oknami siedziała Agrypina i piękną główkę swoją podparła rączką.

— Widzisz moja droga, mówiła pani Ludgarda, przyprowadzasz porządnego człowieka do rozpacz. Powiedział Bolesławowi, że na świecie żyć nie chce i dla tego poszukał sobie z jakimś zawadyką awantury, aby się strzelać. Pan Bolesław z przyjaźni dla niego chciał go zasłonić, ale nic niepomogło. Słyszałam, że przyjdzie do rozlewu krwi...

— Ależ droga stryjeniu, odpowiedziała desyć spokojnie Agrypina, cóż ja zrobię? Czy pójdę sama do niego i oświadczę się? Przecież wyraźnie nic a nic mi nie powiedział, a to co mówił, było tylko daleką aluzją.

— Otóż mówisz teraz jak rozsądna kobieta. Teraz mi się podobasz. Aplikant nie wart był tych łez.

— Niech stryjenia tak nie mówi, prze-rwała Agrypina, bo to mnie zawsze jeszcze boli. Pan Józef kochał mnie, jak mnie może nikt w życiu kochać nie będzie, ale ja sama widzę teraz, że to nie prowadzi do niczego. Cóżby bowiem świat na to powiedział, gdybym tylko za aplikanta iść miała... Róża i Eulalia tryumfowałyby z radości... Dla opinii ludzi trzeba zawsze coś poświęcić... Alboż to jedna tak robi? Serce sercem, a wymagań świata nie można pominąć!

— Pójdź aniołku, niech cię pocałuję! Je-

steś roztropną dziewczyną, taką jaką dzisiaj każda być powinna... Bo co tam w książkach piszą o miłości, to i trzech groszy nie warte! Miłość kochanków może się wprawdzie obejść bez wielu rzeczy, ale miłość małżonków potrzebuje mieć dom zasobny, eleganckie meble, stroje przyzwoite dla żony i wieczorki dla zgromadzenia u siebie gości i znajomych. Bez tego, wierzaj mi, niema dzisiaj miłości w małżeństwie!

Agrypina zamyśliła się. Jej czarne, szkliste oczy wysunęły się naprzód jakby nadchodzącą z kwiatami przyszłość pochwycić chciały i przytrzymać dla przypatrzenia się jej... gdy nagle stanął przed nią czarnowłosy aplikant.

— Przecież czasami żal mi biednego aplikanta! wyszepnęła z cicha i westchnęła.

— Śmiej się z aplikanta! podjęła pani Ludgarda, aplikant będzie grał z rozpacz trzy noce w bilard u Lursa a potem wynaj-

dzie sobie drugie dwie kamienice. Alboż to dzisiaj mężczyźni mają tak tkliwe serca, albo przynajmniej tak silne namiętności? Gdzie tam! Nieudało się, powiadają sobie, i idą dalej!

— Ba, ale może to my temu winne, że oni są tacy? po chwili wtrąciła Agrypina i zamyśliła się.

Tymczasem wyrzała oknem pani Ludgarda i klasnęła w ręce. Agrypina spojrzała na nią.

— A co, nie mówiłam ci, że jeszcze przyjdzie? zawołała pani Ludgarda — patrz jak idzie smutno, z głową spuszczoną!

Agrypina patrzyła chwilę przez okno, potem pobiegła do zwierciadła i szybko włosów poprawiła.

— Ale jakże teraz z nim mówić? rzekła przypatrując się we zwierciadle w różnych oświetleniach — jakże to z nim mówić, do prawdy nie wiem. On lubi tylko jakies dale-

kie alluzye... a przecież sama nie powiem, iż pójde za niego.

— Do jego alluzyi trzeba właśnie trafnie nawiązywać, uczyła stryjenka, a przedewszystkim trzeba ostrożnie się obchodzić z tą wiadomością, że się chce z kimś strzelać (o Kuryerze nie wiedziała Agrypina) i tylko ją potrącać!...

Kiedy tak w salonie rozmawiano, słychać było na schodach chód wolny i ciężki. Zdało się, że na nogach, które po schodach stapały, były ołowiane kajdany nieubłaganego fatum. Nogi te może jutro już nie miały chodzić po bożej ziemi!...

Wreszcie otworzyły się drzwi. Do salonu wszedł Sabin. Był tak blady, że obie kobiety przestraszyły się.

Pani Ludgarda pobiegła żywo ku niemu i podała mu na raz obie ręce.

— Witaj nam, panie Sabinie, rzekła do

niego, niech wszystko to w niepamięć zapadnie, co kiedykolwiek było między nami!

Sabin uklonił się Agrypinie, która lekko spłonęła, i kilka chwil wpatrywał się w nią z uwagą.

— Trudno, bardzo trudno, odpowiedział po chwili, aby to, co przedemną jest, zapadło w niepamięć! Niestety, prędzej może ja sam zapadnę w tę niepamięć, która ostatecznie jest losem wszystkich!...

Agrypina spłonęła się drugi raz i wysłała do mówiącego swoje duże, czarne oczy.

Posyłka wróciła z niczym. Sabin posyłki nie zrozumiał, pisma tajemnego nie wyczytał. Patrzył szeroko otwartymi oczyma przed siebie. Jakaś straszna scena z jutrzejszego obrazu rysowała się przed nim w tej chwili...

— Przecież pan do Agrypiny nie masz żadnego żalu! ozwała się pani Ludgarda, wszak ona nic nie winna...

— To ja właściwie mam obowiązek prosić pannę Agrypinę o przebaczenie, jeżeli z mojej winy... mówił Sabin.

— Prędzej ja może powinnam poczuć się do winy, wyszepnęła Agrypina i poraz trzeci zapłonęła.

— *Omne trinum perfectum*, zawołała ze śmiechem wesoła pani Ludgarda ze znaczącym spojrzeniem do Agrypiny, ale ja widzę że taka liczba właśnie tutaj nie na czasie. Państwo macie sobie jakieś winy wzajemnie wyrzucać, a ja w tej chwili jestem myślą w kuchni, dokąd na naradę wzywała mnie właśnie służąca!

Rzekłszy to wykręciła się dwa razy w koło i frunęła z salonu jakby była dziewczynką dwunastoletnią.

Sabin zbliżył się do Agrypiny i patrzył znowu z uwagą na nią czas niejaki.

— Pani mówiłaś przed chwilą, zaczął rozmowę, że poczuwasz się do winy...

— Tak jest, odpowiedziała Agrypina ze spuszczonei oczyma, poczuwam się do winy, tym bardziej że ta wina moja nie będzie zapewne panu tajną... Jakkolwiek podobna tajemnica serca...

— Tę tajemnicę, o ile oko i ucho moje nie myliło mnie, odgadłem i bardzo było mi boleśnic...

— Ale mi pan darujesz! żywo zawołała Agrypina i wyciągnęła do niego obie rączki — pan mi to darujesz, nieprawdaż?... Bo widzisz pan, któż jest odpowiedzialnym za chwilowe, żywsze uderzenie serca...

Gdy tak Sabin trzymając ją za obie rączki w twarz jej patrzył, zdawało mu się mimowoli, że na jej włosach widzi wieniec zielony i welon przezroczysty... a gdy za oknem właśnie katarynkarz jakiegoś lendlera wygrywał, zdawało się Sabinowi, że słyszy organ ko-

ścielny i ów śpiew słyszany dzisiaj podczas tego snu rozkosznego...

Wnet jednak złudzenie wionęło, a Sabin puścił obie rączki Agrypiny i smutno spojrział w ziemię.

— Rzeczywiście, rzekł po chwili, wrzucenia serca są częstokroć nie w naszej woli!... Ale jak okropne skutki ztąd! Przyszłość cała okrywa się czarnym całunem, który odbiera nam na zawsze widok tego świata!

Tu Sabin zakreślił ręką szerokie koło przed swemi oczyma, jakby na nie rzucał czarną oponę.

— Ach pan tak wielkie rzeczy widzisz w przelotnym marzeniu!... zauważyła Agrypina nie podnosząc oczu.

— Mogło to być przelotnym — pani, ale dla mnie! dla mnie sprowadziło ono wielkie nieszczęście!

— A gdyby przyczyna tego... nieszczęścia...

znikła? pytała z wolna Agrypina skubiąc rąbek wstążki.

— To jeszcze gorzej! przerwał gniewnie Sabin, bo wtedy zostanie samo nieszczęście — bez przyczyny!

Agrypina podniosła z wolna oczy i z uwagą spojrzała na mówiącego. Nie mogła go dobrze zrozumieć.

— Pan jesteś zawsze ciemnym i nieodgadnionym! szepnęła po chwili Agrypina.

— Tak, bo jutro moje jest ciemne i nieodgadnione! Dzisiaj stoję tutaj i patrzę na panią, a jutro może...

— Jutro może będę ja sama tutaj stać, odpowiedziała Agrypina i patrzeć przez zapyłone szyby na moje wspomnienia!

— A kogoż pani w tych wspomnieniach widzieć będziesz.

Agrypina na to nic nie odpowiedziała. Stała właśnie przed zwierciadłem, w którym

po powtórny odbiciu widziała właśnie Sabina. Patrzała na tę powtórzoną kopią tego, z którym mówiła.

Sabin poszedł za jej okiem i spotkał się sam z sobą w zwierciadle. Koło niego w zwierciadle odbiła się postać Agrypiny...

Było w tym odbiciu coś tak łudzającego, tak dziwnie podobnego do dzisiejszego snu Sabina, że długi czas stał w milczeniu wpatrując się w ten niespodziany obraz. Wstrzymał nawet oddech aby tego widzenia nie spłoszyć...

I w samej rzeczy był to obraz dziwny. Agrypina stała na pierwszym planie i miała przypadkiem zieloną gałązkę we włosach. Za nią z drugiego zwierciadła odbijał się Sabin, jakby jej coś słodkiego chciał kłaść do uszka.

Sabin patrzył i patrzył do zwierciadła. Zielona gałązka rosła jak różeczka Aronowa i opasała w końcu zielonym wiankiem całą

główkę Agrypiny... Dziwny odbłask światła nadawał jego tużurkowi granatowy połysk fraka z srebrnymi guzikami.. a usługny katarynkarz grał znowu pod oknem najprawdziwsze *veni creator mundi*...

— Czemu pan tak dziwnie patrzysz na mnie! zapytała Agrypina odwracając główkę.

— Ja zaczynam dopiero patrzeć na panią! odparł z roziskrzonym okiem Sabin.

— Jeżeli sam początek tak był długim, cóż dopiero dalej będzie? rzekła z uśmiechem czarującym Agrypina i podała mu obie rączki.

Sabin nie wiedział co z temi rączkami zrobić, więc w braku konceptu zaczął je gorąco całować i całować..

W tej chwili weszła pani Ludgarda do salonu.

— Wiesz pan co, panie Sabinie, rzekła z uśmiechem, zostań się pan u nas na obie-

dzie. Sarnina jest tak wyborna, jakiej pan jeszcze nigdy nie jadłeś!

Sabin trzydzieści godzin nic nie miał w ustach. Na wspomnienie sarniny rozbudził się nerw gastryczny i wziął wyłączne panowanie nad całym ustrojem głodnego człowieka.

Sabin został na obiedzie.

XXV.

Dobrze po południu wracał Sabin z twarzą zarumienioną szybkim krokiem do hotelu. Machał rękami i ruszał głową to w tę to w drugą stronę, jakby coś mówił do siebie. Często potrafił kogoś na ulicy, a jeszcze częściej utykał na nierównym bruku. Nie zważał jednak na to jakby nic przed sobą nie widział. Szeroko otwartymi oczyma patrzył gdzieś w powietrze.

Koło hotelu jakby się umówili, spotkał się z Bolesławem. Podał mu rękę, uścisnął go z jakąś gorączką i rzekł:

— Właśnie w tej chwili o tobie myśla-

łem. Pójdź ze mną, mam coś ważnego do pomówienia!

Obaj weszli na górę. Bolesław spokojnie wybrał sobie najsuchsze cygareto z pudełka, zapalił i usiadł. Sabin chodził czas niejaki po pokoju. Zdawało się, że na chwilę o przyjaciela zapomniał. Nagle zatrzymał się przed nim.

— Nie uwierzysz Bolesławie, rzekł do niego nieśmiało, jak mi coś po głowie lata! biegnie jak zając po polu!

— Tam do katar! odparł Bolesław spokojnie wypuszczając sine kółka dymu, żeby to tylko nie były... zajączki!

— Coś podobnego, dalibóg!... Tylko słuchaj spokojnie, bo to rzecz ważna! Jak uważasz? Czy sądzisz, że Gorgon wyrzeczona obelgę mógłby cofnąć i czy ja przeto nie byłbym obowiązany jutro strzelać się?

— To nastąpić może, ale w takim razie

jeżeli odpadnie zupełnie przyczyna tej obelgi!

— I nikt mi za zię tego nie poczyta, że od pojedynku w takim razie ustąpię?

— Przeciwnie mianoby ci za zię, gdybyś w takim razie koniecznie na pojedynek należał!

Sabin obrócił i znowu zaczął chodzić po pokoju. Bolesław z łagodną ironią patrzył za nim.

— Jak ci się Agrypina podoba? zapytał po chwili Sabin stając przed Bolesławem.

— Jak mi się Agrypina podoba? Wszak nieraz słyszałeś odemnie zdanie moje. Był czas nawet, że się trochę w niej kochałem, ale wkrótce spostrzegłem, że to były dla mnie — zielone winogrona! I powiem ci szczerze, że nawet z biedą wyperswadowałem sobie...

Sabin podkreślił wąsiki i uśmiechnął się z wielkim zadowoleniem. Po chwili rzekł:

— Wierzę ci, Agrypina może się każdemu podobać. Nie jest ona klasyczną pięknnością, ale w twarzy swojej ma coś... coś co przy bliższym poznaniu mimowoli ciągnie... ciągnie... i to jak jeszcze ciągnie do siebie!...

— To jest zwykły przymiot każdej bogatszej damy! Coraz to nowe odkrywamy skarby...

— Ślicznie mówisz! Prawda, szczerą prawdą!... Przyznam ci się, gdym ją pierwszy raz obaczył... nie zważałem wiele na nią...

— Tak się to zazwyczaj dzieje przy prawdziwym uczuciu... Kobieta, która się na pierwszy rzut oka wszystkim bez wyjątku podoba, podobna jest do próżnego wewnątrz sklepu z pyszną wystawą! Wszystko wywieszzone na zewnątrz!

— Ślicznie mówisz, niech cię uściskam!.. Wiesz, ale to tak jakbyś siedział w mojej głowie!

— Cieszę się, że tą razą zupełnie zgadzam się z tobą! Spodziewam się, że z każdym dniem więcej będziesz się ze mną zgadzał!

— Wierzę, bardzo wierzę!... I wiesz, że koniec końców przecież to zawsze jest panna posażna!

— Któż o tym nie wie! Dwie kamienice można lekko szacować na pięćkroćtysięcy... pół milionka!

— To nie chodzi piechotą, co?... Przyznaj, jak trudno dzisiaj z wyższego towarzystwa dostać pannę z takim posagiem?...

— Przy dzisiejszym obdłużeniu hipotek wiejskich... niepodobna! Ani myśleć!

— Bo powiedz mi, czy znasz jaką pannę, któraby taki posag mogła wnieść mężowi?

— Nie ma żadnej na dziesięć mil w okręgu, z wyjątkiem domów ordynackich...

— O tych wcale nie myślę... ale tak z do-

mów szlacheckich, dobrych — przyzwoitych domów...

— Nie ma co o tym nawet mówić! Agrypina z tego powodu miała różnych konkurentów, miała nawet hrabiów... ale powiedziała wyraźnie, że tylko za tego pójdzie, którego całym sercem ukocha!

Sabin podkręcił znowu wąsiki i wykręcił się na pięcie, aby Bolesław nie widział jego uśmiechu zadowolenia.

— Więc sądzisz, mówił po chwili do przyjaciela, że Agrypina w każdym razie byłaby dobrą partycją?

— Nie tylko ja, ale cały świat tak sądzi! Rozumna, wykształcona, niebrzydka, pół miliona... czegoż więcej?

— Sabin położył palec na czole i zaczął znowu chodzić po pokoju. Tą razą przechadzka ta trwała dosyć długo. Starannie omijał Bolesława, wybierał dalszą i niewy-

godniejszą drogę pomiędzy stolikiem a szafą i zawsze zawracał w rogu przy kominku gdzie wczoraj tak upornie czekała na niego śmierć bezlitośna.

Wreszcie odetchnął pełną piersią, stanął przed Bolesławem i rzekł do niego.

— Bolesławie, powiem ci może rzecz niespodzianą. Ale widzisz, człowiek raz w życiu musi się zdecydować, a lepiej zdecydować się wcześniej, niżeli uganiać się za marami, które od nas coraz dalej uciekają! Być może że mary są lepsze i ponętniejsze, ale któż nam zaręczy, że je dogonimy? Lepiej brać to, co zrządzeniem Boga samo przy nas staje... I tak życia nie ma tak wiele na ziemi, a tracić daremnie lata, to znaczy sprzeniewierzyć się Bogu i ukraść coś z powierzonego nam od niego kapitału!... Czy to nieprawda? Co?

— Już dobrze jest, że wchodzisz na pole

ekonomii społecznej, z uśmiechem powiedział Bolesław.

— Alboż więc nie mam racji? Szczęście to tak jak gra w ruletę. Zdublujesz stawkę, to ją bierz! Wprawdzie zostawiając ją do dalszej gry możesz dziesięć i sto razy więcej wygrać, ale możesz także tak zgrać się do koszuli, że nie będziesz miał w czym wracać do domu, albo co gorsza, nie będziesz miał gdzie wracać! Nieprawda?

— Mówisz jak człowiek rozumny!

— Otóż widzisz, kochany Bolesławie, ja nie chcę grać dalej i ściągam stawkę! Niech Pan Bóg innym sekunduje, ja już mam dosyć tych kłopotów z układaniem planów i rejterowaniem bezowocnym! Ożenię się z Agrypiną! Kocha mnie, a to przecież coś znaczy!

— Pójdźże, drogi przyjacielu, niech cię uściskam!... Gorgona i... i matkę biorę na siebie!

— O! matkę... prawda, tam będzie trochę roboty, bo to widzisz, matka moja będzie miała niektóre skrupuły... Amelka łatwiejsza... a zresztą ty masz rozum, ty to lepiej potrafisz odemnie!

I obaj przyjaciele rzucili się w objęcia i prawie popłakali się z rozczulenia.

— Mówisz, że panna Amelia łatwiejsza? zapytał wśród uścisków Bolesław a twarz jego rozpromieniła się.

— — — — —
Za trzy dni w dużym pokoju z balkonem na pierwszym piętrze hotelu paryskiego siedziała wątła, błada kobieta. Na jej twarzy widać było zmęczenie. O jej ramię opierała się piękną główką swoją młoda blondynka i patrzyła dużemi szafirowemi oczyma na siedzącego naprzeciw mężczyznę, który trzymał rękę na temblaku.

— Nie wierzysz pan, ozwała się błada

kobieta, jak wielce jesteśmy panu obowiązane za wiadomość o niebezpieczeństwie, w jakim znajdował się Sabin. Nie umiem panu powiedzieć, ile wycierpiałśmy obie przez drogę, trwając się najokropniejszymi widmami i domysłami! Myślałyśmy że już Sabina nieżywego obaczmy! A tymczasem...

— Tymczasem spotykamy go przy przyszelej... podjęła blondynka i niedokończyła.

— Prawda, że to dziwna zmiana dekoracji, wtrąciła matka, innym razem byłaby ona nam może bardzo nie do gustu... ale dzisiaj, gdy inne tak groźne niebezpieczeństwo od Sabina odeszło...

— Ależ mameczko, ozwała się blondynka, jeżeli Sabin pannę Agrypinę kocha...

— Ty zawsze jeden i ten sam masz argument, moja Amelko! odparła z uśmiechem matka.

— Bo ten argument najlepszy, moja ma-

meczko! pieśczośliwie mówiła Amelia.

— Bardzo słusznie pani mówi! ozwał się Bolesław, stoję po stronie pani!

— Byłam tego pewną, szczebiotała siostra Sabina, bo kto potrafi życie swoje zaryzykować dla ocalenia przyjaciela, ten inaczej myśleć nie może...

Rzekłszy to, otoczyła Bolesława dużym, błękitnym okiem swoim, a twarz jej blada ożywiła się.

— Więc zechciej pan nas zaprowadzić do pani Ludgardy! rzekła matka Sabina. Sabin nie czekał na nas, tylko sam poszedł. Niechaj według swego wyboru będzie szczęśliwy!...

Bolesław podał matce zarzutkę aksami-tną... Amelkę dłuższy czas ubierał w szal fałdzisty...

EPILOG.

Dwa lata upłynęło od tego czasu.

Do Warszawy zjechali się właśnie dosyć licznie wiejscy producenci wełny.

W jednej z osobnych sal jadalnych hotelu europejskiego siedziało to samo towarzystwo, któreśmy poznali w pierwszym rozdziale niniejszej powieści. Między nimi najokazalej wyglądał Bolesław. Widać było po minie i ubiorze, że mu dobrze powodzi się na tym świecie. Inni jego towarzysze jakoś podupadli trochę na twarzach, włosach i surdutach.

— I proszę was, mówił Edward, ktoby się spodziewał, że Bolko z pomiędzy nas najlepiej się wykieruje!

— Ożenił się bogato, został dziedzicem dóbr i teraz sprzedaje wełnę po sto rubli za centnar!

— Za pozwoleniem, ozwał się Bolesław wychylając kieliszek wina, przedewszystkim chronologia!... Naprzód ożeniłem Sabina, potem wziąłem jego majątek w administracyą. Gospodarując po polach rozgospodarowałem się w serduszku mojej Amelii, a gdy nam dwom panom za ciasno było na jednym majątku, wytłumaczyłem Sabinowi, że spokojne życie w mieście najlepiej stosuje się do usposobienia jego i żony, zawiozłem go wraz z meblami do Warszawy i majątek przeniósłem na moje imię!... Jest to wprawdzie wiele ale to mogłem tylko zrobić w tak chronologicznym porządku, jak wam opowiadałem!

Gdybym coś z tego chciał przeskoczyć, nie doszedłbym do celu!...

— Już to wybornie, bardzo wybornie urządziłeś sobie etapy! zawołali wszyscy i stuknęli kieliszkami.

— Przedewszystkim powiadam wam, prawił dalej Bolesław, nie chcecie od razu iść do celu. Ja szedłem po barkach Sabina, którego pierwiej uszczęśliwiłem nim po moje szczęście sięgnąłem! Po szczęście najlepiej iść za plecami drugiego, którego się naprzód popycha!

— Niech żyje Bolko, bohater jakich mało! odezwało się kilka głosów.

— Za pozwoleniem, zawołał Gorgon, duch opozycji, przeciw słowu „bohater“ protestuję! W powieściach czytałem zawsze, że bohaterem jest albo biedny artysta, albo poeta, lub jaki inny człowiek niezdarny, który nie dla siebie, ale dla „wyższej idei“ pracuje! Po-

dobni zaś ludzie jak nasz kochany Bolko, to zazwyczaj w przedostatnim rozdziale powieści haniebnie karki łamią, aby wymaganom moralności zadość się stało!

— Dobrze, choć otwarcie powiedziałaś, ozwał się z uśmiechem Bolesław, a ja jeszcze więcej powiem. Pisarz, moralista, gdyby broń Boże chciał kiedy mnie wziąć za model, nie dałby mi rączki Amelki, ale kazałby mnie Gorgonowi w tym udanym pojedynku na wylot kulą przesyć, choćby tylko przypadkiem! Czyny niekoniecznie może proste miałyby swoje nemezys..... Tak zwykle robią w książkach i nie trzeba piszącym innej myśli poddawać!

Ludzie czytają książki i cieszą się, że tylko cnota jest górą na świecie, a złe zawsze przepada. Bo w takim razie my, co górą, nie możemy być źli...

— Masz słuszność, wielki człowieku, za-

wołał Gorgon uderzając o kieliszek sąsiada, może daleko większy efekt sprawiłby na społeczeństwie wizerunek naprzykład takiego bohatera jak nasz ukochany Bolko, który jest panem dziedzicznym i wełnę po sto rubli centnar sprzedaje! niżeli winowajca z wyrokiem na szyi...

Bolesław nalał kieliszki, powstał ze swoim i rzekł:

— Towarzysze doli i niedoli! Słuchajcie mnie, a ja wam odkryję tajemnicę dzisiejszych wielkich ludzi!... Tajemnica ta leży w niedołęztwie i kwietyzmie bez woli i energii dzisiejszego społeczeństwa. Kto ma wolę i energią, ale energią graniczącą z bezczelnością, ten wyjdzie na wierzch. Ludzie nie będą go lubić, ale pójdą za nim, bo za leniwi są aby go nie chcieć! Czy myślicie, że pewny władzca z potężną koroną na głowie, i pewny minister drugiej korony, byłiby dzisiaj pierw-

szymi ludźmi w Europie, gdyby nie mieli do czynienia ze społeczeństwem niedołężnym, bez woli i energii?... Jeżeli tamci środkami niewłaściwymi okiełznali wszystkich, któż temu winien jeżeli nie ci wszyscy, którzy nie mieli żadnej woli i energii i woleli uleść?... Jeżeli ja dzisiaj dziedzicznym panem jestem i wełnę po sto rubli centnar sprzedaję, któż temu winien, jeżeli nie najbliższy mój szwagierek, który bez woli i myśli jak piłka gumielastyczna skakał przez życie,... któż temu winien, jeżeli nie kobiety, które dziś nic na prawdę nie kochają, które perswazyą ciotek i względzikami świata powodować lub sprytnym przemysłowcom łowić się dają?... Dopóki taki stan rzeczy jest w społeczeństwie, póty jest zawsze obfite żniwo dla takich bohaterów, jak my tu wszyscy, nie ubliżając żadnemu, jesteśmy!... Niech cichy, skromny, pracujący bohater prosperuje w powieściach i romansach,

niech człowiek podobny nam, kark łamie w przedostatnim rozdziale,... za to w społeczeństwie żyć będziemy długie lata i dobrze będzie nam się powodzić!... Każda siła przed prawem...

— Zlituj się, zawołał Gorgon, nie wygaduj się tak do dna! Filipika twoja o powodzeniu naszym, gdyby ją kobiety słyszały, sprawiła by taki sam efekt jak złamanie karku w przedostatnim rozdziale powieści...

— Ba! Gdyby słyszały! odparł Bolesław i usiadł w aureoli tryumfującego bohatera!...

Lipiec 1869. — Drezno.

KONIEC.



316329

21

610 60 100548

